

Lipiec

Pachną lipce — Reymontowskie
i zwyczajne
pełne rowy kwietnej piany
miododajnej

kopie żyta złote róże
ściąga sinych wstążek krata
rzeki małe rzeki duże
Bzura Mrowa i Pilica
i Utrata

i topole jak kominy
i kominy jak topole
biegną słupy mlecznej bracia
koniczyną buraczną
przez pole

cienie ciemnogrnatowe
gdzie olszyny
mchami całe oplątane
dojrzewają już
jeżyny

asfalt się roztopia w niebie
pelen ośnień
i cholernie ciągnie ciebie
w Polskę w Polskę

- Podróż do Katynia — str. 2
- Romantyczni ludzie z marmuru — str. 1 i 3
- Lekarz i Pielęgniarka — str. 5
- Andrzej Brycht: „Azyl polityczny” — str. 11
- Balkony spadają na głowy — str. 6
- „Precz z kolarstwem”! — str. 15

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 30 (1582)

ROK XXXI

23 LIPCA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

(1987)

Z tej ziemi

Mówić tylko prawdę

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie lubię rocznic, a już szczególnie nie lubię publicystyki rocznicowej. Jest to bowiem pisanie okazjonalne, kiedy trzeba coś napisać, a nic nowego nie można już wymyślić. Powtarza się więc w kółko wyswiechtane banały, od których ludziom mdło się robi. Nikt więc takich okolicznościowych tekstów nie czyta, ale wielu chętnie je pisze. Nie lubię więc publicystyki rocznicowej.

Są jednak chwile w życiu człowieka, a także narodu, kiedy trzeba spojrzeć w tył, aby się zastanowić nad przebytą drogą. Myślę, że tym razem, w przededniu kolejnej rocznicy ogłoszenia „Manifestu PKWN” powstała taka chwila. A wpływają na to dwa fakty. Oto 7 lat temu, od 14 do 20 lipca 1981 roku obradował IX Zjazd PZPR. Zjazd Nadzwyczajny nie tylko z nazwy. No i teraz mieliśmy wizytę sekretarza generalnego KC KPZR — Michaiła S. Gorbaczowa. Wizyta niekonwencjonalna. Jej znaczenia trudno nie docenić. To właśnie w toku tej wizyty padło często: — mówić tylko prawdę! Mówienie narodom prawdy stało się podstawą wewnętrznej polityki w ZSRR.

Mówić prawdę — to znaczy opierać się na faktach, trzymać się faktów, nie lekceważyć ich, nie pomijać milczeniem, nie mówić czegoś wbrew tym faktom. W ZSRR sporo już faktów ujawniono, o których do tej pory było cicho. I ujawnia się je w dalszym ciągu. Ujawnienie faktów zmusza do zmiany interpretacji. Nowe fakty pokazują przeszłość w zupełnie innym świetle. U nas sporo już powiedziano się o naszej również niełatwej przeszłości, ale chyba jeszcze nie wszystko. Są ludzie, którzy boją się ujawniania nowych faktów, bo wydaje im się, że to przekreśli rangę tego, co niegdyś robili. Trzeba pozbyć się tego strachu.

Historia nie znosi rozważań w stylu, co by było, gdyby... Było tak, jak było. I tego trzeba się trzymać. Warto jednak dogłębnie poznać, jak było, aby wiedzieć, dlaczego jest tak, a nie inaczej. A więc dobrze jest spojrzeć wnikliwie na przebytą drogę.

Kłeska Polski we wrześniu 1939 roku spowodowała powszechną niemal krytykę sanacji. Rząd Władysława Sikorskiego we Francji, a później w Wielkiej Brytanii odsuwał od wszelkiej władzy ludzi związanych z sanacją. Oczekiwano, że Polska jako państwo po wojnie, nie będzie kontynuowała sanacyjnej polityki, choć w mniemaniu wielu miała to być Polska nawiązująca do przedwojennej państwowości. Ale nie wszyscy przecież tak myśleli.

W sierpniu 1941 roku — a więc już po wybuchu wojny Niemiec hitlerowskich z ZSRR — wśród działaczy podziemnego ruchu robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej toczyła się żywa dyskusja nad kształtem przyszłej Polski. Z dyskusji tej zrodził się „Program Polski Ludowej”. Jest to bardzo ciekawy dokument. Próbuje on odpowiedzieć na trzy „zasadnicze pytania naszego życia”. Oto te pytania:

1. Jaki charakter ma mieć nasza walka powstaniowa i jak powinien być skonstruowany jej organ kierowniczy w postaci pierwszego rządu odrodzonej Polski;

2. na jakich zrebach politycznych zostanie odbudowana Polska;

3. w jaki sposób będą rozwiązywane zasadnicze problemy społeczne?

W odpowiedzi na pierwszy problem przedstawiciele ruchu robotniczego, chłopskiego i pracującej inteligencji uznali, że rząd przyszłej Polski musi być ludowy, musi zatem opierać się na politycznych ruchach mas pracujących miast i wsi. Ma on natychmiast przeprowadzić reformę rolną przez wywłaszczenie większych obszarów, ma przejąć na rzecz państwa koleje, inne formy komunikacji, pocztę, przemysł wojenny, surowcowy i hutniczy. Reszta ma być oddana samorządom i spółdzielniom. Ustrój państwa ma być republikańsko-demokratyczny, ma być „szeroko rozbudowany samorząd terytorialny, który przejmie szereg funkcji spełnianych dotychczas przez administrację rządową”. W ogóle główny nacisk kładziono na rozwój samorządności i spółdzielczości. Zakładano, że wszyscy otrzymają „możliwie równe warunki startu życiowego”. Walka ma być prowadzona do zwycięskiego końca, a po wojnie kara spotka zarówno tych, którzy działali na rzecz Niemiec, jak i tych, którzy ponoszą winę za klęskę. Przewidywano wysiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej osadzonej na ziemiach polskich „w intencjach germanizacyjnych” oraz Volksdeutsche. Problemu granic przyszłej Polski nie podejmowano.

Jak się uważnie wczytać w ten dokument, to można znaleźć wiele wspólnego z późniejszym w czasie „Manifestem PKWN”, chociaż są i naturalnie różnice. Odmienny był czas, gdy powstawały obydwa dokumenty, odmienne warunki polityczne i odmien-



Historia Nowej Huty zapisana jest na taśmie filmowej i kartach powieści oraz reportaży. Przedstawiamy próbę przypomnienia tej historii na podstawie fragmentów reportażu i powieści.

„O Nowej to Hucie piosenka...”

ANDRZEJ KAROLCZAK

Dziś rzadko pisze się o niej dobrze. Huta im. Włodzimierza Lenina to cel napaści ekologów i miłośników starego Krakowa. Miasto Nowa Huta. Dziś przedmieście Krakowa. Takie jak inne. Z domami, sklepami, kinami, teatrem. Z kościołem. A miała być... Czym właściwie? Spójrzmy na budowę miasta i huty, na równoległy rozwój tych dwóch twórców społeczno-ekonomicznych oczyma ówczesnych reporterów — dziennikarzy, pisarzy, pamiętnikarzy.

ROMANTYCZNA BAJKA

Rano 13 maja (1949 r. AK) z małej stacji krakowskiego węzła komunikacyjnego wyma-

szowało w teren kilku ludzi obladowanych przyrządami pomiarowymi i kolkami. Zadaniem tej pierwszej grupy operacyjnej było wytyczenie toru kolejowego do przyszłego placu budowy. Stacja kolejowa, z której wystartowano, była w tej okolicy ostatnim, najdalej wysuniętym punktem łączności z szerokim światem i dobrodziejstwami jego cywilizacji. Tu kończyła się elektryczność, sieć wodociągowa i komunikacja mechaniczna. Od tego miejsca — daleko, jak sięgał wzrok, aż po horyzont — rozciągały się już tylko pola.

(Marian Brandys, Początek opowieści, 1932).

Taki był styl epoki — ale

nie tylko styl — ci ludzie tak myśleli, tak czuli. Było to autentyczne i szczere:

„(...) inna grupa operacyjna, złożona z inżyniera Jędrzejczaka z nadzoru technicznego Nowej Huty, przedstawicieli podstawowej organizacji partyjnej i dwóch prawników, z Województwa, była zajęta w solec-twie najbliższej gromady wyjaśnianiem chłopom znaczenia nowej kolei i ustalaniem wysokości odszkodowania za grunty wzięte pod budowę. (...) Jędrzejczak, rozpiąwszy koszulę na piersiach, wyliczał grupie chłopów dobrodziejstwa, jakie spłynę na nich z budową.

— Teraz paliki pomiarowe, niby nie, zwykłe paliki —

grzmiał tubalnym głosem — Ale za palikami przyjdzie kolej: lokomotywy, mosty, wagonów. Zwióz tu budulec, maszyny. Będzie elektryczność, będą wodociągi. A potem domy i fabryki, jakich oko ludzkie tu nie widziało. Do diabła z walącymi się chałupami. Dadzą wam mieszkania w nowych, pięknych domach. Synów na ludzi wam wykipują. Koniec z pasaniem cudzych krów. Będzie dobrze płatna praca przy wielkich maszynach, należących do całego narodu. Bajka zaczyna się dla was do tych palików, moi drodzy, bajka, jakiejście nigdy dotychczas nie słyszeli”. (op. cit.).

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Jarusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Płatek, Janusz
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie służy za
zamówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
złokalkulowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
złokalkulowane w miastach wojewód-
zkich nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 3.
Prenumeratę za zleceniem wy-
szuki za granicę przysyłają RSW
„Prasa-Książka-Ruch” Centrala
Kolejnicza Prasy i
Wydawnictw ul. Twardowska 23
00-958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1638 201045 139 11 Prenumerata
za zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przysyłania prenumera-
ty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz całe rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 2266, S-10.

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

W ubiegłym roku wyjechało na stałe (legalnie) z Polski około 58 tysięcy obywateli. Z czasowego pobytu do granicy odnowiło powrót do kraju 117 tysięcy osób. Ponadto przedłuża swój pobyt ponad okres deklarowany 327 tysięcy obywateli polskich. We wszystkich grupach znajduje się łącznie 50 400 osób z wyższym wykształceniem. W sprawach paszportowych w 1987 roku było zaledwie 2,4 proc. decyzji negatywnych. Poinformował o tym dyrektor Biura Paszportów MSW, Rudolf Rusin, na siódmym posiedzeniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Obrady trwały 13 godzin. Prowadził je Wojciech Jaruzelski. Teksty wszystkich wystąpień zawiera wydanie specjalne tygodnika „RADA NARODOWA” (7).

Zdaniem prof. Tadeusza Kozarowskiego migracje są czymś naturalnym. Trzeba rozpatrywać je bez uprzedzeń i zacietrzewienia.

„Jest to zwykłe zjawisko w historii. Migracje Greków, aż po dzisiejszy Afganistan, Żydów do Asyrii, Egiptu i Palestyny, a potem na cały świat, Hiszpanów i Portugalczków, Anglosasów, Włochów, Niemców na wszystkie kontynenty Francuzów do Kanady, wielkość Irlandczyków do Ameryki Północnej, tak samo Szwedów, a przecież także Polaków na wszystkie strony świata. Jednocześnie z naszą emigracją jak-że żywa imigracja do naszego kraju, o tym nie należy przecież zapominać. Czym byłaby Warszawa bez Aignera, Zuga, Coraziego, Merlinga, Marconich, Lilpopy, Wedla, Haberbuscha, Starynkiewicza, Lindaleja, Szucha, Szuberta, Lorentzów, Lothów, Burschów itd. Pozwólcie Państwu, że jeszcze parę nazwisk przytoczę z Krakowa. Co, by to było bez E. Streicherów, Kadera, Glatza, Dietla, Gozla, Malera, Rein- fussa, Rydla i całej litany nazwisk tak bliskotliwie przedstawionych przez Adolfa Nowaczyńskiego w „Włosie narodu” w cichym zakątku. A Łódź — bez Scheiblera, Grohmana, Weigta, Johna, Kruschego i całej plejady przybyszów.

We władzach politycznych, powiem to żartobliwie, proszę mi nie mieć tego za złe, że mamy nazwiska Messnera, Ferenstajna, Bejgera, prymasa Głomp, jak słychać, wynośdzi się z rodziny dawno przybyłej ze Szkocji etc. etc.”

Nasze trudności i zagrożenia nie wynikają z drenażu mózgow, ani z ucieczki elit. Problemem jest marnotrawstwo kwalifikowanych sił. Mamy względnie dużo inżynierów i lekarzy, lecz słabo są wykorzystani i wynagradzani.

Prof. Zbigniew Wierzbicki podał wyniki badań przeprowadzonych w 1988 roku na próbie ogólnopolskiej. Okazuje się, że 60 proc. respondentów pragnie, aby ich dzieci wyjechały okresowo za granicę i potem wróciły do kraju. Natomiast 10 proc. chce, żeby wyjechały z Polski na stałe.

Stanisław Kwiatkowski poinformował, że wśród tegorocznych maturzystów i kończących zasadnicze szkoły zawodowe wyjeżdżałyby na stałe z Polski — gdyby mieli taką możliwość — 14,4 procent. A dalsze 54,3 proc. wyjechałoby na krótko, żeby zarobić i wrócić.

Adam Zieliński zwrócił uwagę, że z reguły nie opuszczają kraju prawnicy, choć w sądownictwie dzieje się bardzo źle. Oto charakterystyczne przykłady: „Normalnie jest tak, że jak gdzieś jest niedobrze, to najpierw wśród pracowników pojawiają się kobiety. Niech mi kobiety wybaczą to stwierdzenie! Potem zaczyna brakować pracowników bardziej doświadczonych. I — tu — zaczyna brakować pracowników w ogóle. Nie chcę podawać wskazań, że kobiety znikają z sądownictwa, choć pobiło tu chyba wszystkie rekordy, dlatego żeby mnie kobiety zniszczyły. A nie chcę, żeby mnie zniszczyły. Podam więc tylko wskazówki dotyczące ludzi młodych. Kto zatem wymierza obecnie sprawiedliwość w Polsce? 37 proc. sędziów i asesorów w sądach rejonowych nie ukończyło 30 lat, zaś 41 proc. ma staż pracy

krótszy niż 5 lat. 168 sędziów odešlo w ub. roku z pracy, w tym 3 sędziów Naczelnego Sądu Administracyjnego. 47 podało o zwolnienia złożono już to roku bieżącym”.

W końcowym wystąpieniu Wojciech Jaruzelski nie zgodził się z opinią, że brakuje miejsc pracy dla fachowców. Panuje ostatnio swoista moda na uproszczoną argumentację, że w naszym kraju nie ma żadnych możliwości i perspektyw. W ten sposób łatwo usprawiedliwić się wyjazdowi.

„Takie rozumowanie jest, niestety, dość popularne. Gdybyśmy wszyscy mu ulegli, to mówiąc złośliwie, należałoby powiększyć liczebność Polonii o 38 mln Polaków. To gorzki żart, może nazbyt ironiczny, ale jak inaczej polemizować z poglądami tak skrajnymi i nieodpowiedzialnymi?”

PODRÓŻ DO KATYNIA

Piętnaście lat temu należałem do nielicznych chyba Polaków, którym udało się odwiedzić groby oficerów polskich w Katyniu. Teraz istnieją już znacznie większe możliwości. Niedawno w dzienniku „RZECZPOSPOLITA” (nr 153 i 157) ukazała się ciekawa relacja z wizyty pani Miłady Gawlikowej i jej córki Miłady Płaterowej. Znacznie szersze sprawozdanie z podróży do Katynia pani Zofii Płatek opublikował „PRZEGŁAD KATOLICKI” (nr 28).

Zofia Płatek przyjechała 17 maja o godzinie piątej rano do Smoleńska i zamieszkała w Hotelu Centralnym. Cmentarz w Katyniu odwiedziła (do 20 maja) cztery razy. Ze Smoleńska jedzie się autobusem 45—30 minut. (Jest to około 25 km — E.L.).

„Tramwajem numer 7 jadę do centrum miasta. Wsiadam przy Kolchoznej Ploščadzi, skład mam 10 minut drogi pieszko do dworca autobusowego. W kasie nie sprzedaje się bileto- wów do Katynia, lecz do Kozłich Gór. Kozłimi Górami, albo Kozłim, nazywają tu miejscowość, w której znajduje się cmentarz oficerów polskich.

Czekam na autobus popijając sok brzoźowy. O godzinie 11.45, punktualnie, rusza z dworca żółty, przegubowy autobus numer 101 do wsi Smiętynino. Kierowca zatrzymuje się na moją prośbę w Kozłich Górach. Wsiadam sama. Okolica ta nie była mi całkiem obca. Znalazłam ją z opowiadań mojej matki. Matka, do 1974 roku mieszkająca w Grodnie, odwiedziła Katyn dwukrotnie: raz w maju 1961 roku, po interwencji u Wandy Wasiliewskiej i drugi raz podczas Świąt Zm rtych, w roku następnym. Opisywała mi cichą drogę wśród drzew sosnowych. Jestem więc teraz zaskoczona widząc tu mnóstwo ludzi, samochodów ciężarowych, koparek. Po prawej stronie budują się parkingi, ciężarówki wożą żwir. Na parkingu pracuje się widocznym półplechem chyba z osiem osób. Milicjanci na swoim regulują ruch.

Przechodzę na drugą stronę szosy (ze Smoleńska do Witebska — E.L.), wzdłuż niej ciągnie się zielony parkan. Wchodzi na asfaltową alejkę wijącą się wśród sosn. I tu pracują robotnicy, obrabujące alejkę kostką. Po dłuższej chwili dostrzegam ogrodzenie po obu stronach drogi. Jest to mała widoczna zielona siatka, rozpięta na metalowych słupach. Niektóre słupy stoją w wodzie. Teren tu podmokły.

Po kilku minutach jestem na cmentarzu (około 250 m od szosy — E.L.). Schodzę w dół po dziewięciu schodkach. Idę dalej prosto, po ułożonych płytach chodnikowych. Są tu cztery duże mogiły, po dwie z każdej strony (zawierają szkielety 4123 oficerów polskich — E.L.). Nazywam się na płaską płytę bez żadnego napisu. Dalej jest rabatka z trzema dużymi sosnami, grabi ją jakaś kobieta. Podchodzi do szarego murku, składającego się z dwu części, połączonej czarną, metalową kratą. Po lewej stronie murku widzę umiarkowaną czarną tablicę z napisem białymi literami w języku rosyjskim, po prawej widnieje taka sama tablica w języku polskim.

Ofiarom faszystów
Oficerom polskim
rozstrzelanym przez hitlerowców
w 1941 roku.

Widzę też wsparcie o łozę

tożsami z białymi, s kolorowymi papierowymi łozami i szarfą”.

Będąc trzeci raz w Katyniu (19 maja) wieczorem Zofia Płatek zauważyła po lewej stronie alejki pomnik, którego nie było poprzedniego dnia. Jako była harcerka jest dość spostrzegawcza. Napis na pomniku informuje, że w maju 1943 roku hitlerowcy rozstrzelali tu ponad 500 radzieckich jeńców wojennych.

Na cmentarzu w Katyniu nie ma żadnych akcentów religijnych. Nie ma też orla polskiego. Ten beżmienny cmentarz był już trzy razy rekonstruowany. Będzie odtąd dostępny dla turystów radzieckich i z innych państw. Zofia Płatek zaproszono do ponownych odwiedzin.

SKUTKI WIELKIEGO TERRORU

W redakcyjnej przemowie do każdego odcinka wspomnień gen. Aleksandra Gorbaczowa podaliśmy wstrząsające obliczenia generała-lejtnanta A. Todorowskiego dotyczące ofiar represji stalinowskich w armii radzieckiej. Nieco inne dane przytacza Roy Miedwiediew w swojej książce „Ludzie Stalina”, która drukuje w odcinkach tygodnik „ZWIAZKOWIEC” (nr 28).

„Można bez przesady powiedzieć, że główna i najlepsza z reguły część kadry kierowniczej radzieckiej armii i marynarki wojennej została w latach 1936—1938 bezłitośnie wymordowana. Ludzie ci zginęli nie na polu walki, lecz w podziemiach Lubyanki i innych więzień oraz w koncentracyjnych obozach «pracy». Dokładnymi liczbami nie dysponuje nikt, lecz z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić można, że zginęło od 25 do 30 tysięcy kadrowych dowódców i pracowników politycznych Armii Czerwonej i marynarki wojennej. W 1935 roku wprowadzono w ZSRR stopień marszałka. Należało go pięciu dowódców: Woroszyłowowi, Budionnemu, Blichnerowi, Tuchaczewskiemu i Jegorowowi. Już po trzech latach Blichner, Tuchaczewski i Jegorow zostali rozstrzelani jako «wrogowie ludu». Według niekompletnych danych w latach terroru zginęło: spośród 16 dowódców armii pierwszego i drugiego stopnia — 15, spośród 67 dowódców korpusów — 60, spośród 199 dowódców dywizji — 136, spośród 397 dowódców brygad — 221. Zginęli wszyscy czterej flagmani floty i cała szóstka flagmanów pierwszego stopnia. Spośród 15 flagmanów drugiego stopnia zginęło 9. Zamordowaną całą siódmastką komisarzy pierwszego i drugiego stopnia oraz 25 z 29 komisarzy korpusów. Spośród 97 komisarzy dywizji aresztowano 79, spośród 36 komisarzy brygad — 34. Aresztowano jedną trzecią dowódców pułków”.

Oslabienie armii było przyczyną niepowodzenia w wojnie radziecko — fińskiej. 30 listopada 1939 roku Armia Radziecka (450 tys. ludzi, 1700 dział, 1000 czołgów i 800 samolotów) przekroczyła granicę. Spadły bomby na Helsinki. Po stronie fińskiej broniła się armia licząca 215 tys. żołnierzy, 73 samolotów bojowych, 60 przestarzałych czołgów i kilkadziesiąt dział.

Armii Czerwonej udało się sforsować tylko pierwszą linię obrony fińskiej. W lutym 1940 roku Stalin odwołał z funkcji głównodowodzącego Woroszyłowa i mianował marszałka Siemiona Timoszenkę. Rzucono do walki nowe dywizje, w tym kilka śmigłolotów z Syberii.

Z trudem osiągnięte zwycięstwo drogo kosztowało Armię Radziecką. Według źródeł zachodnich ZSRR stracił 300 tysięcy żołnierzy. Natomiast źródła radzieckie podają ponad 200 tysięcy żołnierzy.

Przyczyną wojny było to, że Finowie nie przyjęli propozycji Stalina wynagrodzić 2700 km kw. koło Leningradu na 5500 km kw. w Karelii. Mieli otrzymać dwa razy więcej niż tracili, ale tereny gorzej zagospodarowane. Stalin przegrał przesunąć na zachód granicę radziecko-fińską, ponieważ była zbyt blisko Leningradu.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

Prof. ANDRZEJ F. GRABSKI, historyk, przewodniczący Rady Narodowej Miasta Łodzi:

— W skali makro, niezwykle ważnym wydarzeniem była dla mnie wizyta Gorbaczowa. Wypowiadałem się na ten temat publicznie, nie chcąc się teraz powtarzać. Dalej... Przepraszam, ale muszę sięgnąć po notes. Miniony tydzień miałem straszliwie zajęty... No, oczywiście, powołanie nowego Prezydium Rady Narodowej, podsumowanie kampanii wyborczej, a potem — co dla mnie było wyjątkowo ważne — pierwsze wyjazdy w teren, szalenie interesujące. Szczególnie utkwiło mi w pamięci środowisko, bardzo pouczające spotkanie w Pabianicach — z przewodniczącym pabianickiej rady, z prezydentem i wiceprezydentem miasta. Dowiedziałem się na konkretnych przykładach, jak te nasze ogólne trudności, abstrakcyjne czasami w skali kraju, załamują się w takiej społeczności, jak pabianicka, w postaci utrudniających życie nonsensów. Z niektórymi wzięliśmy się za bary od razu, niejako z marszu. Choćby problemy związane z remontem szpitala. Pod koniec tygodnia omawiali je już radni z komisji zdrowia RN. Ta właśnie komisja jako pierwsza rozpoczęła pracę, choć nie jest jeszcze nawet w pełni ukonstytuowana, dopiero ustala się jej skład. Reasumując: był to dla mnie wyjątkowo pracowity tydzień, kolejny już taki po wyborze na przewodniczącego. Ale nie narzekam. Wasza sympatyczna koleżanka (chyba z radia) zapytała mnie, czy czuję się już usadowiony w fotelu. Odpowiedziałem jej: nie! Nie trzeba mi wcale żadnego fotela!!

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, pisarz:

— Zadowolony jestem z publikacji moich wypowiedzi publicystycznych na łamach „Kontrastów” i w „Słowie Powszechnym”. Ukazały się one w minionym tygodniu. W „Kontrastach” odpowiadałem na ankietę pisma, dotyczącą przyczyn naszych obecnych trudności. W „Słowie” wypowiedziałem się na temat rodziny, spraw młodzieży, wychowania i edukacji. Były to jakby uwagi na marginesie znakomitego referatu, wygłoszonego w czasie niedawnych obrad konferencji w Łodzi, dotyczącej tych właśnie kwestii. W ubiegłym tygodniu ukazała się również — w niewielkim nakładzie 400 egzemplarzy — moja poetycka książeczka z wierszami o Łodzi... Reszta, to refleksje na tematy polityczne, i — szerzej — związane z egzystencją narodu. Odczułem pewną ulgę — mam na myśli niejaki żelazny, odwilż polityczną, większe otwarcie się na poglądy drugiej strony...

BOLESŁAW MALINOWSKI, weteran ruchu robotniczego:

— Najważniejsza była dla mnie wizyta Gorbaczowa, zwłaszcza zaś jego pobyt w Szczepinie i spotkanie z intelektualistami na Zamku Królewskim. Uważam za znamienne, że Gorbaczow przebywał w Polsce tak długo. W czasie obrad X Zjazdu był tylko 2 dni; nie miał więc do dyspozycji — jako sekretarz generalny — możliwości bliższego przyjrzenia się naszym sprawom. Być może o to mu właśnie chodziło; może też o podkreślenie szczególnie bliskich teraz stosunków pomiędzy naszymi krajami. W tym kontekście zwróciła moją uwagę wypowiedź radzieckiego przywódcy na temat Jaruzelskiego. Nie wiem, czy ta wypowiedź była zamierzona, czy całkowicie spontaniczna... ale skoro stało się to na oczach całego świata, jest już politycznym faktem, tym ważniejszym, że to w ogóle zdarza się rzadko, żeby jeden przywódca tak otwarcie wypowiadał się na temat zalet drugiego.

JANUSZ LUCKI, dyrektor ekonomiczny Łódzkiej Fabryki Mebli, inicjator Łódzkiego Banku Rozwoju:

— Gdyby mnie o to spytano na początku miesiąca, nie miałbym żadnego kłopotu z odpowiedzią: najważniejsza była dla mnie wtedy uchwała Rady Ministrów z 27 czerwca, wyrażająca zgodę na utworzenie — po długich miesiącach oczekiwania — Łódzkiego Banku Rozwoju. A w ubiegłym tygodniu, w poniedziałek, złożyliśmy dokumenty w Sądzie Rejonowym. Była to właściwie, po uzyskaniu zgody, czysta formalność; ale był to zarazem ostatni dzień, w którym mogliśmy to uczynić: minęły 3 miesiące od podpisania aktu notarialnego. Nazajutrz, zgodnie z Kodeksem Handlowym, byłoby już za późno na dostarczenie tych dokumentów... Oczywiście, decyzja Rady Ministrów sprawiła mi wielką radość; dziś jednak nie wiem, w którym momencie powinienem się cieszyć — tyle jest spraw i trudności. Prawie codziennie wpływają nam na rachunek w banku pieniądze, dziesiątki, setki milionów złotych od przedsiębiorstw, które wpisały się na listę akcjonariuszy. W najbliższych dniach otrzymamy własne biuro, przy ul. Piotrkowskiej 148/150. W sierpniu udzielimy pierwszych pożyczek. Później — czeka nas druga emisja akcji, żeby powiększyć kapitał do miliarda złotych. Mówię o tym, aby podkreślić, że najważniejsze mam za sobą, a następnie ważne wydarzenia — przed sobą. Miniony tydzień nie wyróżnił się niczym szczególnym, wyjątkając — oczywiście — wizytę Gorbaczowa. Kilka słów o tym: jestem zaprawiany reakcją ludzi w mojej fabryce na osobę sekretarza generalnego. Wyrażają się o nim z dużym uznaniem, nawet z entuzjazmem, że się „nie boli” — i mówią to często pracownicy bynajmniej nie o lewicowych poglądach czy też o proradzieckich sympatiach; przeciwnie — często są bardzo krytyczni wobec władzy.

Pytał: ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Najpierw było święto państwowe, następnie niedziela, potem strajk pracowników poczty, a oni nie jedli nic, dosłownie nie, tylko pili wodę — kolejny odcinek najnowszej powieści ANDRZEJA BRYCHTA pt. „Ażyl polityczny”.

— Artykuł GIEORGIIA S. ISSERSONA o wojnie polsko-radzieckiej w 1920 roku.

— Konkurs Miss Polonia '88 w fotoreportażu GRZEGORZA GALASIŃSKIEGO.

— Wszystkie chyba kobiety były nagabywane w czasach szkolnych, żeby pokazały swoją intymność. Przy czym im większy stawał opór, im bardziej były stanowcze i nieprzystępne w tej sprawie, tym większe budziły pożądanie i większym cieszył się szachnikiem. Niekiedy nie cenił łatwych kobiet — eseje MIROSLAWA HARBINSKIEGO pt. „Erotyzm i seksualizm”.

— O sytuacji w LKS i mizerii polskiej piłki nożnej mówi trener LESZEK JEZIEŃSKI.

— Fragmenty wspomnień z łódzkiego getta ARNOLDA MOS-TOWICZA pt. „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”.

NR 30 (1582), 23 LIPCA 1988 R.

LUDZIE Z MARMURU

Wielka budowa wymaga nowych ludzi. Zdecydowanych, prostych, pracowitych. Ludzi bez wątpliwości. Takich jak bohater powieści Tadeusza Konwickiego „Przy budowie”.

„Otworzył drzwi kluczem i na palcach wszedł do mieszkania. Mimo to ustyszała jego ostrożne kroki.

— Paweł?
— Ja, dziecko.
— Leżała w łóżku, chociaż za oknem zapadał dopiero mrok. W pokoju było czysto, wysprzątane. Widocznie spodziewała się go co wieczór.

Przywitała się.
— No i co? — spytała.
— Uśmiechnął się.

— Realizujemy plan sześciolatni.

— To przez sześć lat będziemy widywali się co dwa tygodnie? (...)

Kiedy sięgnęła po płaszcz, szwilił się.

— Wychodzisz?
— Umówiłam się z Łozińskim do teatru. Na „Ludów Jarawa-ja”.

(...) Przejrzał gazety z ubiegłego tygodnia i zaczął czytać ostatni zeszyt „Życia Partii”. Gdzieś tam wewnątrz tkwił zażalony Janek.

— Drobniomieszczańska sprawa — pomyślał naraz i poczuł niesmak. Przeczytał uważnie parę akapitów.

Drobniomieszczaństwo, psiankrew, Drobniomieszczaństwo nie knajpa, gdzie ludzie uchodzą i wychodzą. To zakaźna choroba, sam się nawet nie spoznażesz, kiedy na nią zapadniesz. Trzeba się strzec, uważać. „Być czujnym”.

Późnym wieczorem przytulił do siebie Janke.

— Jasiu — szepnął — wychowuj cię i wszystko na nie. Masz drobniomieszczański charakter”. (Tadeusz Konwicki, „Przy budowie”, 1950).

Niewątpliwie prawdziwszy obraz budowniczego Huty — jankar SP przedstawia pamiętnikarz. Po rozformowaniu brygady decyduje się na pozostanie.

„Na wypłatę trzeba czekać, jak wiadomo, co najmniej dwa tygodnie, a nie dano nam żadnej zaliczki. Kto miał coś na księżecze jakos tam żył. A inni? Były wypadki, że wykopano gospodarzowi co dopiero zasadzone ziemniaki. Innym razem na wsi zginęła kura. Bardziej śmiały zbierał ziemniaki po wsi. Jeden z kolegów upadł na pomysł gotowania zupy z pokrzywy. (...) (Elf, „Najgorszy był jednak początek”, 1959).

A oto jak opisuje „Elf” swych kolegów:

„(...) juncy — to osobna karta historii Nowej Huty. Zdać się, że codziennym dodatkowym ich zajęciem po pracy było krącenie po osiedlu nowohuckim i szukanie zacepek. Chodzili gromadami, nie pokramieni przez nikogo, siali postrach. Nawet milicja nie mieszała się do ich wyczynów — po prostu unikala z nimi spotkania. Gdy im się nie podobał czyjś wygląd, zwykłe padało pytanie: „Co ci się nie podoba, ustrój” czy SP? „Ze ustrój, niebezpiecznie było powiedzieć, ale jeszcze gorzej, że SP”. (op. cit.).

Czołowa postać nie był jednak ani papierowy aparatczyk ani chuligan. Na kartach ówczesnych książek, opowiadań i reportaży z Nowej Huty miejsce naczelnie miał On — przewodnik, Bohater Pracy. Oto jeden z typowych zyciorców nowohuckich, do którego załosa na punkcie dopisało życie. Ale ten tekst powstał później, w roku 1964:

„Był rok 1950, sam szczyt wysięgu pracy. Wypadało, żeby w największej inwestycji sześciolatki pojawił się jakiś przewodnik, padł jakiś rekord, żeby stało się coś, co by dowodziło hasła, iż ludzie rosną razem z budową, a budowa wraz z ludźmi. Czy to on się sam zgłosił, czy jego wytypowano — nie można już zbadać, bo sam Ożański nie pamięta sprężyn swego ówczesnego sukcesu. Dość, że w czerwcu 1950 ogłoszono próbę bicia rekordu Pol-

ski w szybkościowym układaniu cegieł.

Powiedzmy od razu, że próba się powiodła i że trołka Ożańskiego ułożyła w ciągu ośmiu godzin 27 760 sztuk cegieł. Bo najciekawsze jest nie to, jak pracowali, jak bili rekord — ale co o nim mówi dzisiaj jego główny bohater.

— To nie była murarska robota, to był sport. Ja nie mówię, że to każdy potrafiłby zrobić, trzeba mieć siłę w ręku i chłopaki muszą być zgrani. Ale mój plac budowy sztykował przez dwa tygodnie. Inżynierowie, technicy, codziennie zajęli dyktor i się przyglądał, wszystko było wyrównane, wypatrzone, a najważniejsze, że miałem specjalnie dobrany materiał, cegły nie z rozbiórki i nie popekane. Jak robiłem na co dzień, to musiałem latać do magazyniera, do kierownika, to się zaczęło, tego nie dowieźli i tak schodziło pół dniówki. Ja pobielem ten rekord, ale oni mi w tym pomogli.

(...) Na rekordzie się jednak nie skończyło. Nazajutrz Piotr Ożański był na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju, po kilku dniach w kronice filmowej, wywiady z nim publikowało wiele gazet zagranicznych. Rychło z murarza awansował na brygadzystę, potem nawet na inspektora budowlanego. Ożański miał z początku szacunek dla wiedzy, ale ten

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy wszystko w porządku, czy pani artystka jest zadowolona? Odpowiadała, że owszem, dobrze jej się pracuje. A raz, że bardzo to uprzejmie z jego strony — traktuje cały swój wytop jakby tylko inscenizację gwałtowności dzieła sztuki.

— Ha! Ha! Inscenizacja... dobry kawał! Czy pani wie, ile zuba w tym banalczku kosztuje?

— Jeśli wolno zwrócić drobna uwagę — spostrzegł kiedyś indziej, po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, i głos zniżył ponownie: — Tu jest o jedną duszę za mało: niech by nie pracował, jak należy, ja bardzo przepraszam! (Marian Promiński, „Salamandra”, 1956).

wa na sześć żelazników wznoszących się pod dach czarną amfiladą. Cieliska tych pieców, otęgnięte w niektórych miejscach — zwisały na górze — rurami, przypominały kawałki smolnych smoków postawionych na zadnich łapach w postawie wyprostowanej, niby jakieś przedpotopowe kangury, z łapkami w powietrzu i z krzywymi ryłkami umieszczonymi nieszety zbyt nisko, co psuło trochę proporcje i sens tej wizualnej metafory (...).

Massalski, wiejąc w pośpiechu polami hutniczego chałata, stawał, przyglądał się chwilę obrazowi — z przekrzywioną głową, grubą i apoplektyczną, jak indor, który chce dziobać, i pytał schrypniętym głosem, czy

Pisze się i dyskutuje, nierzadko zaskakująco i swobodnie gwałtownie, przede wszystkim o erze Józefa Stalina, latach rządów Nikity Chruszczowa, ale także i o okresie zastój, jak obecnie nazywa się epokę Leonida Breżniewa. Nawet imponujące obchody tysiąclecia chrztu Rusi nie zdołały osłabić niezwykłego zainteresowania opinii publicznej historią najnowsza.

„Społeczeństwo przeżywa okres boomu w dziedzinie zainteresowania historią” — powiada radziecki historyk (W. Kumaniew). Natomiast inny uczyony (J. Afanasjew) podkreśla, że „w społeczeństwie radzieckim nagromadziło się ogromne zapotrzebowanie na prawdę historyczną. Większość ludzi oczekuje na nowe wiadomości”. Tymczasem historycy, jak sami przyznają, nie są jeszcze przygotowani by spełnić te oczekiwania społeczne.

Gazetka ścienna w naukowej bibliotece.

Ogromne zainteresowanie historią można łatwo dostrzec, a wyraża się ono niekiedy w formach zgola nieoczekiwanych. W jednej z nowoczesnych bibliotek Akademii Nauk ZSRR w Moskwie, z której zbiorów miałem okazję korzystać ostatnio, istnieje „gazetka ścienna” poświęcona „białym plamom” w historii i w ogóle „pierestrojce”. Po raz pierwszy pojawiła się ona na początku maja na jednej ze ścian przestronnego hallu, co prawda nie w miejscu eksponowanym, lecz w „kąciuku”. Odtąd jej „redaktorzy” codziennie przypinają szpilkami do arkusza kartonu wycinki z prasy na temat najnowszej historii. Ten niecodzienny, acz regularny i bogaty serwis prasowy budzi żywe zainteresowanie czytelników biblioteki naukowej. Przed gazetką zbierają się ludzie, czytają, komentują teksty, niektórzy słowem, inni tylko gestem, a potem... Potem na opustoszałej tablicy pojawiają się apele „redakcji” o treści następującej: „Ludzie! Nie kradnijcie! Niech jak najwięcej osób to przeczyta. Po zdjęciu tekstów z tablicy można je otrzymać w...” (tu podano nazwiska i numer pokoju).

Publikacje z historii najnowszej wywołują szeroki rezonans społeczny, a przejawem tego jest choćby ogromna ilość listów napływających do redakcji gazet. Listy owe dzielą się na dwie grupy. Jedną stanowią te, których autorzy holdują zasadzie, że najważniejsza jest prawda o przeszłości, a prawda najbardziej nawet bolesna, surowa i gorzka jest lepsza od przemilczenia, upiększeń i fałszu. Drugą tworzą korespondenci, którzy nie aprobują krytycznych publikacji na temat stalinizmu i popełnionych w tej epoce błędów oraz zbrodni, kwestionują wiarygodność tych materiałów i usiłują powstrzymać płynący potok informacji na ten temat, pisząc do redakcji listy „w obronie Stalina”, listy „pogróżki” i „protesty”.

Krytyka radzieckiej historiografii

Czytelnik dziś praktycznie nie jest już w stanie zapoznać się ze wszystkimi nowymi publikacjami z tego zakresu, a kłopoty z ich kompletowaniem mają, jak się wydaje, nawet bibliografowie i informatycy. Nowością uderzającą w tym wszystkim jest jednak zwłaszcza publiczna krytyka stanu radzieckiej nauki historycznej, szczególnie historiografii dzieł ZSRR. Krytyka ta stała się możliwa dopiero dzięki „głosności” i stanowi oczywiście integralną część procesów, które składają się na „pierestrojkę”. Krytyczne oceny uprawianego dotąd dziejopisarstwa, zarzuty pod adresem historyków wyrażane nierzadko gwałtownie i ostro, nasiliły się w ostatnich miesiącach. Jak pisał prasa, społeczeństwo wzywa radzieckie nauki historyczne „przed sąd” opinii publicznej, żądając „zdania sprawy z tego co zostało zrobione” („Sowietskaja Kultura” 14 VI 1988). Przypomnijmy tu także, że jak doniosła owa prasa, decyzja władz oświatowych tegoroczny absolwentom szkół średnich zniesiono obowiązkowy dotąd egzamin końcowy z zakresu historii ZSRR i wiedzy o społeczeństwie. Powodem stała się merytoryczna dyskwalifikacja podręczników z tych przedmiotów („Izwestija” 13 VI 1988, s. 6).

Poczynania nowatorów napotykały, rzecz jasna, silny opór środowisk nastawionych konserwatywnie, zwolenników dotąd uprawianego dziejopisarstwa, obrońców i przedstawicieli tzw. historiografii oficjalnej, koniunkturalnej i tendencyjnej, anachronicznej nie tylko z perspektywy dnia dzisiejszego.

Czytelnik uważny dość łatwo może dostrzec linie podziałów, różnorodny sposób myślenia i odmienne preferencje tematyczne wśród zespołów redakcyjnych tych z radzieckich czasopism, które najmocniej zaangażowały się w sprawę wypełniania „białych plam” w historii. Jest na przykład grupa periodyków jak „Ogoniok”, „Moskowskije Nowosti”, a zapewne też „Literaturnaja Gazeta”, które od początku „pierestrojki” walczyły o jej sukces. One też niewątpliwie przyczyniły się wydatnie do rozszerzenia „głosności” w życiu publicznym, także przez to, że podjęły druk odważnych artykułów historycznych mających ukazać prawdę o przeszłości społeczeństwa i państwa radzieckiego. Od pewnego czasu na łamach tych czasopism zdają się dominować publikacje historyczne poświęcone represjom stalinowskim, tym z końca lat trzydziestych i późniejszym, ich mechanizmom i konsekwencjom, choć nie brak i artykułów poświęconych analizie stalinizmu, wojnie lat 1941—1945 i in.

Polemiki z tego rodzaju podejściem do sprawy „białych plam” w historii znaleźć można na przykład na łamach takich miesięcz-

ników, jak „Nasz Sowremiennik”. Tu znacznie więcej miejsca poświęca się analizie problemów wcześniejszej epoki dzieł ZSRR, zwłaszcza kolektywizacji z lat 1929—1933. W niej bowiem przede wszystkim szukać należy, jak dowodził w tym piśmie jeden z autorów, klucza do zrozumienia stalinizmu i źródeł późniejszych meandrów historii radzieckiej i socjalizmu.

Zainicjowali ten proces i odgrywają w nim nadal główną rolę przede wszystkim pisarze, publicyści, reżyserzy filmowi i teatralni. To właśnie oni nie boją się podejmować tzw. trudnych tematów historycznych, to oni wkraczają do takich obszarów przeszłości, które do niedawna były zakazane i noszące miano tzw. sfery milczenia, to oni rozpoczęli swą twórczość wypełnianie „białych plam”. Pod tym względem zdecydowana większość zawodowych historyków pozostała za nimi daleko w tyle. Wyjątek stanowił grupa nieliczna, ale bardzo aktywna na polu „pierestrojki” w historii jak np. Jurij Afanasjew, Roy Miedwiediew czy Aleksander Samsonow.

Jeden z przedstawicieli tej grupy (A. Miercalow) sytuację określa następująco: „Ideowi przeciwnicy przebudowy spekulują na przedstawianiu w fałszywym świetle historii społeczeństwa radzieckiego, zwłaszcza Wielkiej Wojny Narodowej, roli jaką odegrał w niej Stalin, a nauka historyczna nadal pomija to milczeniem albo, co gorsza, wzmacnia je faktycznie bez zmian i poprawek książki i broszury napisane w okresie zastój. Dziś wyglądają one absurdalnie — jak ragu (rodzaj potrawy — P.S.) z fałszywego zająca, podane jako danie mięsne” („Moskowskaja Prawda” 10 VI 1988).

Z kolei prof. Piotr Rodionow, b. zastępca dyrektora, aktualnie konsultant Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR, pisze następująco:

„W odróżnieniu od pisarzy i dramaturgów

kapitalizmu, a zdecydowanie gorzej historii 70 lat jaka upłynęła po Rewolucji Październikowej”.

Jaka naprawdę była ta wojna?

W toku dyskusji padło wiele słów ostrej krytyki, czasem bezlitosnej, pod adresem historyków, poziomów ich badań i publikacji. Wiktor Astafiew, wybitny pisarz, mówił przede wszystkim o historiografii Wielkiej Wojny Narodowej (1941—1945). Ileż gorzko zawierał jego słowa:

„Z tym co przez długi czas pisano o wojnie, ja jako żołnierz-frontowiec nie miałem żadnej styczności. Byłem na zupełnie innej wojnie. A przecież stworzono wagony, eszelony takiej literatury! I stworzono 13 tomów takiej historii. Dzieła bardziej sprytnego, fałszowanego, przyrządzonego na łapę-capę, wprost zmyślonego niż znaliśmy. Tworzyli je tam za totem. Ludzie bardzo sprytni, wysoko opłacani, ludzie doskonale wiedzący co czynią”. I dalej — „My do tej pory nie wiemy, jakie straty poniesliśmy w Wielkiej Wojnie Narodowej. Być może ktoś wie — proszę, powiedzcie mi. Słyszałem mnóstwo różnych cyfr. A jednak chciałbym wiedzieć, jak koło śmierci tej wojny, ile ludności straciłiśmy”. W końcu Astafiew dramatycznie woła: „Kiedy wreszcie z nami, żyjącymi obecnie, już dożywającymi swoich lat przestaną rozmawiać jakimś półśłówkami, półaluzjami, półprawdami? Ta półprawda nas zmyczyła, doprowadziła do wyczerpania nerwowego i fizycznego”.

Tymczasem, jak wkrótce wyjaśnił w dyskusji historyk O. Rzeszewski, rozpoczęło ostatnio prace wielkiego zespołu nad przygotowaniem 10-tomowej historii Wielkiej Wojny Narodowej, przebiegającej praktycznie w starym stylu, zgodnie z przestarzałymi i krytykowanymi koncepcjami.

Także inni dyskutanci nawiązywali do tego tematu — aktualnego stanu radzieckiej historio-

w nauce historycznej — to nie tylko uwolnić się od ignorancji, od dochodzącego do pyzalkowości autorytaryzmu w sferze kierowania nauką. Takie nieszczerstwa mogą zniknąć wraz z odejściem z KC następców Trawieńskiego. Jednak najważniejsze w stalinizmie — monopol. Monopol na swą własną pojmowanie historii, na nowości w naukach społecznych, na pierwszeństwo w poznaniu źródła historycznego. Czekaj nas wypełnienie „białych plam” w historii, odtworzenie, ponowne zgłębienie jej nie tylko na poziomie zdarzeń, ale i wyartykułowanie jej w kategoriach naukowych, pojmowanie jej w sposób historyczny. W szczególności należy zwrócić uwagę na konieczność historyzowania naszej przeszłości, unaukowania historii”.

W rozważaniach prof. Afanasjewa na uwagę zasługuje postulat odrzucenia w nauce dogmatyzmu, przywrócenia zasady racjonalnego i twórczego podejścia do spuścizny teoretycznej W. Lenina i jego poszukiwań w sferze koncepcji socjalizmu. Historycy słusznie odnosi taką postawę w ogóle do marksizmu, domagając się krytycznego odczytania myśli jego twórców i zgodnie z ich intencjami traktowania marksizmu jako teorii żywej, realizowanej stosownie do uwarunkowań historycznych i procesów rozwojowych we współczesnym świecie.

„I tak zamiast starego klasycznego marksizmu, sprowadzonego do scholastyki, powinna odrzucić się żywa myśl marksistowska, intelektualnie mocna, rozwijająca się nieustannie. I naturalnie byłoby korzystnie słuchać współczesną nie dialogu z marksizmem zachodnim, a ścisłej mówiąc — z marksistami zachodnimi. Mam na myśli przede wszystkim Gramsciego i idących w jego ślady włoską tradycję, a także szkołę frankfurcką i marksistów węgierskich, którzy rozwijali w różnych — niech będzie, że nie bezdyskusyjnych — kierunkach interakcyjne problemy, na przykład stosunki między państwem i społeczeństwem we współczesnym świecie, a szczególnie zagadnienia roli politycznej państwa i niebezpieczeństwa upaństwowienia społeczeństwa”.

Jurij Afanasjew idzie w swoich wywodach znacznie dalej, wzywając do zmiany sposobu patrzenia na świat zachodni i „wyzwolenia się raz na zawsze od stereotypów, które demotyzują kapitalizm. Druga strona tej demotyzacji to fetyszycyzacja wszystkiego co powstało na Zachodzie, lub, mówiąc bardziej ogólnie, mitologizacja drugiego świata”. Jego zdaniem należałoby przyjąć nowy punkt widzenia na stosunki wzajemne z nauką niemarksistowską, a „niemarksistowską socjologię należy traktować poważnie, jak naukę bez cudzysłowu”.

Za sprawę szczególnie ważną i pilną uznaje podjęcie działań na rzecz wyprowadzenia nauki radzieckiej ze „stanu samizolacji intelektualnej”, w której znalazła się na początku lat trzydziestych. W konsekwencji takiej sytuacji „już trzecie pokolenie historyków radzieckich wkracza w życie, pozostając w swej masie w stanie niewiedzy co do prądów w zagranicznej humanistyce i myśli społecznej (...). Jeśli do tego dodać, że wielu z nas ukształtowało się bez zgłębiania i naszej ojczystej spuścizny historyczno-filozoficznej w znacznej jej części, to można sobie wyobrazić jakie luki musimy zlikwidować. U schyłku XX wieku, w epoce informatyki, kiedy prędkość obiegu i wymiany informacji osiągnęła granice nie da wyobrażenia w przeszłości, żadna kultura nie może żyć w izolacji. Dlatego dziś jest dla nas rzeczą fundamentalnie ważną integracja ze światem społeczeństwem intelektualną”.

Zamknięte archiwa.

Historycy radzieccy przyznają, że metodologia nie jest najmocniejszą stroną ich historiografii i mają jeszcze wiele do zrobienia w tej dziedzinie. Jedni mówią o tym dość ogólnie, inni, jak cytowany tu wielokrotnie Afanasjew, piszą o tym otwarcie. Jego zdaniem podstawowym warunkiem przywrócenia historii rangi naukowej jest odrzucenie raz na zawsze schematu „Krótkiego kursu”, ponowne przemyślenie pojęcia „prawda historyczna”, rezygnacja z pretendowania do monopolu na ową prawdę i przełamanie tradycji, odradzającej się także ostatnio, pisanie oficjalnej historii w formie jednej tzw. książki głównej. W badaniach historycznych, jak podkreśla uczyony, „konieczna jest głęboka metodologiczna odnowa. Większość historyków radzieckich nadal pracuje, nie mając pojęcia o najważniejszych kierunkach współczesnej historiografii, takich jak antropologia historyczna, historia życia umysłowego, demografia historyczna, strukturalizm, hermeneutyka. Powinniśmy zacząć poważnie dyskutować z historykami zachodnimi zajmującymi się dziejami naszego kraju”.

I wreszcie bardzo ważny w pracy naukowej historyka problem dostępu do źródeł archiwalnych. „Bez archiwów nie ma historii” — podkreśla A. Czugunow, dyrektor instytutu naukowo-badawczego dokumentacji i archiwistyki, w wywiedzie na łamach prasy („Izwestia” 3 VI 1988). Tymczasem niedługo dwa tygodnie później historyk P. Rodionow w innej gazecie stwierdza, że uzyskanie zezwolenia na korzystanie z materiałów archiwalnych „jest na razie bardzo trudne, albo i w ogóle niemożliwe”. Kiedy wreszcie będzie rozwiązany ten problem? Przecież przekazana ogromną ilość literatury ze „specjalerów” (dział prohibitor — P.S.) do ogólnodostępnych zbiorów bibliotek — i zrealizowano to dość sprawnie! Dlaczego zatem w sprawie archiwów zwlekamy? Archiwa — chleb powszedni dla historyków. Ich dostępność stała się ostrym, krzykającym problemem. Jak więc możliwe jest w tej sytuacji wypełnianie „białych plam”? („Sowietskaja Kultura” 14 VI 1988).

Podobnych wypowiedzi można tu przytoczyć wiele, a ich sens sprowadza się do tego, że mimo nieznacznego postępu w tej sferze w ostatnim czasie, materiały źródłowe przechowywane w różnego rodzaju archiwach (państwowych, resortowych np. MSZ, partyjnych i in.) pozostają praktycznie niedostępne dla szerszego kręgu badaczy, a całe zespoły archiwalne są wyłączone i w ogóle zamknięte dla historyków. Polscy historycy, którzy wcześniej i całkiem niedawno w archiwach radzieckich starali się o uzyskanie zezwolenia na korzystanie z materiałów źródłowych dotyczących historii najnowszej (po 1918 r.), mogą dodać wiele szczegółów na ten temat.

przygotowanych dwadzieścia lat temu, które dziś mogłyby wypełnić próżnię w naszej wiedzy o przeszłości. Naukę historyczną, a historiografię partii w szczególności dotknął najbardziej gorzki los. W stopniu największym była ona podatna na tak poważne braki jak dogmatyzm, tendencyjność, lakierowanie rzeczywistości. Przemilczenie i niedomówienie spowodowane koniunkturą polityczną nieuchronnie wiodły do odejścia od prawdy historycznej, czyniąc wielkie szkody „prestizowi nauki” (czym ślamiśmy kredyt zaufania. Rozmyślenia historia partii, „Sowietskaja Kultura” 14 VI 1988).

Proby analizy sytuacji zaistniałej w radzieckich naukach historycznych podejmują przede wszystkim sami historycy, poszukując dróg wyjścia z kryzysu, na ten temat toczą się publiczne dyskusje.

Jak dziś pojmować przeszłość?

Przed kilkoma miesiącami (27—28 IV 1988) odbyła się w Moskwie konferencja nt. „Aktualne problemy nauki historycznej i literatury”. Zorganizowana została przez Akademię Nauk ZSRR, Związek Pisarzy ZSRR i Akademię Nauk Społecznych przy KC KPZR. Pisarze i uczeni debatowali o stanie historii jako nauki, o współczesnym sposobie pojmowania przeszłości i zadaniach historyków. Konferencja wywołała spore zainteresowanie, nie sposób jednak w krótkim szkicu omówić dokładnie jej przebieg. Zainteresowani mogą zresztą sięgnąć do materiałów konferencji, których druk zapowiadano w specjalistycznym periodyku („Woprosy Istorii” 1988, nr 6).

Sekretarz związku pisarzy W. Karpow w przemówieniu wstępnym nawoływał historyków i literatów do wspólnych działań na rzecz przekształcania świadomości historycznej społeczeństwa. Apelowal, aby zająć się nie tylko wypełnianiem „białych plam” jedną farbą — czarną, ciagle pisząc tylko o negatywnych zjawiskach z przeszłości, wypaczeniach i represjach, ale tworzyć kształt prawdziwej historii radzieckiej w jej pełnym wymiarze, ze wszystkimi barwami życia.

Autor jednego z głównych referatów, wiceprezydent Akademii Nauk ZSRR, prof. P. Fiedosiejew stwierdził:

„Wszelkierne i obiektywne podejście do sprawy oświecenia problemów przeszłości i teraźniejszości — to wymóg nie tylko prawdy, ale i sumienia”.

Główne zadanie historyków i literaturoznawców polega na „odkryciu obiektywnej logiki historii, jej prawidłowości, związków pomiędzy historycznymi wydarzeniami, ukazaniu konsekwencji idei Wielkiego Października, dzieła rewolucji i obecnej przebudowy. Zarazem czeka nas wypełnianie „białych plam”, przywrócenie historycznej sprawiedliwości, oddanie należnego tym, kto był bezprawnie represjonowany, niesprawiedliwie zapomniany, ukazanie zarówno sukcesów społeczeństwa radzieckiego, jak i niepowodzeń”.

Podobnie historyk W. Kasjanienko, członek-korespondent Akademii Nauk i redaktor naczelny miesięcznika „Woprosy Istorii KPSS”, podkreślił w swoim referacie, że „historia stała się obecnie swego rodzaju polem magnetycznym powszechnego poruszenia, wywierającym dostrzegalny wpływ na proces oświecania pamięci historycznej naszego narodu”. Analiza aktualnego stanu historiografii radzieckiej i strat jakie poniosły środowiska historyków w okresie represji stalinowskich doprowadziła do gorzkich wniosków:

„Historia obecnie znajduje się w krytycznym położeniu. Jak się okazuje znacznie lepiej znamy historię Ojczyzny okresu średniowiecza i

grafii i odpowiedzialności społecznej historyków. Najciekawszą bodaj opinią przedstawił prof. Jurij Afanasjew, rektor Moskiewskiego Państwowego Instytutu Historyczno-Archiwistycznego. Swoje poglądy na te kwestie szerzej rozwinął później w obszernym artykule pt. „Przebudowa i wiedza historyczna” („Literaturnaja Rossija” 17 VI 1988, nr 24).

Jego diagnoza nie ogranicza się do oceny samego stanu badań naukowych, ale dotyczy również podrekrutacji szkolnych. Na ten temat pisze on tak:

„W podręczniku dla klasy 9 z historii ZSRR, na przykład, nie znajduje się ani jednej niefałszowanej strony. Cały podręcznik-klamstwo, które nauczyciele zmuszeni są wbić do młodych głów. To samo prezentują sobą i podręczniki dla wyższych uczelni, szczególnie z zakresu dzieł ZSRR i historii KPZR. W przeciagu ostatniego dziesięciolecia pod względem koncepcji nie wyszliśmy poza granice stalinowskiego „Krótkiego kursu historii WKP(b)”.

Wydało mi się, że gdybyśmy spróbowali wspólnie odpowiedzieć na pytanie, co prezentuje dziś sobą nauka historyczna, to doszlibyśmy do wniosku, że nie ma prawdopodobnie na świecie kraju z historią tak zafałszowaną jak nasza. Dotyczy to przede wszystkim dzieł ZSRR. Ale nie tylko. Fałszując historię ZSRR historycy nierzadko czynili to samo z przeszłością okresu sprzed rewolucji październikowej. Myślę jednak, że obwiniać o ten stan rzeczy tylko samych historyków i podtrzymać mit, że, jak mówią, historycy nasi to ludzie śli, byłoby rzeczą absolutnie niesłuszną — nie o to chodzi, albo nie tylko o to.

Nie wolno zapominać, że ciosy zadane przez reżim stalinowski literaturze, genetyce, cybernetyce i innym naukom zostały zadane również historii. Powinniśmy pamiętać o pogromach, które przeprowadzono i w nauce historycznej — poczynając od sprawy (E) Tariego i (S) Platonowa i kończąc na ponurym okresie, kiedy (S) Trawieńnikow (kierownik Wydziału Nauki KC KPZR w okresie breżniewskim — P.S.) i jego pomocnicy szczerliwie przeciwko Tarnowskiemu, Wolobujewowi, Gefferowi, gdy przez długi czas pastwił się nad (W.) Polikarpowem”.

W tej ostatniej sprawie wiele smutnych i wstrząsających szczegółów dotyczących losów wybitnych historyków i ich dzieł podał dyskutanci na omawianej konferencji. Jak wiadomo owe negatywne zjawiska w radzieckich naukach historycznych brały swój początek w sytuacji politycznej jaka powstała w ZSRR w drugiej połowie lat dwudziestych, a ostatecznie o kierunku rozwoju jego dziejopisarstwa przesądził list Józefa Stalina do redakcji czasopisma „Proletarskaja Rewolucja” (1931). Stalin przedstawił tam swój pogląd na problemy historii, odtąd przez lat kilkadziesiąt obowiązujący jako aksjomat w radzieckiej historiografii.

Zdaniem wielu historyków przyczyn konserwatyzmu w historii i innych naukach społecznych okresu ostatniego dwudziestolecia nie można sprowadzić tylko do poczyną twórcy tzw. trawieńnikowszczyzny. Jak wyznał ostatnio prof. P. Rodionow „należy uczciwie powiedzieć, że „trawieńnikowszczyzna” została zrodzona przez ogólną linię ówczesnego kierownictwa partyjnego, która wyróżniła się skrajnym konserwatyzmem. Jeżeli zaś mamy mówić o konkretnych osobach, to nosicielem podobnego konserwatyzmu (i nie tylko w naukach społecznych) był przede wszystkim M. A. Susłow, spełniający rolę głównego ideologa partii, jeśli nie kogoś więcej” („Sowietskaja Kultura” 14 VI 1988).

Historycy zaangażowani w sprawę „pierestrojki” w nauce zgodnie stwierdzają, że w tym względzie punktem wyjściowym jest przezwyciężenie stalinizmu, ciagle jeszcze ciężącego na historiografii radzieckiej. Jednocześnie, jak podkreśla J. Afanasjew, „przewyciężenie stalinizmu

Był sobie Lekarz i była Pielęgniarka. On — około trzydziestki, przystojny i żonaty. Ona — prosto po szkole, do wzięcia. Poznali się w szpitalu, w którym oboje pracowali. I bardzo przypadli sobie do serca. Za sprawą Lekarza i własnej bezmyślności Pielęgniarka stała się narkomanką. Brała dolargan — środek przeciwbólowy, którego on jej dostarczał. Kiedy o skłonnościach Pielęgniarki dowiedział się Ordynator oddziału, polecił jej zwinąć się z pracy, mimo że badania nie potwierdziły u niej uzależnienia lekowego, a ona wszystkiemu zaprzeczała.

Pielęgniarka chciała zerwać z Lekarzem i dolarganem, ale na wieść o tym Lekarz zaczął ją szantażować. Aby utrzymać się w kolejnym szpitalu, musiała więc wrócić do niego i narkotyku. Po uzyskaniu zgody na zmianę zawodu oraz dzięki pomocy nowej sympatii — Rzemieślnika, udało się wreszcie Pielęgniarkę wyzłocić z nalogu. Rzuciła także Lekarza. Ten jednak nie mógł się z tym pogodzić. Wciąż dzwonił, wystawał pod jej domem, śledził wieczorami, gdy wracała z pracy na drugiej zmianie. Prosił, aby znów do niego wróciła. Pielęgniarka mówiła jednak: nie!

Pewnej lipcowej nocy lekarz został dotkliwie pobity.

Ze złamaną w kilku miejscach szczęką i wstrząsem mózgu trafił do „swojego” szpitala, gdzie troskliwie się nim zajęto. Jest to bowiem naprawdę dobry szpital. Kiedy wyszedł po tygodniu, złożył na milicji doniesienie. Powiedział, że został telefonicznie wywołany z domu, a następnie uderzony przez narzeczonego Pielęgniarki — Rzemieślnika. Motywem przestępstwa była zazdrość: miał zostawić dziewczynę w spokoju.

Milicja natychmiast wszczęła śledztwo. Przebiegało szybko i bez większych trudności. Była ofiara, motyw oraz podejrzany. Wszystko układało się też w logiczną całość. Sporządzono więc akt oskarżenia i wkrótce Prokuratura skierowała sprawę do sądu, który skazał Rzemieślnika na rok pozbawienia wolności, dając mu równocześnie karę na mocy ustawy o amnestii. I nie byłoby w tym może nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że podejrzany — u parcie nie przyznawał się do winy, a na noc, w którą dokonano pobicia, miał dosyć pewne alibi.

Przedstawiona przez Lekarza w śledztwie wersja wydarzeń wyglądała tak: ósmego lipca wieczorem spotkał Pielęgniarkę w pobliżu firmy polonijnej, w której wówczas pracowała. Zatrzymał ją na ulicy, aby złożyć spóźnione życzenia imieninowe. Pielęgniarka powiedziała mu, że umówiona jest właśnie ze swoim narzeczonym. Zaproponował, że ją do niego podwiezie i zaprosił do samochodu. Wsiadła, ale gdy narzeczonego nadszedł niebawem, wybiegła mu na spotkanie. Lekarz widział go dobrze po drugiej stronie ulicy.

W kilka godzin później, około pierwszej po północy w mieszkaniu Lekarza zadzwonił telefon. Nieznany osobnik przedstawił się z nazwą jako narzeczonego Pielęgniarki i chciał porozmawiać na jej temat za parę minut przed blokiem. Lekarz ubrał się i szedł na dół. Do rozmowy jednak nie doszło, gdyż czekający na niego Rzemieślnik uderzył go raz pięścią w twarz, mówiąc, żeby zostawił wreszcie w spokoju jego dziewczynę. Był to bez wątpienia ten sam mężczyzna, którego przed kilku godzinami widział na ulicy — barczysty, krótko ostrzyżony blondyn, mierzący ponad metr ośmiędziesiąt wzrostu. Widziała go również żona Lekarza, która z okna obserwowała zajście przed blokiem, a potem zbiegła mężowi na pomoc.

W dwa dni po wyjściu Lekarza ze szpitala, zatelefonowała do niego Pielęgniarka z prośbami, aby przyszedł do niego chłopaka i prosiła, aby całe to przykre zdarzenie puścił w niepamięć. Ze zrozumiałych względów nie mogło być o tym jednak mowy.

Żona Lekarza dodała, iż ostrzegła go, by nie wychodził w nocy przed blok. Później, widząc, iż został uderzony, krzyczała z okna do napastnika, że wezwie milicję, ale ten — barczysty blondyn — zawołał tylko, że lepiej gdyby mąż pilnował żony, a nie uganiał się za kobietami, i zniknął w mroku nocy. Kiedy zbiegła na dół, Lekarz odzyskał już przytomności po zadanych ciosach. Około trzeciej odwozila go samochodem do szpitala.

Rzemieślnik początkowo nie potrafił powiedzieć milicji, co robił ponad miesiąc wcześniej, ósmego lipca. Potem przypomniał sobie, że tego dnia pojechał w odwiedziny do szwagra, do Piotrkowa Trybunalskiego. Wrócił następnego dnia, nocując tam, jak miał to w zwyczaju. Nie mógł zatem popełnić zarzucanego mu czynu. Poza tym — nie zna Lekarza, nie widział go nigdy na oczy i właściwie nie o nim nie wie oprócz tego, że łączyła go kiedyś bliższa znajomość z Pielęgniarką.

Pielęgniarka wyjaśniła, że ósmego lipca wieczorem (ale czy na pewno ósmego, nie pamięta) widziała się z Lekarzem, który najwyraźniej czekał na nią na ulicy w pobliżu firmy. Przez około kwadrans rozmawiali o tym, aby do niego wróciła, po czym rozstali się. Ona pojechała do domu, a Lekarz oddał się swoim samochodem. Z narzeczonego w ogóle nie widziała się tego wieczora. O pobiciu Lekarza dowiedziała się od koleżanki w szpitalu, ale nie poszła do sali, w której leżał, ani też nie telefonowała później do niego.

Zatrzymawszy na kilkanaście godzin w areście Rzemieślnika, milicja przesłuchiwała jego szwagra. Odbyło się to w Piotrkowie, a świadka nie trzeba było specjalnie szukać, gdyż pracuje on w... Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych. Przesłuchany w zasadzie potwierdził, że gościł u siebie w lipcu Rzemieślnika, nie był jednak pewien — siódmego czy ósmego. Najpewniej zdarzyło się to z wtorku, na środek, gdyż w poniedziałek odbywał podróż w góry.

Tyle ustalono w śledztwie. O szczegóły znajomości Lekarza z Pielęgniarką nikt nie pytał. Nie wypłynęła też na światło dzienne sprawa dolarganu. Dlaczego nie wspominał o niej Lekarz łatwo się domyślić. Pielęgniarka bała się, iż o zażywaniu przez nią narkotyku dowie się Rzemieślnik, przed którym to ukrywała, a Rzemieślnik powiedzieć nie mógł, gdyż po prostu o niczym nie wiedział.

W sądzie Lekarz zmienił nieco zdanie na temat wyglądu podejznanego, ponieważ wszyscy tam obecni mogli się nacznie przekonać, iż

Smutna, ale prawdziwa opowieść o ludzkiej naiwności i podłości. Część II.

Lekarz, Pielęgniarka i inni

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Rys. Rafał Ciesielski

nie jest on ani za wysoki, ani barczysty, ani też nie ma blond włosów. Sam sądził, że jest szatynem. Mimo to, Lekarz dalej utrzymywał, iż rozpoznaje w podejrzany sprawcę pobicia, a podając jego rysopis... pomylili się.

Żona Lekarza podała, że telefon zadzwonił około drugiej w nocy. Powiadomiła również sąd, iż pod koniec sierpnia zatelefonowała do niej Pielęgniarka, i opowiadała, co łączyło ją z jej mężem, a on to potem potwierdził. Kiedy umówiły się w kawiarni na spotkanie, Pielęgniarka groziła, że jeśli Lekarz nie wycofa zgłoszenia na milicji, to ona się na nim zemści, po czym wyjaśniła z rozbrajającą szczerością, że Rzemieślnik nie mógł być sprawcą pobicia, gdyż jest po poważnej operacji wątroby.

Pielęgniarka uświadomiła sądowi, że Lekarz dobrze wiedział, kto jest jej narzeczoną i że znał jego imię oraz nazwisko. Przyznała, że istotnie powiadomiła żonę Lekarza o romansie. Zaprotestowała natomiast kategorięcznie temu, że groziła jej zemstą.

Szwagier Rzemieślnika przypomniał sobie, że podejrzany był u niego na pewno w nocy z ósmego na dziewiątego lipca i dodał, że może to potwierdzić również jego sąsiadka, która tamtego wieczora przyszła do niego zatelefonować.

Wesłana przed oblicze Temidy sąsiadka potwierdziła ten fakt.

Na wniosek oskarżyciela przesłuchano też jeszcze jednego świadka — pielęgniarkę ze szpitala, pracującą na tym samym oddziale, co Lekarz, a mającą dyżur następnego dnia po pobiciu. Zeznała ona, że właśnie wtedy przyszła do niej dawna koleżanka, Pielęgniarka, zaniepokojona... stanem zdrowia Lekarza. Na pytanie skąd wie o pobiciu, przyznała w tajemnicy, iż zrobił to jej narzeczonego.

Pielęgniarka odpowiedziała na to, że była wprawdzie owego dnia w szpitalu (w odwiedzinach u chorej ciotki) i widziała się tam przypadkowo ze swą dawną koleżanką, ale nie zwierzała się jej, że wie, kto dokonał pobicia. Mało tego: to właśnie od niej usłyszała, że Lekarz został pobity podobno przez jakichś dwóch facetów, gdy późnym wieczorem wracał do domu. Nie była tym zaskoczona, gdyż chwilę wcześniej opowiedziała to jej inna koleżanka. Zresztą cały szpital o tym wtedy mówił.

W tej sytuacji sąd przyjął za udowodnione fakt, iż to oskarżony jest sprawcą pobicia, opierając się głównie na zeznaniach pokrzywdzonego, gdyż były one „logiczne, konsekwentne i to pełni przekonujące”. Wyjaśnienia oskarżonego okazały się „cyfrowe”, zaś Pielęgniarka, funkcjonariusz milicji z Piotrkowa oraz jego sąsiadka z wyjątkiem — zdaniem sądu — kłamli.

Dla Rzemieślnika, choć właściwie od początku czuł, że przydzielono mu rolę kozła ofiarnego, wyrok skazujący był zaskoczeniem.

Tym większym, że: miał alibi, rysopis podany w śledztwie przez Lekarza zupełnie nie odpowiadał jego wyglądowi, w wywiadzie lekarskim przy przyjęciu do szpitala pokrzywdzony podał, że „kiedy wracał do domu, przed blokiem, w którym mieszka, został pobity przez nieznanego mężczyznę”, a na dodatek jeszcze w czasie konfrontacji na milicji ustawiono Rzemieślnika między dwoma pięćdziesięciolatkami (na oko), jakże więc Lekarz mógł go, dwudziestoparolatka nie rozpoznać?

Obronca Rzemieślnika podniósł ten ostatni fakt na rozprawie. Zgłosił też wniosek o przesłuchanie w charakterze świadków owych, uczestniczących w „okazaniu” ludzi, których udało się jakoś odnaleźć. Sąd jednak do przesłuchania ich nie dopuścił, choć czekał za drzwiami sali rozpraw, wychodząc z założenia, że nawet jeśli „okazanie” nie było zgodne z podstawowymi zasadami kryminalistyki, to i tak nie miało to dla sprawy żadnego znaczenia. Podobnie nie wzięto pod uwagę zaświadczeń

zeń lekarskich, z których wynikało, że Rzemieślnik ma poważne kłopoty ze zdrowiem m.in. w związku z przebyciem w dzieciństwie pęknięciem wątroby, co w przesłuchaniu o broni świadczyć mogło o braku dużej siły fizycznej. A przecież Lekarz — prawie dwumetrowe chłopisko — doznał złamania szczęki w kilku miejscach od jednego tylko, jednego ponoc ciosu!

Nie mniej zaskoczona przebiegiem śledztwa i rozpraw w sądzie była też Pielęgniarka. Długo nie chciała się jej pomścić w głowie, jak można skazać człowieka niemal wyłącznie na podstawie zeznań poszkodowanego, a także — jego żony i podlegającej mu służbowo pracownicy szpitala, nie dając przy tym wiary szwagrowi oskarżonego i jego sąsiadce. Dowodów materialnych przeciwko żadnemu nie było, choć fakt pobicia nie mógł ulegać wątpliwości. Bezstronnych świadków — również. Czyż wobec tego sąd nie powinien przystąpić w myśl zasady, że gdy nie ma przekonujących dowodów przestępstwa, lepiej uniewinnić przestępcę niż skazać niewinnego?

Sen z powiek spędzała dodatkowo świadomość, że to niejako przez nią Rzemieślnik został skazany, że przez jej romans z żonatym Lekarzem, przez narkotyki, przez jej naiwność i głupotę cierpieć muszą teraz inni. Były to nie tyle może wyrzuty sumienia, bo do winy za wyrok w sądzie tak naprawdę się nie poczuwała, ile jakiś niewypowiedziany żal do losu, że tak jej ułożył życie, że wszyscy i wszystko sprzyściło się przeciwko niej. A że tak jest, było więcej niż pewne. No bo dlaczego mimo to, co się stało, Lekarz wciąż ją nęka? Dlaczego lazi za nią, wydzwaniał? To przekracza już — myślała — wszelkie granice. Chciała spokoju, zapomnienia, ostatecznego zerwania z przeszłością. Na próżno. Uciekała przed nim, ukrywała się... Pomagała na kilka dni, bo znowu dzwonił, znowu widział, jak czekał...

A przecież nie był to jedyny problem Pielęgniarki. Drugi, nie mniej ważny.

Powiedzieć Rzemieślnikowi prawdę o narkotykach, czy nie? Co robi, gdy się dowie? Tak bała się go stracić. Tak bardzo był jej potrzebny... Więc czy powinna? Gdyby tak ktoś mógł jej doradzić? Ale kto?

Napisala do „Monaru”. Zajmując się narkomanami, to i jej może pomogą. Potem poszła na umówione spotkanie. Panowie byli uprzejmi, umieli słuchać. Przyznali zgodnie, iż rzeczywiście znalazła się w niełatwej sytuacji. Ale nie ma sytuacji bez wyjścia. A narzeczonego lepiej chyba wyznać całą prawdę. Powinien zrozumieć, a jej na pewno będzie lżej. Kto wie też, czy nie warto by powiadomić Prokuratury o postępowaniu Lekarza. Niezależnie od tego, oni postarają się z nim skontaktować, przemówią mu do rozsądku. I niech utrzymuje z „Monarem” stały kontakt.

Człowiekowi czasem potrzeba, aby ktoś powziął za niego trudną decyzję, a choćby upewnił go, że słusznie zamierza. Toteż kiedy Pielęgniarka usłyszała, że lepiej powiedzieć, zebrała się w sobie i pewnego dnia pozbyla przykrego ciężaru.

Ale ciężar był zbyt duży, aby Rzemieślnik mógł go unieść, za gwałtownie spadł na jego ramiona i duszę, i chłopak ugiął się pod nim, odsunął od siebie przerażony wyznaniemi dziewczyny i odszedł. Sam miał za sobą również przykre doświadczenia: nieudane małżeństwo, wyrok skazujący za pobicie Lekarza. Nie, tego było stanowczo za wiele. Potrzebował czasu, aby wszystko sobie przemyśleć, poukładać. Dlatego zrobił w tył zwrot.

Dla Pielęgniarki był to kolejny szok. Nagle została zupełnie sama — opuszczona, przegrana, zalaną. Znowu zaczęła myśleć o dolarganie i gdyby miała go pod ręką, wzięłaby niechcynnie. Po ponad rocznej już abstinencji! Wkrótce — jakby wszystkiego było jeszcze mało! — zorientowała się, że jest w ciąży. Ogarnęła ją przerażenie, że oto w takiej sytuacji ma niedługo urodzić dziecko! Przerażenie, ale i — inne spojrzenie na świat, na siebie samą. Nieoczekiwanie to właśnie dodało jej siły.

Za radą „Monaru” złożyła wniosek w Prokuraturze o wszczęcie postępowania przygotowawczego przeciwko Lekarzowi. Opisała w nim dokładnie, w jaki sposób uzależnił ją od dolarganu, a następnie wykorzystywał i nękał, wskazała świadków, dołączyła posiadane dokumenty. Uważała, że po tym, co przeżyła, należy się jej jakaś satysfakcja, jakieś zadośćuczynienie. Chciała, by i Lekarz zaczął wreszcie pić piwo, którego razem przecież nawarzyli. Czyż bowiem sprawiedliwe jest — myślała — żeby tylko ona miała ponosić konsekwencje swoich, ale i jego błędów? A jeśli jej miejsce zajęła teraz jakaś inna, młoda dziewczyna? Jeśli ją także uzależnił lub zrobi to w najbliższym czasie? Nieraz, i taka nachodziła ją myśl.

Do wniosku Pielęgniarki Prokuratura podeszła jak pies do jeża: coś należało z nim zrobić, jakoś nań zareagować, ale... — sprawa nie w pełni jasna, trudna, delikatna, dotycząca jednostki służby zdrowia, o której nikt nie ważył się mówić źle. Pielęgniarka od pierwszej chwili odniosła wrażenie, jakby dostarczyła na prokuratorskie biurko zgłębione jajo, którego lepiej nie rozbić, chcąc poznać, co jest w nim w środku. I w miarę upływu czasu utwierdzała się w tym przekonaniu coraz bardziej.

Sprawa istotnie była trudna. Z przedstawionych, nielicznych dokumentów niewiele wynikało, wnioskodawczyni wcale nie musiała pisać przeciw całej prawdzie, a żadne dowody przestępstwa nie istniały. Pozostawało więc jedynie „rozsądzić”. Lekarza oraz wskazanych świadków. Może potwierdzą...? Rutynowo „rozsądzenie” zlecono milicji.

Jak można się było spodziewać, Lekarz nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Wyjaśnił, że wprawdzie podał kilkakrotnie Pielęgniarkę dolargan w zastrzyku, ale — każdorazowo za wiedzą i zgodą ordynatora oddziału. Przesłał natychmiast, gdy ten ostatni uznał to za niewskazane. Zdarzało się natomiast na oddziale, że resztki nie wykorzystanego dolarganu z ampułek ginęły w tajemniczych okolicznościach. Podejrzenie o ich kradzież skierowano właśnie na Pielęgniarkę.

Ordynator także wspominał o giniących resztek środków odurzających i że podejrzewał Pielęgniarkę, która — jak się dowiedział — bierze dolargan. Aby zapobiec dalszym kradzieżom, najpierw skierował ją na obserwację psychiatryczną, a potem zwolnił z pracy. Nie zauważył przy tym, aby któryś z lekarzy pobierał nadmierne ilości tych środków.

Zastępca ordynatora i jeszcze jeden ze wskazanych lekarzy przedstawili podobne odpowiedzi, zaś koleżanka Pielęgniarki zaprzeczyła, aby kiedykolwiek robiła jej zastrzyk z dolarganu o czym wspomniane było we wniosku.

Na tym „rozsądywanie” zakończono, a prokurator po zapoznaniu się z notatkami milicji z rozmów ze świadkami, oświadczył, że postępowania przeciwko Lekarzowi. Stwierdził autorytatywnie, że nie ma ku temu żadnych podstaw, skoro aż pięć osób nie potwierdziło rzekomego uzależnienia Pielęgniarki od narkotyku, a ponadto przeczyła temu też karta informacyjna ze szpitala psychiatrycznego, w którym Pielęgniarka przebywała na trzytygodniowej obserwacji. I właśnie to ostatecznie przesądziło sprawę. Dokument jest dokumentem!

Na nie zdążył się tłumaczyć dziewczyny, dlaczego w karcie wyniku obserwacji jest negatywny, na nie — twierdzenie, że wszyscy „rozsądzani” mieli ważne powody, aby zanegować to, co podała i że w milijnych notatkach nie brak pewnych niejasności, a nawet sprzeczności. Odpowiedzi była jednoznaczna.

Nie chcą, po prostu nie chcą — doszła w końcu do przekonania Pielęgniarka, którą odmowa ta niezmieniła zaskoczyła. Bo jak inaczej, skoro ona podaje dwudziestu dziewczynom świadków, a przesłuchuje się tylko pięćdziesięciu? To właśnie tych, którzy mają żywoty interes w obronie Lekarza? Dlaczego prokurator nie zainteresował się zupełnie, jej znajoma, która przypadkiem widziała, jak Lekarz przekazywał jej w kawiarni ampułkę dolarganu? Dlaczego nie zadano sobie nawet trudu, aby dowiedzieć się, jak działa ten środek, po ilu i jakich dawkach może nastąpić uzależnienie, czy i w jaki sposób jest ono do wykrycia przez psychiatrów? Wreszcie — na chłopski rozum: jeśli obserwacja szpitalna nie wykazała u niej uzależnienia i nie udowodniono jej kradzieży narkotyków, dlaczego ordynator powiedział, że zwolnił ją z pracy? Dlaczego dostała tak dobrą opinię? Po co prosiłaby władze o zgodę na zmianę zawodu? W jakim celu zwracałaby się do „Monaru”? Czy to nie daje już do myślenia? Przecież nie komplikowałaby sobie tak bardzo życia, gdyby cała historia wyszła na jaw z palca!

Ale jasne: za Lekarzem stoi szpital, w którym nadal pracuje, jego kolezdy i przełożeni uzbrojeni w tytuły naukowe, stanowiska, układy. A za nią — kto? Komu oprócz niej samej zależy na poznaniu prawdy? Komu oprócz niej ta prawda jest potrzebna? Gdyby wyszła na jaw, potrzebna instytucja mogłaby nadwerżnąć swój prestiż i autorytet. Ona nie ma już nic do stracenia.

Kilka miesięcy temu Pielęgniarka urodziła zdrowego synka.

Rzemieślnik przemyślał sobie wszystko i wrócił do niej i do dziecka. Lekarz przestał dzwonić i wystawał pod domem. Wrócił na łono rodziny, na którym może teraz żyć długo i szczęśliwie.

P.S.

O losach Lekarza i Pielęgniarki dowiedzieliśmy się za pośrednictwem „Monaru”. To właśnie stamtąd wyszła inicjatywa przedstawienia ich do publicznej wiadomości.

Zbierając materiały do reportażu, rozmawiałem z Pielęgniarką, jej znajomą, która widziała przekazywanie w kawiarni ampułki, narzeczonego Pielęgniarki — Rzemieślnikiem, prokuratorem, lekarzem psychiatrą — specjalistą w dziedzinie uzależnień lekowych i lekarzem anestezjologiem, który w swej praktyce często miał do czynienia z dolarganem.

Bardzo zależało mi na rozmowie także z Lekarzem. Zatelefonowałem do niego, proponując spotkanie. Po dosyć długich pertraktacjach, zgodził się przyjechać do redakcji. Tuż przed umówionym terminem zadzwonił, informując, że może się z mną widzieć wyłącznie po uzyskaniu przez mnie zgody jego przełożonych. Dotarłem do nich. Stanowczo odmówili mi jakichkolwiek kontaktów z Lekarzem, Ordynatorem, czy innymi pracownikami szpitala, powołując się na tajemnicę służbową, konieczność ochrony wysokiego prestiżu społecznego pracowników służby zdrowia, mój rzekomy zamiar uczynienia ze sprawy „taniej sensacji” oraz fakt, iż bada ją podobno Prokuratura Generalna PRL. Ich zdaniem, Pielęgniarka — była żona oficera Wojska Polskiego — jest osobą niezrównoważoną, nieodpowiedzialną i palającą żądzą zemsty na Lekarzu za to, że ją rzucił. A kobiety — jak wiadomo — zdolne są do wszystkiego.

Przy okazji „była żona” oświadczyła mi, że od samego urodzenia jest panną.

P. T.



Płyną pisma, wnioski, postulaty, rwą się tynki, wybucha gaz i administracja pozostaje bezsilna. Nawet z siedziby UD Śródmieście laża chwila coś się urwie.

To było poważne ostrzeżenie

MAREK KOPROWSKI

13 czerwca 1988 roku, osiemnaście minut przed dwunastą w południe.

Babcia wraz z 11-letnim wnuczką wyszła na balkon, żeby spędzić mszycę z groszku i poprzerwać zbyt rozrośnięte rośliny. Nagle, oboje tracą grunt pod nogami i babcia, Zofia G., uderzając po drodze o balustradę balkonu na II piętrze, spada na betonowe podwórze. Tam czeka na nią śmierć kłującą głową i skrzeczając sztycherem: „a nie mówiłam?”. 11-letni Przemek zdążył schwycić się barierki i dzięki temu przeżył. Nim nadludzkim wysiłkiem wciągnęła go do domu przerażona matka, wisiał jakiś czas 3 pietra nad ziemią z zamkniętymi oczami, bo „nie chciał patrzeć jak babcia leży”.

„Dramat wydarzył się w Łodzi, w śródmieściu, przy ul. Sienkiewicza 52.

Córka tragicznie zmarłej, Alicja Z., jest roztrzęsiona i przeżłowie chuda. Mówi, iż od dnia wypadku odżyła się prawie wyłącznie proszkami uspokajającymi.

— Dziesięć lat temu pisano podanie do ADM, przewodniczący komitetu domowego zbierał podpisy, żeby zrobić porządek z balkonami, bo już wtedy były w złym stanie. Nikt na to nie zareagował. Chociaż nie, dostaliśmy ostrzeżenia, żeby nie korzystać z balkonów i to wszystko. Nikt niczego nie podpisywał, choć dziś mówi się o tym, że podpisy pod zakazem korzystania z balkonów składano. A to nieprawda.

Zamiast zabrać się do konkretnej roboty, urzędy rozpoczęły korespondencyjną wymianę myśli. Zużycie papieru w dzielnicy wyraźnie wzrosło. Nic jednak z tej pisemny nie wynikało. Miały być komisje, miały być ustalenia, wnioski — ma się rozumieć — a czas płynął. Płynął, płynął, aż dla starszej pani, emerytki zatrudniał się dziesięć lat później, 13 czerwca, tuż przed hejnałem z Wieży Mariackiej.

— Do dziś nie przyszedł do nas żaden przedstawiciel władzy. Zjawili się tylko stolarze i zabili grubą dechę drzwi balkonowe. Przyszedł również sąsiad z Komitetu domowego zapytać, czy to prawda, że 10 lat temu mój ojciec podpisywał się pod pismem zakazującym wychodzenia na balkon — mówi córka denatki. — Dowiedziałam się ze zdumieniem, że widnieje jego podpis na dokumencie z 1979 r. Ale proszę pana, mój ojciec zmarł w 1975 r., a więc trzy lata wcześniej. Tylko mój jedni rzekomo podpisywaliśmy, jakbyśmy wiedzieli, że za 10 lat to się stanie — dodaje z sarkazmem Alicja Z.

Rok temu, w tej samej kamienicy, również oberwał się balkon. Tyle, że od strony ulicy. Jakiegoś przechodnia krok dzielił od kalectwa lub śmierci. Wtedy obtuczono nadwalone tynki i znów sprawa ugrzęzła w segregatorach. Dziś, gdy zginął człowiek, specjalna firma zatrudniająca alpinistów usuwa wszystkie balkony. Tak to się właśnie robi: najpierw długo nic, a potem, gdy los wywoła temat, z właściwą nieczystemu sumieniu nadgorliwością przegina się pałę w drugą stronę. Już słyszałem, że tak naprawdę, to trzeba by skuć wszystkie balkony w starym śródmieściu. Co tu i ówdzie daje się zauważyć.

— Sytuacja jest alarmująca — mówi Anna Orłowska, kierownik ROM-3, do którego należy pechowa posesja przy Sienkiewicza 52. — Balkony, gzymsy, atyki, gaz i nie dające na razie o sobie znać stare przewody kominiowe — to są problemy. Jak się nie zmieni, to będzie kłeska! Powiedziałabym panu więcej, włosy by się zjeżyły, ale jeszcze na to za wcześnie. My tu w ROM-ach prawie nie możemy, a cały nieustający atak prasy i TV jest skierowany na nas. A to przecież nie tędy droga. To powoduje, że ludzie nami pomiatają, mają za nic. My nie mamy pieniędzy. Dysponuje 18 milionami na wszystkie remonty w moim rejonie, a elewacja jednej kamienicy, tu obok, Kilińskiego 96a, kosztuje 56 mln.

— Kto więc może? — PGM-Śródmieście, to jest właściwe miejsce. Ale co to za PGM, gdzie nie ma ani jednego inżyniera, gdzie brakuje podstawowego sprzętu... Podnośnik do tych balkonów z Sienkiewi-

cza, tuż po wypadku, trzeba było pożyczać od strażaków, a oni się wściekali, że są od gaszenia pożarów, a nie od stracania balkonów. W PGM-ie, o którym mówię, w ostatnich latach zmieniło się 7 lub 8 dyrektorów. Nie ma żadnej ciągłości, żadnego spójnego programu, nie się nie kontuuje. Był gaz, teraz są balkony, co będzie dalej? Jak coś się stanie, to się lata dziury systemem akcyjnym. A przecież nie o to chodzi. Niech pan popyta w PGM, jaki mają program działań? Po wypadku była u mnie prasa, radio, telewizja, milicja, prokuratura, a nie było nikogo z PGM. To świadczy o ich stosunku do sprawy.

Dyrektor PGM Łódź-Śródmieście Wojciech Szmidt nie ukrywa, że sytuacja jest zła. Objął to stanowisko niedawno i chce wiele zmienić w swym przedsiębiorstwie. Nie ma zbyt wielkich możliwości, ale, uważa, nie czas czekać na cud. Trzeba robić, co się da, nawet tak małymi środkami, jakimi dysponuje.

— Nie uważam, by w tej pracy niezbędni byli ludzie z dyplomami uczelnin, choć nie „krywam”, i takich chciałbym mieć u siebie. Zależy mi przede wszystkim na tych, którzy chcą i potrafią pracować. Zarobki jakie proponujemy, nie są zbyt atrakcyjne. Dlatego czasami musimy przysmakować oko na popijających w pracy. Jeśli ich wyrzucę, to zostanę ja i pracownicy administracji. I co wtedy zrobić? Brakuje nam, poza tym, sprzętu, a tak być nie może. Tragiczny wypadek z balkonem zamyslowił wszystkim, jak wielkie są zaniebania w śródmieściu, jak wiele trzeba zrobić, żeby tragedia nie powtórzyła się. Nam jednak trzeba pomocy, a nie tylko krytyki.

Dyrektor Wojciech Szmidt mówi o planach i zamierzeniach. Są one interesujące, ale przytaczanie ich w obliczu śmierci spowodowanej zaniebaniami, byłoby grubym nieaktami. Ten tekst nie jest przecież okolicznościowa laurka na cześć PGM-Śródmieście. Napisać o nich będzie można, gdy „staną się ciem”. Jeden wszakże pomysł należy ujawnić. Dyrektor Wojciech Szmidt zamierza zorganizować stałą ekipę, która zajmie się wyłącznie balkonami i likwidowaniem zagrożeń wiszących nad naszymi głowami.

Niełatwo będzie dyrektorowi zrealizować swe plany. Jest on wszak nowym szefem, a zastana przezeń struktura przedsiębiorstwa stara, zmurszała i rakowata i nieodrobnie sojarzy się nam, obywatelom, o niedobrze. Trzeba by przebudować cały system, „popędzić” tych i owych do pracy, a przepędzić innych. Trzeba by... Chyba się jednak zagalopowałem, nie ja jestem przecież dyrektorem. Dłużej jednak nie można tolerować lenistwa, niefrasobliwości i bylejałości, a pisaninę zastępować pracy. Ostatnie ostrzeżenie było zbyt poważne.

Gęsta zabudowa śródmieścia składa się w większości z boriektów zabytkowych. Dlatego wiele do powiedzenia w sprawach dotyczących tej substancji ma wojewódzki konserwator zabytków, mgr Wojciech Walczak. Dla niektórych urzędników i urzędów stanowi on niewygodną przeszkodę, zakłócającą rytm ich pracy, czytając: nie pozwala na samowolę w stosunku do wielu zabytkowych obiektów miasta. Mimo to, wskutek urzędniczej beznadziejności, zniszczono sporo elementów wystroju zewnętrznego i wewnętrznego łódzkich kamienic. Konserwator wojewódzki nie zawsze zdąży zapobiec aktom wandalizmu popartym legalnymi decyzjami.

— Mimo to — mówi Wojciech Walczak — w około 80 proc. moje sugestie lub decyzje są respektowane. Muszę być jednak czujny, bo na przykład teraz, gdy wytypowała sprawa balkonów i owozem pędem dąży się do likwidacji problemu, najchętniej skuto by wszystkie. Było już tak, że przechodziła ekipa pod wskazany adres i bardzo musiała się namordować, by odkuć krzepko trzymający się beton. Znaczący nie było potrzeby zrzucać balkonów. To sprawy chcą wziąć w swoje ręce. Zatrudnię firmę, która zajmować się będzie konserwacją balkonów, gzymsów, atyków i innych elementów fasad. Będą stałe pod telefonem, do dyspozycji. Trzeba pracować, niestety, w systemie pogotowia ratunkowego, bo na przygotowanie programu kompleksowego dotyczącego łódzkich zabytków jest za późno. Zanim taki program by powstał, nie byłoby już czego ratować. Dwadzieścia lat temu Antoni Szram próbował katalogować obiekty, ale jakoś nikt się tym nie przejął. Dziś musimy ratować co się da, lecz nie ma zgody na pochopne działania.

Oczywiście, nie można wylewać dziecka z kąpielą. Potrzebny jest pośpiech, ale i rozsądek, trzeba się liczyć z bezpieczeństwem ludzi, ale i z klasą zabytku, trzeba szybko myśleć i mądrze działać. To dopiero rewolucyjne działania dla administracji miejskiej! Przykład Starszego Brata pokazuje jednak, że nie trzeba się bać pierestrojki. I w myśleniu i w działaniu. Przykład idący ze Wschodu podpowiada jednak, że może trzeba tylko zmienić wykonawców?

Ostatnio, mniej więcej od wybuchu gazu przy ul. Nawrot, widzimy na ulicach „wlezione się” studzienki. Barierki chronią przed wpadnięciem doń, przeszkadzając pieszym w poruszaniu się po chodnikach. Tu i ówdzie zaczęły się pojawiać inne barierki. Np. zagrożony jest chodnik na al. Tadeusza Kościuszki przy Andrzejki Struga (kamienica z piwiarnią „Pod kuflem”), na pl. Wolności czy Henryka Sienkiewicza przy Gabriela Narutowicza. Zagradzają miejsca, gdzie może urwać się, bądź już się urwał i jeszcze może, kawał starego tynku, gzymsu lub balkon. Ale np. ogrodzenie przy al. Tadeusza Kościuszki stoi już tak długo, że deszcz i słońce zlikwidowały litery układające się w napis przestrzegający przed niebezpieczeństwem. Na drucikach dynda smetnie zupełnie biała tabliczka. Żadnych prac jak się tu nie robiło, tak się nie robi. Zagradzono chodnik i tyle. Wiadomo, że zajmuje się tym instytucja inżyniera województwa, Andrzejki Sobierajskiego. Jest to człowiek konkretny. Mówi krótko i tylko rzeczy najważniejsze:

— Zaostrzenie sytuacji spowodowała nieudolność PGM-u. Oni potrafili tylko zabić gwałtownie wyjście na balkon. Tak było w naszej kamienicy przy Piotrkowskiej 175. Spadły gzymsy na pl. Wolności i al. Kościuszki. My tylko gładzimy, zabezpieczamy, reszta należy do władz administracyjnych. Sytuacja jest katastrofalna. Ratujemy się wykorzystując rzemiosło, ale główne siły, skierowane były dotychczas na targi. Restauruje się wyprukowo stare kamienice. Zamiast latania dziur, potrzeba kompleksowego działania, a takiego nie ma.

Odpowiedzialnych jest dużo, a nikt nie jest odpowiedzialny. Mnogość instytucji powoduje chaos kompetencji, nikt nie czuje się winny. Winę i odpowiedzialność widzi się wszędzie, tylko nie u siebie. Czy nie można by, skoro inaczej się nie da, po prostu kogoś wyznaczyć, pokazać palcem i później rozliczać? Czy sprawowanie władzy polegać ma na rozdzieraniu kompetencji poprzez absurdałne rozgłaszanie struktur?

Tymczasem, 23 czerwca 1988 r., o godz. 5 rano, zamiatającemu chodnik przed posesją przy Piotrkowskiej 175

gospodarzowi domu, spadł na głowę kawał zmurszałego gzymsu. Rannego przewieziono do stacji pogotowia ratunkowego, gdzie założono mu cztery szwy na czole. Małżonka poszkodowanego również oberwała w plecy, ale do lekarza nie poszła. W budynku tym, jak pamiętamy, urzęduje inżynier województwa, mieści się tam również Wojewódzki Zarząd Gospodarki Komunalnej, instytucja odpowiedzialna między innymi za stan techniczny i bezpieczeństwo elewacji łódzkich kamienic. Ironia losu, czy wykrzyknik?!

Z rogowego balkonu (róg Kościuszki i Zielonej) Urzędu Dzielnicego Łódź-Śródmieście zwisa nad chodnikiem długi metalowy płaskownik. Choć stary i zardzewiały, jeszcze się trzyma, jeszcze na nikogo nie zleciał. Każdego dnia przechodzą tamtędy tysiące ludzi. Ile jest takich miejsc? Kto będzie następny?



Foto: Grzegorz Gałasiński

Ta wiadomość poruszyła opinię publiczną, a na pracownikach stacji benzynowych wywarła przynębiające wrażenie. Oto w niedzielę 3 lipca 1988 r. na stacji CPN w Meszeczach dokonano napadu z bronią w ręku. Jeden z jej pracowników został poważnie ranny i przebywał w szpitalu, drugi, po udzieleniu pomocy lekarskiej, wrócił do domu.

Przez kilka lat na tych stacjach zajmowano się relacjonowaniem wszelkich wynaturzeń zagrażających ładowi społecznemu. Toteż nie dziwiłem się, kiedy mój szef polecił mi pobrać delegację i rozpracować owo bulwersujące zjawisko. — Bez rzetelnej relacji — powiedział — nie masz po co wracać do redakcji.

Niemal z płaczem wykupiłem ostatnie 8 litrów paliwa i na dobiegającym swoich dni „maluchu” pojechałem szukać wsi Meszecz, obok której znajduje się stacja CPN, gdzie o godzinie zawieszono pomiędzy nocą a dnem, kiedy ciemność zaczyna ustępować, a świat jeszcze nie nadchodził, padły strzały.

W Tomaszowie Mazowieckim postanowiłem wpierw odszukać szpital, w którym przebywał ranny Krzysztof Dębiec.

Okazało się, że sprawa nie jest prosta: w mieście są trzy szpitale, a moi ułicznicy informatorzy nie potrafili mi powie-

Sama wieś jest oddalona jakieś kilometr od stacji usytuowanej przy trasie szybkiego ruchu Warszawa — Wrocław oraz stacji łączącej Tomaszów z Piotrkowem. Stacja CPN jest ładna, bardzo czysta, z dogodnymi dojazdami, z miejscami do parkowania, samobsługowa, dobrze zaopatrzona. Z dwóch stron do szosy przylegają gęste lasy, pozostały teren jest porośnięty żytem. Za polami, jakieś 200—250 m usytuowane są gospodarstwa osłonięte drzewami i widzą białe szklarnie. A więc odłudzie, pustka, cisza, która przerywana jedynie zjeżdżającą z szosy samochody.

Na stacji zastaje inną zmianę: Jacka Symonowicza i Zbigniewa Kółka. Krzysztof Dębiec jeszcze się nie zjawił.

— Zaraz tu będzie — mówią — jest tylko go wypisaliś na pewno przyjeżdża.

— Jak się dowiedziałem o napadzie? — mówi Zbigniew Kółka. — Była chyba czwarta piętnaście rano, kiedy zadzwonił do Jacka Symonowicza kierownik stacji Krzysztof Falek. Powiedział tylko: Przyjeżdżaj, był napad na stacji. Krzysztof jest w szpitalu! Jacke natychmiast zadzwonił do mnie i po dwudziestu minutach byliśmy na miejscu.

— Widok był niesamowity — dodaje Jacek Symonowicz. — Pełno milicji, wszędzie szkło, wielka szuba z dziurą po strzale, na podłodze szuflady, doniczki, radio, papiery... Falek rozstrzelany, mówi chaotycznie, nieskładnie... To był koszmarny

napad — i widzę, że kolega dopada telefonu i stara się wykreślić jakiś numer. Ale mu się to nie udało, bo w tym momencie jeden z tych będących na zewnątrz rozbił jakimś przedmiotem szybę, natomiast drugi podchodzi z lewej strony z jakąś dubeltówką. Dzieje się to wszystko niezwykle szybko, właściwie jakby w jednej chwili i nie ma czasu by się zastanowić nad czymkolwiek. Kolega zaczyna krzyknąć do słuchawki: Milicjo! Milicjo! że niby wyzywa pomoc, że niby się dodzwonił, ale ja wiem, że mu się nie udało, nie wykrecił potrzebnego numeru, że nie ma żadnego połączenia. Widzę jak cały czas manipuluje przy aparacie, szarpie się, nie może trafić.

Wpadam do pomieszczenia i schwytywam krzesło krzyżem: A co ty tu...! Nie, nie myślałem o obronie, chciałem jedynie wywrzeć wrażenie na rabusiach, może ich postraszyć, może przepędzić. Dziś nie wiem dokładnie, a i wtedy pewnie także nie wiedziałem. Działalem instynktownie. Tak więc stoję w tym krzesłem, a tu leci kolejna szuba, rozpryskuje się szkło, kolega upuszcza telefon, właściwie to zostaje urwany sznur z omatka. Miotamy się, nie wiadomo kto ten sznur wyrwał, reszta nie ma czasu na zastanawianie się, nie ma czasu na przegadanie się. Znowu brzek, krzyki, huk! To wylatuje wielka szuba w drzwiach. Kolega krzyczy: Krzysiek, uciekamy!

skończył, ja usłyszałem przegazywanie motoru, potem oddalać się warkot w stronę szosy...

Mówię do kolegi, że chyba już są na szosie, że trzeba wywrzeć, może zapamiętam numer motoru. Krzyknąłem do Faleki, żeby patrzył na numer. Wtedy dopadam awaryjnych tylnych drzwi, otwieram. Motor jest jednak blisko, tak na wysokości śmietnika, ale numer jest zakryty. Zapamiętałem jedynie zielony bak motocykla, stąd u mnie powstało skojarzenie z MZ-ką. Ale gdy uchyliłem drzwi — wszystko to trwa zaledwie sekundy — pada strzał. Strut hełmu po blaszanej ścianie, ale tak jakoś głucho. Cofamy się. Na krótko, bo po trzech sekundach wyglądamy znowu. Teraz widzimy ich na głównej szosie. Nie, nie jadą ani w stronę Piotrkowa ani Tomaszowa, ale przez krzyżówkę wprost do lasu...

Później, ale to po kilku minutach, zorientowałem się, że moja jasna koszula jest cała zakrwawiona i poszarpana. W szpitalu naliczono w niej 22 dziury, choć w moim ciele znalazło 14 śrutów: w głowie, plecach i pośladkach. W szpitalu w Tomaszowie wyjechał 8 śrutów, resztę pozostawiono, pomóc nie będą mi w życiu przeszkadzać. Zobaczymy.

O dziesiątej rano do mnie do szpitala przyjechał dyrektor CPN Czacki z Łodzi razem z moim kolegą. Zamierzali iść do mojej żony i powiadomić ją o wypadku. Pytali czy jest sercowa, bo to z kobietami w takich sprawach nie wiadomo...

— Czy długo czekaliście na przyjazd milicji?

— Zjawili się szybko. Ale jest inna charakterystyczna rzecz: działało się to w porze, kiedy na stację nie zajeżdżał ani jeden samochód... Cisza. Bo jest taki czas między nocą a dnem. Już właściwie nie noc, ale jeszcze nie świt. Bandyci pewnie wiedzieli o tym, bo po ich odejściu ani jeden samochód nie przejeżdżał trasą E-67.

— Widział pan bandytów z bliska...

— Widziałem, ale byli w kaskach. Myślałem jednak, że byli to amatorzy i to tutejsi, z tego terenu. Nie mieli doświadczenia. Przecież gdyby któryś z nich wystawił broń przez okienko i powiedział do kolegi „pieniądze, albo cię zabiję” — to kolega oddałby cały utarg. A oni najpierw kupują niby żarówkę, potem wybijają trzy szuby, strzelają. Czy się im opłaciło? Zabrali 59 tysięcy złotych i magnetofon. No i te żarówki wraz z kilkoma uszczelnkami, które milicja znalazła potem wyrzucone w lasie.

— Ile lat pan tu pracuje?

— Przez siedem lat, zanim ta stacja stała się samoobsługowa, wybiegałem czy to w dzień czy w nocy i nalewałem paliwo. Teraz żaden z nas tego nie robi. Koniec. Przecież można mnie w ten sposób wywalić i zabić przy dystrybutorze. A czym możemy się bronić? Krzesłem? Doniczką z palmą? Tu jest odłudzie, do najbliższej wsi Prosenie jest kilometr drogi, do Meszecz tyleż samo. A wokoło lasy...

Chcę mieć pełny obraz zdarzenia, pojechałem do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Piotrkowie, by dowiedzieć się o wynikach śledztwa. Stąd odesłano mnie do Wojewódzkiej Prokuratury. Trafiłem do rzecznika prasowego prokuratora Mirosława Orskiego. Niestety, jak to się mówi w tego rodzaju przypadkach — „ze względu na dobro toczącego się śledztwa żadne fakty nie mogą obecnie być ujawnione”. Jedyną informacją, która potwierdza przypuszczenie Krzysztofa Dębca, że byli to amatorzy, jest fakt, iż odsunawszy szufladę zabrał z niej 59 tysięcy złotych nie usułując wyciągnąć ją do końca. Glebiej bowiem leżało 200.000 zł.

I jeszcze jedno: Krzysztof Falek dopiero w domu, kiedy postanowił się przebrać, stwierdził, że jest także ranny: trzy śrutu utkwiły pod skórą.



Mówi: Antoni Toma

— Kiedy rozpoczęłaś pracę w mleczarni?

— 14 kwietnia 1945 roku, czyli 43 lata temu.

— Od czego zaczęłaś?

— W skrócie mój życiorys mleczarski przedstawia się następująco: sprzątałem, myłem konwie, byłem pomocnikiem szofer (wtedy nie było jeszcze kierowców, a zwykli szoferzy), masłarzem, laborantem, obsługiwałem kotły, sprężarki amoniakalne, potem zostałem majstrzem na produkcji, następnie kolejną pracowałem jako kierownik techniczny, wiceprezes do spraw produkcji, a teraz jestem prezesem Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Łasku.

— Wnoszę z tego, że mleko nie ma dla ciebie tajemnic.

— Nie ma. Ale w początkach mojej pracy w mleczarni, produkcja mleka była naturalna...

— Co to znaczy?

— Krowom nie dawano pasz treściwych, a jedynie wyprodukowaną przez rolnika. Co prawda krowa dawała mleka niewiele, ale smakowało ono lepiej niż dzisiejsze. Nie było wówczas kiszonek ani pasz treściwych, w których znajduje się m.in. mącznik mający ujemny wpływ na smak mleka. Także kiszonki sprawiają, że smak mleka nie zawsze nam odpowiada.

— Mleko, które kupuję w łódzkich sklepach czasami ma odrażający smak i zapach. Jako człowiek lubiący twarogi nieraz muszę je wyrzucić, bo jego konsystencja i smak wskazują na to, że zostały wyprodukowane z zepsutego mleka. Powiedz zatem, czy istotnie mleko, którym nas się karmi, jest takie niedobre?

— Nie, ono jest dobre. Dziś produkuje się mleko, powiedziałbym, w tempie przyspieszonym. Krowa dostaje kiszonki, siano nie najlepszej jakości, buraki oraz pasze treściwe. Tak jest w całym. Wszystkie te pokarmy są „pedzone” nawozami. Dlatego, gdy krowy karmi się większymi ilościami wspomnianych kiszonek, ich mleko nabiera smaku zgnilizny. Masło z takiego mleka nie daje się rozsmarować. Latem — jest już inaczej. Krowy pasą się na łąkach, a masło staje się normalnym masłem.

— Czy na tę niedźną jakość mleka nie wpływa także i to, że rolnicy je przetrzymują, a konwie myją proszkami do prania?

— Liczba dostawców mleka jest tak duża (my na przykład mamy ich 7 tys.), że nie udaje się wszystkich przekonać, by tego nie czynili. Mówimy o tym na każdym spotkaniu rejonowych. Jedni to rozumieją i ich mleko jest dobre, inni nie chcą rozumieć. Ale co z tego, że rolnik umyje konwie proszkami do prania, jeśli tych konwi dobrze nie wypłucze! Używa byle jakich środków do mycia, a do płukania bierze jeszcze gorszą wodę. Przecież nasza wieś nie ma wody! Krowy pój się w stawie, wodę do picia dowozi się beczkami ze studni głębinowych i taka woda stoi potem całymi dniami na podwórzu.

— Czy dobrze zrozumiałem: do zlewni trafia brudne mleko?

— Nie brudne, ale zanieczyszczone środkami chemicznymi bądź złą jakością wody.

— A czy mleczarnia ma możliwość wyeliminowania tych zanieczyszczeń?

— Oczywiście, przez badanie prób reduktazowych. Im większa ilość drobnoustrojów, tym niższa klasa mleka. Ale rolnik, by zmniejszyć ilość bakterii dosypuje do mleka np. proszek do prania. My nie stwierdzamy bakterii, bo zginięły, ale też i nie jesteśmy w stanie stwierdzić owego środka myjącego. A ważny antybiotyk, który się podawane chorą krowom. Służba weterynaryjna zakazuje rolnikowi przez jakiś czas odstawić mleko do punktu skupu. Nas także powiadomiono o tym fakcie. Nie wiele to daje. My prowadzimy badania stwierdzające czy mleko jest zafałszowane czy nie, ale nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy zostało ono zafałszowane proszkami do prania czy antybiotykami. Próba alizarolowa winna barwić słodkie mleko na kolor kwitnącej koniczyzny. Ale wystarczy, gdy do mleka nadkwaszonego, które przy takiej próbie wypadłoby w kolorze żółtym, dodać odrobinę środka chemicznego i już jest kolor kwitnącej koniczyzny. Tak więc na punkcie skupu nikt fałszerstwa nie wykryje.

— A w mleczarni?

— W mleczarni potrafimy to wykryć. Wtedy jedziemy do takiego punktu skupu i tam na miejscu dokonujemy badań.

— Czy można zatem w mleczarni usunąć owe zanieczyszczenia?

— Niestety nie.

— To znaczy, że z takiego zafałszowanego mleka robi się potem twarogi, twarożki, napoje mleczne i my to wszystko spożywamy?

— Niestety tak. Jedynie masło wychodzi z tego „obronna reka”, bo jest poddawane dodatkowej pasteryzacji i odgazowywaniu.

— A mleko? Idzie do butelek wprost z cysterny wraz z chemiczalniami i antybiotykami?

— Jest ono poddawane pasteryzacji, a więc zostają zniszczone jedynie bakterie i usunięte pozostałości fizycznych zanieczyszczeń. Gwarantujemy, że 99 proc. bakterii zostało zniszczonych.

— Z naszej rozmowy wynika, że ja w Łodzi piję mleko praktycznie bez bakterii, ale z dodatkami „Cypiska”, „Perly” lub „Ixi 65”...

— Łodźianie kupują mleko po dwóch dniach od momentu dostarczenia go do zlewni. Świeże mleko jest u nas w Łasku, w Łodzi jest ono nazajutrz po dodatkowej obróbce, jak my mówimy „przemieczone”.

— Co to takiego?

— Od udoju jest co najmniej dwa dni, mleko jest transportowane, przelewane, poddawane obróbce. Jest ono w sumie dobre, może tylko zmienia się w nim skład witamin.

— Co zatem mam robić, skoro kupuję produkt nie całkiem świeży: pić z butelki czy też wpierw przegotować?

— Radzę przegotować. Albo pić kwaśne. Co prawda kwaśne mleko ma więcej bakterii, ale organizm ludzki lepiej je przyjmuje.

— Jakże są zarobki w mleczarni?

— Bardzo niskie i dlatego brakuje nam ciągle ludzi.

— Co robi prezes OSM po pracy?

— Najczęściej pracuję w ogrodzie. Zresztą prezes spółdzielni mleczarskiej musi być zawsze na miejscu. Wynika to z faktu, że mamy ograniczoną zdolność przerobową, natomiast duży skup surowca. Każdy przestój — to gorzej zaopatrzenie rynku i gorzej przygotowanie się do dnia następnego, kiedy nadejdą nowe dostawy. Tu nie pracuje się od — do, ale tak długo, jak długo jest mleko.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

To byli amatorzy. Dla dobra śledztwa nie można ujawnić faktów. Krzysztof Dębiec dokładnie opowiada o przebiegu napadu.

Strzały na stacji CPN

EUGENIUSZ IWANICKI

dzień, gdzie znajduje się oddział chirurgii. Tak więc — a jest to reguła — trzeci szpital, odgródzony od świata rozkopami okazał się tym właściwym. A tu upał, kurz niemiłosierny, termometr w samochodzie zatrzymał się na +40°C.

Pech mnie jednak nie opuszcza: w szpitalu dowiaduję się, że Krzysztof Dębiec właśnie został wypisany i poszedł do domu. Pielęgniarka, która mnie prowadziła do sali chorych, nie bardzo mogła udzielić mi konkretnych informacji na temat samopoczucia postrzelonego. Natomiast duże i chętnie mówiła o samym szpitalu, gdzie nie ma czym ludzi leczyć, nie ma aparatury do badań, właściwie nie ma nic.

— A co jest? — pytam. — Słowa pociechy i ostatnie namaszczenie.

Jadę do domu Krzysztofa Dębca na ulicę Ludwika Waryńskiego. Na podwórzu dopada mnie młody, ale bardzo zły pies. Zastanawiam się, czy w którą stronę wbić go, wpadam do korytarza. Przynajmniej uratowałem spódnice. W domu zastaje żonę pania Dębca i jej matkę. Pytam o niedawne przeżycia, o tragiczną niedzielę.

— Kiedy przyjechał dyrektor CPN i kolega Krzyśka, to od razu wiedziałem, że coś się stało. Ale oni mówili, a ja nie nie rozumiałem, jedno tylko kłamało mi się po głowie, że on nie żyje. Dopiero później dotarło do mnie, że jest w szpitalu. Mówię panu, to była najstraszniejsza niedziela w moim życiu.

— Gdzie teraz jest mąż?

— Jak to gdzie? — dziwi się. — W Meszeczach, na stacji.

— Długo to stał?

— Upewniam się, bo mój „maluch” jakoby dziwnie zachowywał się na trasie z Łodzi do Tomaszowa.

— Blizniutko — mówi kobieta. — Pare kilometrów.

To „blizniutko” okazało się być oddalone o 22 kilometry i w czasie jazdy po pustych drogach biegnących wśród zia, zagajników i sennych wiosek nie napotkaliśmy ani jednego samochodu. No, myślałem, niech teraz coś nawali! Przez parę dni nikt mnie tu nie znalazł!

Meszece.

Właściwie jest to jedynie orientacyjna nazwa.

rane. Dopiero w poniedziałek po południu ustawiono szuby, założono zabezpieczenia w drzwiach i rozpoczęliśmy normalną pracę.

Kiedy robię notatkę, przyjeżdża Krzysztof Dębiec. Już spokojny, po zabiegu, ale jeszcze nie może siedzieć, bo w pośladkach tkwią nie wyjęte śrutu.

— Zanim opowiem jak było — mówi — niech pan popatrzy na moje plecy.

Unosi koszulę. Skóra na plecach jest podobna do skóry ludzi chorych na ospę: czarne strupy z czerwonymi podbiegnięciami, na niektórych widad założone szwy.

— Zdało się to pod koniec naszej zmiany, w niedzielę rano, gdzieś za piętnaście czwarta. Dyżur był spokojny, nie nie wskazywało, by ktoś nas obserwował czy śledził. Pamiętam ostatniego klienta, który brał olej napędowy, nawet pamiętam ile płacił. W tym czasie kolega Falek się mył, bo wie pan, jak nie ma żadnego ruchu, to jeden załatwia, a drugi w pomieszczeniu obok może trochę podreżać. Właśnie zbudziłem go, by mnie podmienić, bo ruch ustał, nastąpiła cisza. Mogłem więc na 2 lub 3 godziny się położyć. Tak więc kolega wyszedł, siadł przed okienkiem, a ja poszedłem do tego drugiego pomieszczenia, by się położyć. Kiedy już leżałem, usłyszałem, że nadjechał motor. Potem słyszę, że ktoś kupuje żarówkę. Tylko dziwnie się zachowuje, bo krzyczy. Kolega też mówi podniesionym głosem. Jakby się kłócili. Pomyślałem, może, że przecież mógłby zgasić motor, lepiej by się przecie rozmawiało. Po pracy silnika określiłem, że jest to nowy motor. Dopiero po napadzie, gdy wyrzuciłem z nim odjeżdżającymi, zdało mi się, że to MZ-ka. Teraz to już ta MZ-ka nie opuszcza mnie, ale wtedy, gdy silnik wareział, to wiedziałem jedno: to nowy motor!

— Nie próbował pan interweniować? Wyjsz do pomoc koleźce?

— Na nic nie było czasu. Wszystko się potoczyło bardzo szybko. Gdy tylko opuściłem nogi z kozetki, włożyłem klapki i ustawiłem by zobaczyć co to za klient. Klient, jak kolega krzyczy: Krzysiek, napad!!! Odsłoniłem zasłone oddzielając pomieszczenia — bo oprócz drzwi, mamy jeszcze tę zasło-

Żegły, rzuca się w te drzwi wodociek do drugiego pomieszczenia, ja za nim. Reżam jeszcze krzesłem w tego najbliższego, co wchodzi przez rozbite drzwi do środka. Nie, nie myślałem by go tym krzesłem uderzyć, zrobiłem to odruchowo, chyba w samoobronie, a może by opóźnić wejście rabusiów...

Kolega zdążył wskoczyć, a ja byłem akurat w połowie, to znaczy jeden bok mój był w tym drugim pomieszczeniu, a jeden jeszcze w tym gdzie byli już rabusie. Nic nie czulem, ale usłyszałem huk i coś mnie silnie uderzyło w głowę...

Kiedy znaleźliśmy się w tym drugim pomieszczeniu — widzi pan te drzwi? Nie mają zamka ani klamki i dlatego zawieszamy je zasłoną — schwyliśmy ręką za drzwi, to znaczy usunąłem dłoń w szparę między drzwiami a framugą i tak trzymałem. A tam, po drugiej stronie, wszystko się wali, pada, rumocze. To rabusie trzymali szuflady i przewracali meble. W pewnym momencie któryś z nich załomotał w trzymane przeze mnie drzwi, uderzył mnie w palec więc je puściłem. Drzwi się otworzyły i ujrzałem przed sobą rabusia. Był w kasku. Tu, widzi pan, stoi palma w doniczce. To ja tę palmę schwytywałem i w niego. Nawet chyba nie rzuciłem, a jakby podał. To wystarczyło. Cofnął się. Wtedy kolega Falek rzucił się na podłogę i złapał drzwi na dół, po prostu podłożył rękę pod drzwi i je przytrzymał. To, myślę, nas uratowało. Rabuś próbował drzwi otworzyć, ale chyba doszedł do wniosku, że zamknęliśmy się na zamek lub zasuwkę, bo po kilku szarpnięciach zrezygnował. A wystarczało, by drzwi docisnąć miadząc kole-

drze dłoń.

Kiedy kolega trzymał drzwi, a oni tam szaleli, ja wykreciłem numer do milicji z tego drugiego aparatu. Połączenie uzyskałem natychmiast. Kolega Falek nadal leżał na podłodze trzymając drzwi, a ja mu podsunąłem telefon i on krzyczy w słuchawkę, że na stacji CPN w Meszeczach jest napad, że on jest kierownikiem stacji i z kolegą, to znaczy ze mną, broni się przed uzbrojonymi bandytami. Krzyczy specjalnie głośno, bo za drzwiami nie ustaje hałas i rumor. I zanim



Rys. Andrzej Grun

STANISŁAW ROMANIAK



I wydrę pióra z naszych dłoni
i zwiążą ręce
poprowadzą
główną ulicą między ludźmi
przemarsz nasz orkiestra poprzeda,
by tłum był większy
by widzieli
rozwiązane włosy, rozpacz w oczach
w strzępy zmienione fragmenty odzieży
i obok dumni
zadzierające głowy
rozwarłe nozdrza w uśmiechu zwycięstwa
i z ogonami w górę zadartymi
jak psy myśliwskie
mając zdobyc w psu
krokiem pewności
choć drża im kolana
pójdą tuż obok, niepewni do końca
bo nie zdołali wydrzeć
nic z naszego wnętrza.

Kazimierz Kędzia: „Sycylijskie fascynacje”

Coraz prężniej działające Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Włoskiej, przy współpracy Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizowało pierwszą wystawę malarstwa włoskich plastyków, którzy przebywali we Włoszech pt. „Moja Italia”. Ten cykl wystaw zapoczątkowany został ekspozycją malarstwa Kazimierza Kędzi pt. „Sycylijskie fascynacje”.

W prospekcie do tej wystawy Gustaw Romanowski pisze: „Specyficzność warsztatu malarzkiego Kazimierza Kędzi wyrażająca się w dużych formatach obrazów, w obszernych gwałtownych uderzeniach pędzla lub częściej szpachli, w budowaniu nastroju poprzez stosowanie silnych wartości kolorystycznych — to wszystko świetnie harmonizuje z Sycylią. Tamtejsze kontrasty barwy i światła, nieba i ziemi, morza i architektury zespiliły się z temperamentem malarzskim Kędzi, tworząc imponującą w swojej sile wyrazu interpretację artystyczną krajoznawstwa południa Italii”.

Wystawa czynna jest w salach PAX, przy ul. Piotrkowskiej 49.



Rys. Stawomir Łuczynski

Duże zdziwienie turystów jak i paryżan budzi Łuk Triumfalny spowity tkaniną o narodowych barwach Francji: niebieskiej, białej, czerwonej. Przyczyna tego jest prosta: nie żaden chwyt mający przyciągnąć turystów, ani kolejny pomysł Christo, który od dwudziestu lat stara się „opakować”, czy jak on sam określa „spowić” liczne wielkie zabytki Europy i Ameryki (ostatnią jego realizacją było „spowicie” jednego z paryskich mostów), aby później dokonać uroczystego odsłonięcia — jeden z

Łuk Triumfalny ukończony został już za Ludwika Filipa w 1836. Jest on ważnym elementem urbanistycznym Paryża — stanowi optyczne zakończenie perspektywy Pół Elizejskich i pendant do Łuku znajdującego się na placu Carrousel.

Obecnie, w odległości kilku kilometrów nowoczesnej dzielnicy La Défense powstaje trzeci Łuk — l'Arche de Défense, która definitywnie zamknie (ale i zniszczy) najpiękniejszą bez wątpienia perspektywę świata. Ta monumentalna konstrukcja, rozciągająca się nad przetrzęsnionym między dwo-

17 czerwca 1988, w przeddzień 48 rocznicy historycznego przemówienia generała de Gaulle'a w Londynie nawołującego do kontynuowania walki przeciw hitlerowskiemu okupantowi, Łuk został spowity tkaniną mającą zasłonić rusztowania prac konserwatorskich. Ponieważ jednak dla Francuzów żaden autorytet ani zagrożenie nie wchodzi w grę, gdy zaczynają się pieniądze, a turystyka dostarcza im każdego lata astronomiczne sumy, należało znaleźć wyjście kompromisowe: zasłonić, ale nie przesłaniać. Sąd użyta do zabezpiecze-

Prosto z Paryża

Zamaskowany Łuk Triumfalny

najslawniejszych zabytków Paryża wymaga poważnych prac konserwatorskich.

Łuk Triumfalny wzniesiony został na polecenie Napoleona na cześć armii francuskiej. Ozdabiają go rzeźby (4 wielkie reliefy: Triumf 1810, Obrona Francji przed koalicją 1814, Pokój i najszlachetniejszy z nich długi Rude — Wymarsz ochotników w 1792) zwany Marasyllanką, oraz 6 mniejszych usytuowanych w górnej części Łuku), tematycznie odwołują się do momentów największej chwały Napoleona. Na ścianach Łuku wyrzeźbiono wizerunki zwycięstw (odnalezienie Ostrołęki, Pultuska, Gdansk) oraz nazwiska generałów napoleońskich. Wśród 538 nazwisk figuruje siedmiu Polaków: Chłopicki, Książkiewicz, Poniatowski, Zajaczkowski, Sułkowski, Dąbrowski, Łazarski.

Prace przy wznoszeniu Łuku rozpoczęto w 37 rocznicę urodzin Napoleona, tj. 15 sierpnia 1808. Zysaniem cesarza było, aby Łuk ukończony został na jego ślub z Marią Luizą w 1807. Gdy okazało się, że niemożliwe, postanowiono wznosić „sztuczny” Łuk na zasadzie dekoracji teatralnej: drewniany szkielet pokryty malowanym płótnem. Sztuczny Łuk wzniesiony został w przeciągu 20 dni i rozebrany nazajutrz wyjazdu cesarzowej: Prawdziwy

ma betonowymi blokami na wysokości 120 metrów (!) projektu niedawno zmarłego duńskiego architekta Johana Otto von Spreckelsena pomieścił Fundację Praw Człowieka, Ministerstwo Gospodarki, Przemysłu i Handlu, a także biuro. Otwarcie przewidziane jest na lipiec 1989 — na 200-lecie Rewolucji Francuskiej.

Łuk Triumfalny usytuowany jest we wrażliwym punkcie — na placu Gwiazdy/Charles de Gaulle, który należy do najbardziej ruchliwych miejsc Paryża. Mało tego — pod placem przebiega kilka linii metra oraz linia REP — szybkiego metra podziemnego. Nieustanny ruch naziemny i podziemny sprawił, że już jakiś czas temu Łuk zaczął się „spadać” — spod sklepienia wypadły kamienie, kilku turystów zostało nawet rannych. Takiego potencjalnego niebezpieczeństwa nie można było długo tolerować, tym bardziej, że od 1920 Łuk Triumfalny mieści Grób Nieznanego Żołnierza, na którym składają wieńce zarówno prezydent Francji w dni największych uroczystości państwowych: 8 maja, 14 lipca, 11 listopada, szefowie obcych państw podczas ich wizyt w Paryżu, a także liczne organizacje kombatanckie. Od roku sklepienie zabezpieczone było metalową siatką, co nie wyglądało najkorzystniej.

nia rusztowań tkanina jest praktycznie siatką, przez którą przebijają kształty Łuku i jego formy rzeźbiarskie.

Wyczynu tego (Łuk ma 50 metrów wysokości) dokonało 25 alpinistów, zużyto 8 tysięcy metrów kwadratowych płótna, 4 kilometry sznurka. Prace będą trwały do grudnia, ich koszt przewidziany jest na 34 miliony franków, z czego połowę dostarcza państwo, a na pozostałe 17 milionów zostanie rozpisana subskrypcja narodowa. Łuk Triumfalny, w nowej szacie wygląda szalenie efektownie. Niewątpliwie znacznie korzystniej niż w 1885, kiedy to pokryty został czarnym kirem na znak żałoby po śmierci Victora Hugo.

W ten sposób — obok wspomnianego Arche de Défense, Wielkiego Luwru, nowej Opery na placu Bastylli, nowej siedziby Ministerstwa Gospodarki i Finansów na Bercy Paryżowi przybył jeszcze jeden „plac budowy”, tym razem „przeźnioty”.

ALEKSANDRA
ORŁOWSKA

„Muchy chodzą po mózgu”

Myślę, iż po zapoznaniu się z „Nagim majem”

Romana Bratnego (KAW, Warszawa 1988), mikro-powieści, utrzymaną w groteskowej konwencji, poddającą w wątpliwość — w sposób niezwykle okrutny — schorzenia naszego społeczeństwa doby kryzysu (pograżonego jakby w neurasteniczny letarg), znajdując się z pewnością i tacy czytelnicy, którzy tej bulwersującej, obrazoburczej książce do samego końca nie przeczytają. Spodziewać się też można, że najbardziej obkurczony spośród nich, wywołujący się z kręgów księstwa Pirożyńskiego, poniosą w Polskę i świat zbiorczy, inkwizycyjny larum: „na stos Bratnego”.

Bo choć autor „Kolumbów” oswoił już nas z dominującym w ostatnich latach, w jego twórczości nurtem wyszyszącym z narodowej przetrwały i mity, z „szarganiem świętości” („chciejstwa”, „kundlizmu”, „tromladoracji”); to po raz pierwszy — z tak wielce przepojoną żołą i jadem pasją — obnażył bez żadnych skrępow, brońbą się w „okopach św. Trójcy” enklawy elementarnej oraz degeneracji moralnej. A oto wyborna „próbka”, w jak drugoczący sposób podkpiwa sobie również Roman Bratny i czech redaktorów:

„Otóż życie polityczne i umysłowe Podwórczan było w głębokiej stagnacji. Podwórczanie, zmęczeni do starzejącej się doktryny panującego systemu, miast wybiec myśla w przyszłość, zaskorupili w martwym kuli przeszłości. Nie myśleli tu nawet o parafianstwie religijnego fanatyzmu cofającego ich do średniowiecza, do wiary w diabły i demony. Podwórczanie wierzyli w „ducha historii”. Stąd wzięła się organizacja „Kirchheim”, mająca kultywować pamięć historycznych zwycięstw Podwórczan i wychowywać młodzież w duchu proajców. Niesfety organizacja ta swa liczebność ograniczała do dwóch konkurujących ze sobą prądów, zawiązujących ideowo jednym członkiem”.

Kiedy skończy się czytać „Nagi maj”, „muchy” zaczynają chodzić po mózgu”. Ale o to chodziło przecież pisarzowi. Chciał wstrząsnąć nami wszystkimi abyśmy się zobaczyli w krzywym zwierciadle. I to mu się w pełni udało!

JANUSZ KOZŁOWSKI

PESTKI DYNI

Od wielu lat z bacznością obserwuję twórczość artystów z Estonii, z Łotwy i Litwy, szczególnie dokonania grafików. Rysunek, odbitka graficzna, ekslibris łatwiejsze są w koleportażu poza granicę niż obrazy, rzeźby... Poręcznie arkusz papieru przewieźć, wysłać — na oficjalną wystawę, prywatnemu kolekcjonerowi, bądź osobie zaprzyjaźnionej — niż co innego. Dlatego dość dużo przychodziło do Polski tego rodzaju prac; wiele przez Polskę szło dalej, w świat... Powstały interesujące i bogate prywatne kolekcje grafiki i rysunku artystów ze Związku Radzieckiego, a szczególnie z republik nadbałtyckich. Tak się złożyło, że miałem dostęp do trzech wspaniałych zbiorów grafiki artystycznej, ekslibrisów, małych form graficznych. Wszystkie trzy zaczęły powstawać pod koniec lat 60. i są systematycznie uzupełniane i wzbogacane po dziś dzień. Perypetie związane z gromadzeniem tych kolekcji — to temat na długie, osobne opowiadanie.

W każdym razie obecnie są to zbiory wspaniałe — a mam prawo twierdzić, że nie jedynie w Polsce — tak pod względem artystycznym jak i poznawczym. Innym miejscem, gdzie można było spotkać się z grafiką ze Wschodu były oficjalne wystawy (Biennale Grafiki, Biennale Rysunku, Małe Formy Grafiki, Biennale Ekslibrisu itp.). Odrębność artystów estońskich, łotewskich i litewskich była na nich zawsze zauważalna...

Czasem stanowiło to efekt czysto formalnych zabiegów; specyficzny rodzaj obrazowania i symboliki, zaskakujące skolorowania elementów plastycznych. Kiedy indziej jakaś deformacja czy stylizacja, jakiś rodzaj ekspresji, postycykłego napięcia czy lirycznego wyciszenia sygnalizowały duchową i kulturalną odrębność. Czasem była to kwestia treści, gry intelektualnej, którą należało rozszyfrować, przesłania zamkniętego w graficznym znaku, klimatu emanującego z planzji. Dość wcześnie dało się zauważyć, że artyści z Rygi, Tallina, Wilna ciążą wyraźniej w kierunku sztuki zachodniej bądź kosmopolitycznej, przy czym w zachowaniu indywidualnego charakteru wypowiedzi. Bez wątpienia posiadają oni instynkt, ten wspaniały instynkt artystyczny, pozwalający na zwracanie się w twórczości zawsze w najlepszym, najwłaściwszym kierunku. Na wychodzenie z własnych osobowości i powracanie do nich, zebrany po drodze i przetworzony doświadczenia innych...

Nie ma w tym nic dziwnego, że zupełnie inne oblicze ma, w niektórych republikach radzieckich, właśnie twórczość graficzna, że wyprzedziła ona znacznie inne gatunki sztuk plastycznych. Jest ona bardziej prywatna, kameralna odmiana działań artystycznych, stąd też łatwiej było jej twórcom zdobyć się na samodzielną koncepcję, indywidualność, eksperyment, intelektualną rozgrywkę czy nawet na ideową i duchową kontestację...

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

IONESCO, ZANUSSI, BRADECKI

20 sierpnia br. we włoskiej miejscowości Rimini odbędzie się premiera opery pt. „Maksymilian Kolbe”. Operę skomponował utalentowany muzyk francuski młodego pokolenia Dominique Probst, autorem libretta jest Eugene Ionesco, zaś autorem inscenizacji polski reżyser i aktor — Tadeusz Bradecki. Opięć artystyczną nad całością sprawuje Krzysztof Zanussi. Kierownictwo muzyczne spektaklu spoczywa w rękach Gian Franco Rivelego. Z tej okazji włoska „Panorama” przeprowadziła wywiad z Ionesco, dla którego — jak i dla Zanussiego — bohaterem czyni Maksymiliana Kolbego stał się pretekstem do refleksji nad ludzkim losem i wiara, pretekstem do krytyki społeczeństwa hedonistycznego — jak pisze „Panorama” — podporządkowanego egoizmowi, zagrożonego totalitaryzmem. „Akt poświęcenia — mówi Ionesco — jakiego dokonał Kolbe, wydał mi się wspomnianym aktem świętości. Aktem miłości, wielkoduszności, który może nam służyć za przykład w świecie, gdzie zwycięża egoizm”.

Mówiąc o teatrze współczesnym Ionesco zauważał: „Poza tym, co robią Bob Wilson i Ta-

deusz Kantor, nie ma w nim nic interesującego. Ale ja, w ogóle biorąc, nie lubię teatru. „Lysa śpiewaczkę” napisałem po to, by teatr wyśmiał. Ta sztuka była parodią, która miała szcześnie, że ją wystawiono. Premiera w 1950 r. nie przyniosła jej sukcesu. Było na niej tylko 4 widzów: oprócz mnie, moja żona, Armand Salacrou i Roger Vitras. W 1957 r. sztukę wznowiono i od tej pory nie schodzi z affisa. Potem, gdy inni reżyserzy zaczęli mnie do pisania, zacząłem poważnie interesować się teatrem, zawsze jednak z zamiarem zażenowania się równocześnie czymś innym... Chciałem pisać eseje lub powieści, albo też w ogóle nie pisać, tylko być jakimś poczytnym urzędnikiem, nauczycielem lub księdzem. Zawsze sobie mówiłem, że jeśli będę miał czas, będę pisał. Ta chwila nadeszła zbyt późno i w dodatku nie miałem już ochoty na pisanie (...). Owezem, zacząłem malować w roku 1981. Jestem więc początkującym malarzem. Lubię malarstwo, ponieważ jest to sztuka milcząca. Czuję potrzebę wyrażania swych myśli, ale brak mi słów...

MODERNIZACJA CENTRUM IM. G. POMPIDOU

Zapadła decyzja o modernizacji paryskiego Centrum im. Georges Pompidou. Dzięki modernizacji, która potrwa trzy lata i kosztować będzie blisko 200 mln franków, światowej sławy placówka wzbogaci się o ok. 8 tys. m. kw. dodatkowych powierzchni wystawowych.

GLÓD KSIĄŻKI

Przebudowa, która najszybciej objęła intelektualne dziedziny życia nie ominie również działalności wydawniczej. Dalej się w tych obszarach wiele nowego, a wszystko amierza do nowocześniejszej techniki druku, jak i wzrostu nakładów książek, demokratyzacji procesu wydawniczego i większej swobody tworzenia oraz likwidacji tzw. białych pól w literackim dorobku rosyjskim i radzieckim.

220 wydawnictw w ZSRR drukuje rocznie 84 tys. tytułów, co przy nakładzie 2,7 mln egz. rozpoczęło już wydawanie szcze-

gólnie poszukiwanych encyklopedii, książek dla dzieci, pamiętników wojennych i historycznych w podwyższonych nakładach wynoszących po 500—700 tys. egz.

Innego rodzaju nowością, to zwolnienie wydawnictw z obowiązku recenzowania wszystkich tytułów i pozostawienie tej czynności autorom pożytych dyskusyjnych, niestandardowych i oryginalnych punktów widzenia. Tego typu wydawnictwa ukazują się w redakcji ich autorów, bez ingerencji wydawcy. Autorzy otrzymali również prawo samodzielnego wydawania swoich książek za własne pieniądze, albo za pożyczone z banku, względnie na zasadzie komisu, w którego roli występują księgarnie. Nakład małych wydawnictw książek będzie miał charakter próby: jeżeli książka nie uzyska powodzenia u czytelników — ryzyko poniesie autor, a gdy trafi w gust i zapotrzebowanie — zysk stanie się udziałem autora, zaś książka będzie się mogła ukazać w nakładzie masowym.

A u nas?!

POLICJA W STANIE GOTOWOŚCI

W stan pełnej gotowości została postawiona rzymska policja, żeby temperować 30-tysięczną widownię na olimpijskim stadio-

„Bohii”, nowa powieść Tadeusza Konwickiego, pod wieloma względami przypomina wcześniejsze utwory tego pisarza, reprezentuje ten sam typ spojrzenia na świat, a przecież jest to książka inna. Bohii, stanowiąca próbę dotarcia do korzeni własnej osobowości i własnej twórczości, próbie rozróżnienia i pogodzenia się z samym sobą, dopełniającą niejako kształt pisarskiej drogi autora. Świat Konwickiego to nade wszystko świat drapieżnych, obsesyjnych wspomnień, natrętnie powracających w wyobraźni, rozgrywających i współtworzących rzeczywistość współczesną. Tym razem jednak nie są to wspomnienia sielskiego dzieciństwa w małym miasteczku nad rzeką, gdzie na kresach, ani też koszmarnie obrazy wojny tragicznej śmierci, technicznego przetrwania dżecznego poczucia winy. Pamięć autora jest w „Bohii” autokreacją przeszłości genealogicznej, przywołuje wspomnienia, których nigdy nie było, sięga bowiem daleko, do czasów Heleny Konwickiej, babki pisarza, której nigdy nie znał, do trudnych lat następujących po upadku powstania styczniowego, do pre-adamickiego kraju, którego nigdy nie doświadczył do końca. Utwory Konwickiego charakteryzowały się zwykle staranym, zamkniętym, czasem tępym, czasem mrocznym, „Bohii” tymczasem pełen jest odłamków

Jubileusz na Bałutach

30-letni dzisiaj Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Bałuty, to, wbrew leżbie pojedynczej — cztery domy, cztery silne placówki kulturalne, wtopione w pejzaż największej dzielnicy naszego miasta. Są to: DK „Rondo” przy ul. Limanowskiego 166, DK „Lutnia” ul. Łanowa 14, DK „Na Zubardzkiej” ul. Zubardzka 3 i Hancerski Dom Kultury i Techniki, przy ul. Wrzesińskiej 64 — najmłodszy element tego zgodnego czworokąta.

A zaczęło się w 1958 roku. Szara i zaniedbana dzielnica, zapracowana i robotnicza, gdzie przemysł kultury było hodowanie gołębi, gdzie rządził przedwojenny szpan, a wycieczki ciekawych powojennych lobozów przetrwały legendy o największych sanacyjnych kozakach. Mówiło się w Polsce: „bez kija i noża nie podchodzić do Bałuciora...”

W tych warunkach powstaje pierwsza placówka kulturalna, filia Łódzkiego Domu Kultury, przy Zgierskiej 71. Zatrudnia dwóch pracowników etatowych i jest mniej niż skromnie wyposażona. W 1961 r. filia przemienia się w pierwszy w historii Dzielnicowy Dom Kultury. Działalność na dziesięciu dla kultury terenie rozwija się nad podziw dobrze i, wbrew przewidywaniom wiecznych sceptyków, o garnia setki, dociera do tysięcy mieszkańców dzielnicy.

Zeby nikomu nie przeszło się w głowie: „kultura” traci wyremontowaną i wycieczką przez siebie siedzibę na rzecz Urzędu Stanu Cywilnego i zostaje wyznaczona do zniszczonej willi przy ul. Limanowskiego. Wszyscy trzejba zaczynać od nowa. Wiele pracowników nie wytrzymało perspektyw nowych remontów i urzędowania się od zera — i odchodzi. Sytuacja wraca z czasem do normy, ba, jest coraz

lepsza. Powstają wymienione na

wstępie filie. Liczby są nudne, najlepiej jednak ilustrują postępie i rozmach w działaniu. W 1958 r. odbyło się zaledwie 56 imprez dla niespełna 10 tys. osób. W 1977 — aż 627 imprez dla ponad czterech milionów uczestników. W 1987 r. 993 imprezy i 105 pracowników etatowych, przy dwóch 30 lat wcześniej. Dziś, gdy mówimy o Bałutach, nie pominiemy Dzielnicowego Domu Kultury. Pracownicy powiadają, że: „rozmowy o kulturze Łodzi wcześniej czy później i tak zakończą się na naszej placówce”. Odbywają się tu prestiżowe w skali kraju imprezy takie jak Konfrontacje Teatru Amatorskich, Przegląd Dzielnicowy Teatrów Amatorskich „Dziatwa”, ogólnopolskie seminaria filmowe, a DKF „Elta” jest jednym z najlepszych w kraju.

Niedawno, bardzo uroczysto, obchodzono jubileusz 30-lecia DDK Łódź-Bałuty. Stał się on okazją do zaprezentowania tłumnie przybyłym gościom bogatego dorobku artystycznego. Oglądaliśmy więc brawurowo wykonane tańce nowoczesne bardzo dobrze zespołu „Gessy”, kierowanego przez Krystynę Kwestar, słuchaliśmy adeptyw studia piosenki Janusza Sicińskiego, zespołu wokalnego Tadeusza Mikolajczyka, prezentowała się grupa teatralna „Dziwociosi”, a także znana nie tylko w Łodzi kapela uliczna „Bałuciarze”, obchodząca w ubiegłym roku piętnastoletnie swego istnienia. Są to tylko niektóre punkty bogatego i na miarę jubileuszu skonstruowanego programu artystycznego. Program prowadził z wytwornym wdziękiem Czesław Pawłowski, nad całością czuwał ze swobodą elegancją Marcin Janic, a wszyscy pracownicy mieli swój udział w przygotowaniu uroczystości.

Zasłużonych, wieloletnich pracowników odznaczyli przedstawiciele władz miasta, długo przyjmowano życzenia, nawet mężczyźni całowali się z dubeltówkami. W ogóle całowali się wszyscy ze wszystkimi, ofiarowując sobie wzajemnie wiązanki kwiatów. Później był tort ze świeczkami i dużo, dużo smakowitość.

Wspomina Stefan Wojciechowski, wieloletni dyrektor LDK, „ojciec chrzestny” pierwszej w Łodzi dzielnicowej placówki kulturalnej:

„Oddelegowani do pracy na ul. Zgierskiej ludzie zaczęli w bardzo trudnych warunkach. I aż wierzyć się nie chce, że na początku ich pracy najczęściej towarzyszyli milicjanci i szklarki. Dlaczego? Pierwszy, ten w mundurze, studiował nieco zapęły co bardziej krwawych „kibiców” tej działalności, drugi zaś po prostu często wprawiał wyłuczonych zbyty w oknach...”

Dyrektor DDK Łódź-Bałuty, Marianna Krynicka, nie zapomina o swoich pracowników, bez nich bowiem, co jasne, nie byłoby działalności, ani żadnego jubileuszu: „...pracując u nas naprawdę wspaniali ludzie, z pasją, zaangażowaniem. Chciałabym, żeby na Bałutach byli tylko tacy, ambitni, trochę zwirowani nie licząc, cy godzin... U nas przecież nigdy nie ma tzw. spokojnych dni, zawsze coś się dzieje, coś się wydarza, gdzieś trzeba pilnie jechać. Oblicze naszych placówek i ocena, naszej działalności — nie zapominajmy o tym — zależy właśnie od pracowników. Do tej pory spisywali się znakomicie, chciałabym, żeby w przyszłości nie było gorzej...”

MAREK KOPROWSKI



Boisch Helga — NRD

Kronika

JEDNA Z TEGOROCZNYCH REWELACJI WYDAWNICZYCH BĘDĄ — znane już naszym czytelnikom z druku w oddziałkach „Dzieci Arbatu” Anatolija Rybakowa, „Iskry” zapowiadają ukazanie się książkowego wydania tej powieści w IV kwartale br. (prawdopodobnie w październiku). Przypomnijmy też — albowiem pamięć ludzka bywa niekiedy zawadna — że to właśnie przypadała palma pierwszeństwa wśród kilkunastu drukujących tę powieść czasopiśm.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI zaprasza do Salonu Szukli Współczesnej (ul. Piotrkowska 88) na wernisaż prac malarzy Józefa Smida. Drugą, równie interesującą propozycją dla łodzińskich miłośników sztuki jest wystawa zapoznająca się z malarstwem Jacka Białkowskiego w Galerii Bałuckiej (Stary Rynek 3). Ekspozycja czynna będzie od 20 bm.

Przykładem wpada inicjatywom kierownictwa BWA, które — nawet w sezonie ogłusowym — stwarza możliwość mieszkancom naszego miasta obcowania ze sztuką.

W GORZNIEN GÓRNYM (woj. białskie) powstanie Muzeum Biograficzne Emila Zagadłowicza. Mieścić się ono będzie w dworcu, w którym zamieszkiwał i tworzył autor „Zmór”.

Otwarcie muzeum będzie jednym z akcentów uczczenia — przypadającego w tym roku — stulecia urodzin pisarza.

TADEUSZ DREWNOŚKI, wyróżniony niedawno nagrodą Warszawskiej Premierii Literackiej za przygotowanie do druku wyboru „Dzienników” Marii Dąbrowskiej (rewelacja), o kryterium, którym się w tej pracy kierował, powiedział: „Aby zachować autentyczność, którymi postaci i osobowości Dąbrowskiej zastępowałem selekcją negatywną. Wybrałem sobie czego by sobie nie czytała. A więc z pewnością rzeczy, zbyt intymnych, zbyt kompromitujących innych i zbyt ryzykownych politycznie (nawet jeśli na 5 tomów było zaledwie 2 i 3 tomy). A ja sobie nie życzyłem „detaliczności” i wylizania, do których miała słabość”.

Mówiąc o trudnościach, na jakie napotykało wydanie „Dzienników”, w minionych latach, ze strony ówczesnych władz, przytoczył charakterystyczny lapsus:

„Mam (...) list, który wysłałem do J. Szydłaka (ówczesny sekretarz KC ds. Ideologii i Kultury), protestując przeciw assekuracyjnym decyzjom dotyczącym klasyki literatury, z prośbą, by znalazł rozwiązanie, i znalazł. Przesłał list do tego, kto zakazał druku”.

Z CZEGO SIĘ NAJCZĘŚCIEJ ŚMIEJEMY? Oczywiście, z samych siebie. Dowiada tego zakonieczona w Legnicy Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „SATYRYKON '88”.

Wpłynęło na nią 1300 prac spośród, których Jurorzy przyznali Grand Prix Łaciowskiemu Narmundowski.

W kategorii satyry „Złoty obłówek” przypadł Adamowi Hanuszkiewiczowi (za pracę „Kapitałizm — socjalizm”). Brawa dla organizatorów tej imprezy! W dzisiejszych, trudnych czasach smutek jest wszystkim bardzo potrzebna.

JOLANTA PÓŁ, starszy kustosz Muzeum Literatury, została komisarzem — przygotowywając przez tę placówkę — wystawy poświęcone Witoldowi Gombrowiczowi (otwarcie ekspozycji nastąpi we wrześniu br.).

Dużo czasu zajęło jej odtworzenie drzewa genealogicznego pisarza (sięgającego aż do roku 1581) oraz selekcjonowanie dokumentów. Spodziewa się, iż dyrektor Juliusz Odrowąż — Pieniążek przywiezie z Paryża rękopisy, które Witold Gombrowicz zabrał w 1939 r. do Argentyny.

WIELE OSOB INTERESUJĄCYCH SIĘ HISTORIA GRODU NAD ŁÓDKĄ (przede wszystkim zaś rodowici łodzińscy), z dużą niecierpliwością i zaniepokojeniem, oczekuje na ukazanie się pozostałych dwóch tomów — przygotowywanej przez PWN Oddział w Łodzi — trzymtomowej monografii „Łódź. Dzieje miasta” (pod ogólną redakcją naukową kompetentnego znawcy przedmiotu — doc. dr. Ryszarda Rosina).

Przypomnijmy, że pierwszy tom tej monografii ukazał się w roku 1980 (w nakładzie 6000 egz.). Jak nas poinformowała kierowniczka redakcji edytorskiej Oddziału PWN w Łodzi, mgr Barbara Matyszak, w tej chwili trwają i najbardziej są zaawansowane prace redakcyjne nad trzecim (obejmującym lata 1945—1985). Prawdopodobnie ukaże się on wcześniej niż tom drugi (obejmujący okres międzywojenny). Wszystko wskazuje na to, że dotrze do rąk czytelników w 1990 roku. Zakończenie edycji (ukazanie się tomu drugiego) przewidziane jest w roku 1991.

Natomiast w grudniu bieżącego roku planowane jest wznowienie tomu pierwszego (w nakładzie 4000 egz.). Umożliwi to skompletowanie całości wszystkim zainteresowanym.

Na opóźnienie prac redakcyjnych wpływa zupełny brak, bądź eszkatowy stan zachowanych źródeł do dzieł naszego miasta, konieczność czasochłonnego poszukiwania archiwalnych (przeprowadzenia niemal do podstaw kwerendy) — dla pełnego nasświetlenia wielu złożonych problemów (dotyczy to głównie okresu międzywojennego). Dodajmy, że temu bezprecedensowemu przedsięwzięciu edytorskiemu w ramach „Biblioteki Łódzkiej”, patronują władze miasta oraz Rada Łódzka PRON. Dzięki ich życzliwości i wsparciu ta edycja, o dużych walorach naukowych, wspierająca dotkliwą lukę, zostanie w najbliższych latach doprowadzona do końca.

Opracował: JAK

Powrót do źródeł

wrót, mających uświadomić czytelnikowi „klamrę”, naturę narracji, przeprowadzić wyraźną linię oddzielającą teraźniejszość od przeszłości (która oczywiście nie pozostaje bez wpływu na obecną stan rzeczy); fantazje od realności, literaturę od pamiętnika. Nie wierzę mi — zdaje się powiadać autor — to tylko ja jestem twórcą, tylko ja naprawdę istnieję, reszta to mniemanie, ale opowieść o losach samotnej, zagubionej hen na odległej ziemi wileńskiej kobiety, opowieść o moich przodkach jest mi potrzebna, by siebie zrozumieć, bym mógł stać się prawdziwym, jeszcze, niż jestem, bym mógł poznać początek drogi, którą kresem jestem ja sam: „A ja przedzieram się przez zaski i czas, przez drowe wyobraźni, przez moją własną rzekę i kiegoś bólu i muszę przetrwać się na tamten brzeg, do mojej babki (...) w smutnym czasie, w posępnej epoce, w beznadziejnej chwili beznamiennej historii, co płynię jak powódź za nami, obok nas, przed nami”.

Zadanie, jakie postawił sobie Tadeusz Konwicki, jest niewykonalne bynajmniej nie dlatego, że baziu na grze wyobraźni (bo czymże innym jest literatura?), lecz dlatego, że będąc zamierzonym wyrażającym się na najbardziej głębokich, osobistych uczuciach, wrogich w swej bezpośrodkowości pisarstwu, rezygnuje zarazem z wszelkich pozorów, jakimś karmia się i książki, i czytelnicy. W rezultacie otrzymujemy literaturę przypuszczeń, niepewności, zawsze przynosiąca w ostateczności rozczarowanie, wahanie autora bowiem ani na chwilę nie pozwala uwierzyć w świat przedstawiony, w pełnokrwistość postaci. Powieść przestaje być sznem, i jawi się wówczas jako efektywny, acz rutynowy trik, o którym wiadomo skądinąd, iż nie kryje w sobie nic tajemniczego. W litewskich małątku Bohii Tadeusz Konwicki odnalazł Tadeusza Konwickiego, jak w lustrze — a prezentowane przez pisarza charaktery tyja gdzieś obok, nieuchwytnie i niedostrzegane.

Przeszycony jest „Bohii” uczuciem lęku i niepokojem, strachem przed bolesną utratą arkadii dzieciństwa, przed odpowiedzialnością za przyszłość. Przeszycony jest ogromną miłością do niepowtarzalnych rodzinnych stron, miłością, która usprawiedliwia sentymentalizm, zdarzeń i życia postacią poglądami, walei historyczne, społeczno-obyczajowe i romantyczne, bogoczytnie dramatyzm, w których wciąż wraca balladownym refranem „sprawa polska”. I choć urzeka „Bohii” niewątpliwie pięknym stylizowanym językiem, poetyckością klimatu, czułością i wrażliwością serca, to trudno zastawić tę powieść z najwyższymi dokonaniami pisarza w sensie czysto krytycznym, literackim. Ostatnia książka Konwickiego stanowi po prostu interesujący przyczynek do badań nad biografiami i twórczą psychologią autora, i właśnie jako taka analityczna, materiałowa pozycja przejdzie najprawdopodobniej do historii powojennej literatury polskiej.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tadeusz Konwicki — „Bohii”, „Czytelnik” 1987 r. Wyd. I.

„Krajobrazy kultury”

Z bardzo interesującym konkursem wystąpiło siedleckie środowisko kulturalne. Otóż ogłoszono tam przegląd konkursowy na program wideo „Krajobrazy kultury”, którego celem jest popularyzacja amatorskiej twórczości filmowej poruszającej zagadnienia związane z kulturą narodową.

Cechą charakterystyczną współczesnego świata jest m.in. postępująca standaryzacja i unifikacja. Dlatego też organizatorzy pragną zachęcić autorów do ocenia tego, co odbiega od przeciętności, co jest oryginalne i niepowtarzalne. Chcą przypomnieć zanikającą gwarę, obrzędy i legendy ludowe, przedstawić sylwetki działaczy kultury i spróbować na nowo odkryć piękno zabytków.

W konkursie mogą brać udział programy — filmy zrealizowane w technice wideo, które nie były dotychczas nagrodzone na konkursach, ani też rozpowszechniane w środkach masowego przekazu. Czas projekcji ograniczony jest do 20 minut, jednakże decyzją jury mogą być dopuszczone do konkursu programy

dluższe, zrealizowane przez jedną osobę, bądź zespoły twórców czy instytucje.

Konkursowy przegląd programów bądź filmów wideo „Krajobrazy kultury” odbędzie się w Siedlebach w pierwszej połowie lutego 1989 r. i będzie trwał dwa dni, natomiast zgłoszenia przyjmowane będą do 31 grudnia br. Oczywiście konkurs oceniać będzie specjalnie powołane jury, które po obejrzeniu wszystkich propozycji konkursowych wyłoni spośród nich filmy do publicznej projekcji.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody — 50, 40 i 30 tys. dla trzech pierwszych oraz trzy wyróżnienia po 20 tys. zł.

Przebieg konkursowy „Krajobrazy kultury” organizują: Wydział Kultury i Sztuki UW, Centrum Kultury i Sztuki Województwa Siedleckiego, Miejski Ośrodek Kultury oraz współorganizator — miesięcznik „Inspiracje”.

M. B.

Fraszki

RYSZARD DOROBĄ

OMY

Lecą za byle świecą

DWA ZERA

Zero szuka zera

sobie na partnera.

POLAK

Kamienie ciska

jak opętaniec —

bądź na bliźniego,

bądź też na szaniec.

OKOLICZNOŚCI

W potop się nie sarka,

ze chybocę arka.

PANTA REI

Ponieważ szybko płynie życie,

trzeba w nim płynąć nieszczęściu.

(Fraszki pochodzą ze zbioru „Zachłanie Mioba”, Wyd. Łódzkie, 1962 r.)

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

nie podczas koncertu supergwiazdy rocka, Michaela Jacksona. Właśnie w Rzymie Jackson rozpoczął europejskie tournée promujące swój ostatni album „I'm Bad” (Jestem zły). Najbardziej obawiano się tych, dla których zabrakło biletów. Na widownię zasiadli m.in. Sophia Loren, Bernardo Bertolucci, Franco Zeffirelli.

DOKUMENTY HISTORII

„W gigantycznym gospodarstwie Centralnego Archiwum — pisze W. Bielych w radzieckim piśmie „Trud” — znajduje się obecnie ponad 600 tys. negatywów, 1300 albumów ze zdjęciami, ponad 135 tys. pudełek z taśmami filmów dokumentalnych — naczenie przedstawiona historia naszego kraju. Beznamiętne oko kamer filmowych i aparatów fotograficznych wyrwało z czasu i zachowało dla nas obrazy rozwoju — pełnego sprzeczności, bynajmniej nie jednokierunkowego — młodej republiki, jej bohaterów i jej jawnych i ukrytych wrogów...”

Zło i dobro dziwnie się ze sobą przeplatają. To, że ów zbiór przetrwał — praktycznie biorąc, nienaruszony — zarówno epokę kultu Stalina, jak i lata stagnacji, zawdzięczamy przede wszy-

stkim temu, iż archiwum to w przerażających latach masowych represji podlegało NKWD, a następnie ministerstwu spraw wewnętrznych. Dokumentalna prawda o historii kraju znalazła się pod surowym nadzorem, ale nie niszczonej — na wszelki wypadek. Chroniono ją, broniąc przed wzrokiem osób postronnych. Czas jednak płynął i liczne zdjęcia oraz kadry filmowe, wyrwały się z ciasnego schronienia na dzienne światło, stały się nieodpartym materiałem dowodowym oskarżającym tych, którzy je tak długo ukrywali przed społeczeństwem...”

NAGRODA RADZIECKA DLA P. BROOKA

Światowej sławy angielski reżyser Peter Brook po raz drugi już odwiedził Związek Radziecki. W czasie obecnej wizyty w siedzibie MCHAT-u Petrowi Brookowi wręczona została, przyznana po raz pierwszy, nagroda Związku Działaczy Teatralnych ZSRR za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki teatralnej i wkład włożony w jej rozwój.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Zbigniew Lew Stawowicz „Seks nietypowy” — 700 zł (cena nominalna 400 zł); Mio Sing „Wyznania chińskiej kurtyzany” — 1200 zł (cena nominalna 650 zł); Michalina Wiśłocka „Sztuka kochania w dwadzieścia lat później” — 1200 zł (cena nominalna 850 zł); John Denie, Alistair Mac Lean „Wieża zakładników” — 600 zł (cena nominalna 350 zł); Jan Stanisławski „Wielki słownik angielsko-polski” — 15.000 zł (cena nominalna 9.500 zł); Artur Rubinstein „Moje długie życie” (2 t.) — 1800 zł (cena nominalna 1200 zł); Aleksander M. Rostocki „Historia starych samochodów” — 3000 zł (cena nominalna 2500 zł); Mariusz Karpowicz „Barok w Polsce” — 4500 zł (cena nominalna 3800 zł); Lucy Maud Montgomery „Ania z Zielonego Wzgórza” — 700 zł (cena nominalna 400 zł); Irena Szymańska „Album spłotów na drutach” — 1500 zł (cena nominalna 780 zł).

POWRÓT DO MOSKWY

Przez cały ten czas żyliśmy się wspaniałą świeżą rybą. Losos wędrował z morza na tarło do rzek i ich dopływów. Przestaliśmy nawet jeść gorbuse (ryba z gatunku lososowatych), braliśmy tylko jej ikry, jedliśmy zaś wyłącznie lososia, przygotowując z niego zupełnie rybny. Pewnego razu po sutoj obiedzie posłaliśmy zgarbić sianko i znów zobaczyliśmy naszego starego znajomego. Miś, oparty przednimi łapami o brzeg strumienia, uważnie wpatrywał się w wodę.

— Pewnie ma randkę — zażartowałem — i przegląda się w wodzie niby w lusterku.

Ale niedźwiedź rzucił się nagle do wody i zaczął się w niej pląskać.

— Widać go zdradziła, albo nie spodobała mu się własna geba — rzekł Wasia — więc postanowił utopić się w rozpaczy.

Ukryci w krzakach obserwowaliśmy go w dalszym ciągu.

Niedźwiedź posuwał się wzdłuż strumienia, aż wreszcie wybił się na płaski brzeg, stając na tylnych łapach. W przednich trzymał trzepoczącą się dużą rybę. Usiadł, podjadł sobie i skrył się w tej części lasu, przez którą mieliśmy iść. Nie wiedzieliśmy, czy odszedł daleko ani też, jakie ma zamiary. Postanowiliśmy więc odpocząć po obiedzie i przeczekać, aż odejdzie gdzieś dalej.

Było to moje ostatnie spotkanie z gospodarzem tych lasów.

Nasz sianokos mijal pomyślnie. Mnożyły się wysokie kopy suchego, pachnącego siana, pogoda była piękna — w ogóle czuliśmy się jak w uzdrowisku i do siebie sobie odpoczęli. Ja jednak nie mogłem wciąż zapomnieć o tej historii ze zwrotem chleba.

I oto nagle, o niezwyklej porze, w środku tygodnia, przybył do nas wóz. Nieznajomy woźnica przekazał rozkaz komendanta: „Gorbatow ma natychmiast wracać do obozu!”. W jakiej sprawie nie wiedział.

Pożegnaliśmy się z towarzyszymi, życzyłem, aby im skrócono pobyt w obozie i aby w przyszłości żyli uciwicie. Wasia rozstał się ze mną jak z rodzonym ojcem i dał mi słowo, że postara się zastosować do moich rad. Ja zaś z niepokojem w sercu ruszyłem w powrotną drogę. Od filarów spławiających drzewo też niczego się nie mogłem dowiedzieć. Z rana na jednej z traw dopłynąłem do wsi Oia, gdzie znajdował się oboz.

Przed wszystkim poszedłem do swego przyjaciela Fiodorowa i opowiedziałem mu historię z chlebem. Na moje pytanie, co myśli o powodach mojego powrotu, odpowiedział, że nic na ten temat nie słyszał. „Ale myślę — dodał — że twoje sprawy nie stoją dobrze”.

Z jeszcze większym niepokojem poszedłem do komendanta obozu. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że przyjął mnie bardzo uprzejmie. Rozmowę rozpoczął od spraw obojczyń. Z początku wypytował, jak wygląda sprawa przygotowania siana, a po moim meldunku wyraził zadowolenie z naszej pracy. Następnie z uśmiechem zapytał, czy wiem, jakie są powody mojego powrotu do obozu. Chociaż na końcu języka miałem odpowiedź: „Wiem”, odrzekłem pewnym głosem:

— Nie, nie wiem.

— Wyście dowodili dywizją, wasze nazwisko Gorbatow, imię Aleksander, imię ojca Wasilij, wyrok macie: piętnaście plus pięć? — zapytał komendant.

Otrzymałszy ode mnie odpowiedź potwierdzającą, oświadczył:

— Wzywają was do Moskwy w związku z rewizją sprawy.

— Mówicie to poważnie, nie żartujecie? — zapytałem.

— Tak, zupełnie poważnie, i bardzo się cieszę, że mogę to wam zakomunikować.

Komendant zwrócił się do mnie per „wy”, po raz pierwszy od czasu mojego pobytu w tym straszliwym obozie: był to najlepszy dowód, że nie żartował.

Bardzo wam dziękuję, obywatelu komendancie, za tak radną wiadomość. Wciąż na nią czekałem.

Ludzie przywykli uważać nas za jakieś potwory, ale to zupełnie niesłuszna opinia. Nam jest również przyjemnie, kiedy możemy zakomunikować więźniowi radną wiadomość. Niestety, zdarza się to rzadko — zauważył komendant i dodał: — Musicie być gotowi, aby jutro rano odjechać kutrem do Magadanu. Moja rada: bądźcie ostrożni w rozmowach i zachowajcie, póki nie dojdziecie do Moskwy.

Na pożegnanie uściłami mi dłoń.

Od komendanta poszedłem do Fiodorowa, aby podzielić się z nim radną nowiną. Po drodze spotkałem owego woźnicę, który przywoził nam żywność i zabrał z powrotem nie przyjęty przez nas chleb. Ujrawszy mnie, zapytał, dlaczego tak wcześnie wróciłem z sianokosu. Kiedy usłyszał nowinę, powiedział:

— Dobrze się stało, że nie zawiozłem waszego chleba z powrotem do obozu: część zjadły konie, a resztę wyrzuciłem. Nie wiadomo, czy by to wam nie zaszkodziło, nie byłoby może teraz w takim radnym nastroju.

Podziękowałem mu bez słowa mocnym uściśkiem.

Cieężko było rozstawać się z Fiodorem i innymi towarzyszami, którzy pozostawali w obozie. Wszyscy oni ronili gorzkie łzy i tylko moje łzy, pełne gorzkości z powodu pozostających towarzyszy, były zarazem łzami radości. Wszyscy prosili, abym powiedział w Moskwie, że w niczym nie zawinił, że nie są wrogami swojej władzy. Jadąc kutrem długo widziałem, jak stali na brzegu i wymachiwali na pożegnanie rękami.

Dowiedziałem się później, że żona objęła wciąż progi Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, prokuratury, Sądu Najwyższego i Ludowego Komisariatu Obrony. Nareszcie 20 marca 1940 roku otrzymała kopertę z pieczęcią Sądu Najwyższego. Długo nie mogła się zdecydować na jej otwarcie, a otworzywszy — rozplakała się. Zawiadomiono ją, że plenum Sądu Najwyższego uchyliło wyrok w stosunku do mnie i poleciło ponownie rozpatrzyć moją sprawę.

Dużą rolę przy podjęciu tej decyzji odegrało wystąpienie w mojej obronie S. M. Budionnego na plenum Sądu Najwyższego. Budionny oświadczył, że zna mnie jako uciwitego dowódcę i komunistę. Dowiedziałem się o tym później

Represje stalinowskie w 2 połowie lat trzydziestych bardzo osłabiły armię radziecką. Obliczenia generała-lejtnanta A. Todorskiego są wstrząsające. Spośród pięciu marszałków zginęło trzech (M. Tuchaczewski, A. Jegorow, W. Blucher), spośród pięciu dowódców pierwszej rangi — trzech, dziesięciu dowódców armii drugiej rangi — wszyscy, pięćdziesięciu siedmiu dowódców korpusu — pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu sześciu dowódców dywizji — stu pięćdziesięciu czterech, czterystu pięćdziesięciu sześciu pułkowników — czterystu jeden, spośród szesnastu komisarzy wojskowych pierwszej i drugiej rangi na szczeblu armii — wszyscy, dwudziestu ośmiu komisarzy korpusu — dwudziestu pięciu, sześćdziesięciu czterech komisarzy dywizji — pięćdziesięciu ośmiu. („Ogoniok”, 26/1987, s. 6) Generał armii Aleksander Wasilewicz Gorbatow (ur. 9 marca 1891 r.) przed wojną dowodził dywizją. W październiku

1938 r. został aresztowany, a w maju 1939 r. niewinnie skazany na 15 lat więzienia plus 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu w Kojłymskim Kraju. Podczas wojny dowodził 3 armią w bitwie pod Kurskiem, walkach na terenie Białorusi, Polski i Prus Wschodnich. W kwietniu 1945 r. otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie był komendantem Berlina, dowódcą wojsk powietrzno-desantowych, dowódcą Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego (1954—58), a następnie wojskowym inspektorem i doradcą. Jego wspomnienia pt. „Lata pokoju i wojny” opublikowało w niewielkim nakładzie (10 tys. egzemplarzy) wydawnictwo MON. Drukujemy piątą rozdzieloną pt. „Tak było”. Mam nadzieję, że autentyczna relacja gen. A. W. Gorbatowa zainteresuje naszych Czytelników.



od jednego z prokuratorów wojskowych, który również był obecny na tym plenum.

Droga do Moskwy była nieskończenie długa i męcząca: ze wsi Oia wyjechałem 20 sierpnia 1940 roku, a do Moskwy, do więzienia butyrskiego, przybyłem dopiero 25 grudnia. Długo trzymało nas w Magadanie, potem w zatoce Nachodka i na punktach etapowych w Chabarowsku, Czyście, Irucku, Nowosibirsku i Swierdłowsku. Z każdego etapu posyłałem listy do żony.

Ani na chwilę nie wątpiłem, że rewizja mojej sprawy zakończy się dla mnie pomyślnie. Nie zachwiałem się w tym przekonaniu nawet to, że na punktach etapowych spotykałem wielu ludzi wracających z powrotem do obozu po rewizji ich spraw.

W Magadanie zebrało się około stu osób jadących na ponowne rozpatrzenie spraw. Brano nas do mniej ciężkich robót. W obawie, aby nie zachorować i nie odłączyć się od partii, która miała wyruszyć statkiem odplywającym w ostatni rejs przed zimą, każdy z nas starał się oszczędzać siły. Korzystając z przywilejów „przebiegów pod znakiem zapytania”, w miarę możliwości uchylałem się od roboty. Aż wreszcie, na tym samym statku „Dziurba”, który nas tutaj przywoził, porzuciliśmy ten nieszczęśliwy brzo.

Morze Ochockie, jak i podczas podróży w tamtą stronę, było bardzo burzliwe, toteż znów doznałem przykrych skutków korysania. Ale nie było już tak surowego reżimu, jak wtedy, kiedy nas wzięto do obozu: teraz często przebywaliśmy na pokładzie. Nasza radość znajdowała ujście we wszystkim — i w nadmiernej ruchliwości, i w licznych rozmowach: cieszyli nas świeży wiatr, cieszyły wielkie przestrzenie, nawet obfite fale. Wszyscy jak gdyby odmłodnieli i nabrali dziarskiego wyglądu.

Oto znowu cieśnina La Perouse’a. Ale cóż za różnica nastroju — wówczas, kiedy płynęliśmy na wschód i obecnie, kiedy płynęliśmy na zachód, na spotkanie wolności!

W zatoce Nachodka, radośnie podnieci, opuściliśmy statek i stanęliśmy, jak to się mówi, na Wielkiej Ziemi, chociaż dla nas było to po prostu drewniane baraki. Kiedy przyszedłem tego dnia po wrzasku, spotkałem Konstantego Uszakowa, byłego dowódcę 9 dywizji kawalerii. Kiedyś nazywano go najlepszym dowódcą dywizji: tutaj nasz kochany Uszakow był brygadzią, dowodził dziesięcioma kuchniami polowymi i uważał się za wybrańca losu otrzymawszy tak uprzywilejowane stanowisko.

Uściśniliśmy się i mocno pocałowaliśmy. Uszakowa nie posłano nad Kojłymę ze względu na stan zdrowia: stary wojak był osiemnaście razy ranny w czasie walk z bachiaczami! W Azji Środkowej. Za zasługi bojowe otrzymał cztery ordery!

Podczas naszego pobytu w Nachodce w losie Uszakowa zaszły zmiany na gorsze: zdjęto go ze stanowiska brygadziści i skierowano do ciężkich robót ziemnych. Władze zdecydowały, że skazani z artykułu pięćdziesiątego ósmego nie powinni zajmować takich stanowisk, kiedy do dyspozycji są „urukowie” lub też ludzie skazani za przestępstwa na szkodę osób prywatnych.

W przeddzień odjazdu z zatoki Nachodka zastąpiłem Uszakowa w rowie, który kopał. Niewielkiego wzrostu, szczupłutki, siedział zupełnie wyczerpany z głową opartą na łopacie. Dowiedziawszy się, że jutro wyjeżdżam, prosił, abym powiedział tam, w Moskwie, że on nie jest winien i nie był „wrogiem ludu”.

Jeszcze raz uściśniliśmy się, pocałowaliśmy i rozstaliśmy na zawsze. Rzecz jasna, sumiennie spełniłem jego prośbę i przekazałem ją, gdzie tylko mogłem. Wkrótce jednak po naszym spotkaniu Uszakow umarł.

Droga od Nachodka do Moskwy wydała nam się bardzo długa i męcząca.

Jechaliśmy już nie w wagonie towarowym, lecz w pasażerskim wagonie więziennym. Nie mieliśmy naturalnie zarezerwowanych miejsc: w wagonie były dwie ławki i cztery górne półki do leżenia, a ludzi — trzynastu. Dbałymi pilnie o to, aby każdy z nas odpoczywał kolejno: kiedy czterech leżało na górnych półkach, dziesięciu pozostałych siedziało na dolnych ławkach i przez maleńkie zakratowane okienko patrzyło na świat.

Nie będę ukrywał, że wyglądałem wówczas niezbyt podłagado. Ogromnie wychudłem: przy moich stu siedemdziesięciu siedmiu centymetrach wzrostu ważyłem tylko sześćdziesiąt cztery kilogramy. O tym, że jestem wojskowym, świadczyła jedynie bluza, którą nosiłem niezmienne przez cały ten czas; z powodu brudu i lat trudno było określić, jakiego była dawniej koloru. Wątowne spodnie także były w latach. Nogę, owiniętą oduciami w kaloszach górniczych (rodzaj krótkich botów). Miałem na sobie jeszcze wątowną kurtkę, która lśniła od brudu, na głowie zaś — zniszczoną i brudną czapkę z nasusznikami. Rozmawiając o swoim wyglądzie, mogłem się tylko pocieszać tym, że zachowałem rzeskość i najpewniej jeszcze bardziej zahartowałem swą wolę i nieugiętość.

Miałem jeszcze worek. Służył mi głównie jako pokrowiec do podartej kolderki, z którą się nie rozstawałem. Trzymałem w nim także zmienne bielizny oraz żelazną porcję żywnościową na wypadek choroby: około dziesięciu niewielkich obwarzanków i pięć kawałków rąbanego cukru — wszystko zresztą tak szkodliwe od brudu, że nie udało mi się „urukować”.

W takim oto stanie przywieziono mnie i innych więźniów do Moskwy i umieszczono w znanym mi już więzieniu butyrskim.

W celi, w której się znalazłem, siedziało już

około czterdziestu ludzi, przybyłych na rewizję spraw z różnych obozów i więzień. Połowa z nich, już po zakończeniu rewizji, czekała teraz znowu na wysłanie do obozu.

Ale mnie to nie przestraszyło. Już dawniej, kiedy opuszczałem cele więzienia Iefortowskiego lub stawałem przed sądem kolegium wojskowego, wierzyłem, że pomoże mi właśnie to, iż nie nie podpisałem i nie składowałem ani siebie, ani innych.

Po siedmiu dniach wezwano mnie do śledczego. Leżały przed nim moje akta z dawną fotografią. Ujrawszy mnie śledczy z początku parsknął śmiechem, potem nagle opanował się i spoważniał. Kilkakrotnie spoglądał to na mnie, to na fotografię, wreszcie, poprosił, abym się przeszedł po pokoju, a potem, abym siadł naprzeciwko niego. Zapytał o rok i datę mego urodzenia, jak się nazywali byli dowódcy okręgów wojskowych z Azji Środkowej i na Ukrainie, kiedy tam byłem, kto był wówczas dowódcą korpusu itd. Potem rozpoczęło się śledztwo.

Stawiając mi te lub inne pytania, śledczy porównywał moje odpowiedzi z poprzednimi zeznaniami. Wszystko to robił w sposób dosyć grzeczny, na razie nie jednak nie wskazywało, że będę zwolniony.

Tak trwało do pierwszego marca, kiedy przewieziono mnie z więzienia butyrskiego na Lubiankę.

Wieczorem 4 marca zakomunikowano mi, że śledztwo zostało zakończone i że tej nocy zostanę zwolniony. Śledczy zapytał, czy mam w Moskwie jakichś znajomych, u których żona moja zatrzymywała się w czasie pobytu w Moskwie.

— Mam.

— Jak przypuszczacie, czy nie została tam dla was mundur? — zapytał.

— Moja żona wierzy, że będę zwolniony. Nie jest wykluczone, że przywozi i zostawiła dla mnie mundur.

Podał mi numer telefonu znajomej rodziny.

Śledczy wyszedł. Wrócił po pewnym czasie i zakomunikował mi:

— Żona nie dla was nie została, a w takim stanie nie możemy was wypuścić nawet w nocy.

Poprosiłem śledczego, aby mi powtórzył rozmowę telefoniczną. Wysłuchawszy go, powiedział:

— Na tak postawione pytanie musiała nastąpić przecząca odpowiedź. A wy powiedzcie tak: Zwalniamy Gorbatowa, ale nie ma w co się ubrać. Wówczas odpowiedź — inaczej.

Znowu wyszedł. Teraz otrzymał, rzecz jasna, odpowiedź, której należało oczekiwać. Sam pojechał do naszych znajomych i przywoził mi mundur.

5 marca 1941 roku o godzinie drugiej w nocy śledczy przywoził mnie samochodem osobowym na plac Komsomolski do moich znajomych. Zostawiając mnie tam, pożegnał się grzecznie i powiedział:

— Oto mój telefon. W razie czego dzwońcie do mnie o każdej porze. Możecie liczyć na moją pomoc.

Niczym relikwie wziąłem z sobą na pamiątkę latany worek, kalosze i czarne jak smoła kawałki cukru, a także obwarzanki, które chowałem na wypadek choroby.

Aż do switu nie kładliśmy się spać. Opowiadaliśmy o tym, gdzie byłem, co widziałem, chociaż z zupełnie zrozumiałych względów nie mogłem wówczas opowiedzieć nawet setnej tego, o czym piszę teraz; opuszczając Lubiankę podpisałem zobowiązanie, że będę milczał.

Bez końca wypytywałem swych przyjaciół o moją żonę, o jej krewnych, o to, co się działo w kraju i na świecie.

Ale ten tylko rozumie mnie naprawdę, za kim, tak jak za mną, zatrzasnęły się kiedyś drzwi celi, kto sam to wszystko przeżył i wyszedł na wolność.

Piąty marca uważam za dzień moich powrotnych narodzin.

Pamiętam, śmialiśmy się do łez, kiedy Irina Pawłowna i jej córka Lila opowiadały o tym, jak się straszliwie przelekiły, kiedy o godzinie jedenastej wieczorem zadzwonił telefon. Lila podniosła słuchawkę, w której rozległ się nieznajomy męski głos:

— Czy to Irina Pawłowna?

— Nie ma jej, jeszcze pracuje, będzie w domu za godzinę.

Po pewnym czasie telefon znowu zadzwonił. Ten sam głos zapytał, czy Irina Pawłowna przedko wróci.

— Nie wiem. A kto pyta?

— Tu NKWD. To ja zadzwonię jeszcze raz.

— Rece mi opadły — opowiadała Lila. — Po co w nocy dzwonią do matki z NKWD?

Pełna niepokoju czekała na powrót matki. Nie zdążyła jeszcze Irina Pawłowna wejść do pokoju, kiedy znowu zadzwonił telefon.

— Ojej, to znowu on! — powiedziała Lila.

Irina Pawłowna szybko podniosła słuchawkę.

— Tak, to ja, Irina Pawłowna. Kto mówi?

— Mówi sędzia śledczy NKWD. Proszę mi powiedzieć, czy była u was ostatnio Nina Aleksandrowna Gorbatowa? Czy nie została u was rzeczy swojego męża?

— Była, ale nie nie została — odpowiedziała odruchowo, zupełnie się nie zastanawiając, Irina Pawłowna i opadła na krzesło. Śledczy poczekał chwilę i rzekł:

— Ach tak. Wic nie... Szkoda... No to do widzenia. — Dopiero potem Irina Pawłowna opamiętała się:

— Jakże mogłam powiedzieć „nie nie została”, kiedy wisi u nas od dawna mundur Aleksandra Wasiliewicza? Co ja narobiłam!

Kiedy tak siedziała i zastanawiała się, co ma teraz robić, znowu zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała ten sam głos:

— Irina Pawłowna! Pewnie nie zrozumieście mnie. Chodzi o to, że tej nocy zwalniamy Gorbatowa. Ale on nie ma odpowiedniego ubrania. Czy żona nie zostawiła dla niego jakiegos munduru?

— Tak, tak, zostawiła! — radośnie wykrzyknęła Irina Pawłowna.

C.D.N.

Tłumaczył:
STEFAN KLONOWSKI

Można by zacząć tak: „W tobie czerwca 1971 roku polski statek „Dolny Śląsk”, handlowiec o wyporności sześć tysięcy ton, wpłynął do portu włoskiego La Spezia. Na jego pokładzie znajdowało się dwunastu pasażerów, wśród nich wysoki, szczupły, czarnowłosy młody człowiek o pochmurnej twarzy, poeta, o nazwisku Jan Duch...”

Można by też zacząć tak: „Prasa i agencje zachodnie podają, że pisarz Jan Duch zwrócił się do władz belgijskich o udzielenie mu prawa azylu. Jan Duch znajdował się ostatnio w podróży morskiej w rejonie Morza Śródziemnego, dokąd udał się wraz z żoną. W drodze powrotnej podjął tę kompromitującą go decyzję...”

Te ostatnie wiadomości przedrukowały wszystkie polskie gazety, pod wyeksponowanym tłustym drukiem tytułem: „Jan Duch zdradził Polskę”.

Jan Duch wcale nie uważa, że kogokolwiek, czy cokolwiek zdradził. W okresie, w którym dzieje się akcja tej reporterskiej opowieści, śledził na bliską łosy Ducha z zainteresowaniem, tak samo, jak losy kilkunastu osób, oczekujących azylu w stolicy Belgii. Bezwzględny Jan Duch! Kilka dni temu rozmawiałem z nim w Warszawie, dokąd przyjechał z Kanady, po siedemnastoletniej nieobecności w kraju — ten człowiek zmienił się znacznie na niekorzyść, wcale nie odczuwa wyrzutów sumienia z powodu tak długiej absencji. Kraj w tym czasie przeszedł wiele wstrząsów i konwulsji, fale zwycięstw, klęsk, rozczarowań i nawróceń, przytłoczyły społeczeństwo, a Duch, że pozwolę sobie użyć jego własnych słów, ma to wszystko w dupie.

— Zawsze chciałem być gdzie indziej, niż tam, gdzie się aktualnie znajdowałem — powiedział mi Duch. — Chęć ta ogarniała mnie szczególnie silnie w pewnych okresach mojego życia, na przykład podczas pracy w kopalni, do której skierowano mnie wbrew mojej woli, albo podczas siedzenia w więzieniu, z którego wypuszczano mnie po kilku miesiącach z wyrokiem „nielewnością”. Natężenie tego pragnienia było tak wielkie, że rozciągało się na inne okresy życia. Nie tylko pragnąłem zmienić miejsce pobytu, ale i wyobrażenie o sobie, dotąd odczytywane z oczu bliźnich. Żeby skutecznie to wyobrażenie o sobie zmienić, trzeba zmienić zestaw bliźnich, co też w końcu uczyniłem.

Wybaczyć poeci Duchowi jego zachowanie normy moralne. Bliźnich nie powinno się zmieniać. Zon nie powinno się zmieniać. Samochodów nie powinno się zmieniać. Mieszkań nie powinno się zmieniać. Poglądów nie powinno się zmieniać. Niczego nie powinno się zmieniać. Wszystko powinno być tak, jak było w dniu, w którym urodził się...

— Potwór — odpowiada Jan Duch. I nie wiem, czy ma na myśli Filofofa, Chrystusa, czy siebie samego.

Zszedł ze statku i słoneczna ulica poszła do miasta. Słońce odbyskiwało oślepiająco od kawałków szkła w żwirze alejki, od gładkich kamyczków. Co kilkanaście kroków palma. Duch już widział palmy, ponieważ spędził jakiś czas w Afryce, ale tamte palmy nie były na serio, były to palmy turystyczne, jakby pocztówkowe — natomiast te były palmami z krwi i kości, samo życie, na zawsze. „Moje palmy domowe”, pomyślał Duch i zrobiło mu się żal kłoniów, ale dalej obok przystanku autobusowego zobaczył kłony i zrobiło mu się nieco różnie.

Jako obywatel polski Jan Duch miał prawo legalnie wywieźć za granicę pięć dolarów, wydano mu je w banku i zaznaczono ten fakt dla potomności w paszporcie, żeby na każdej granicy świata strażnik i celnik wiedział, że Polak ten z pustymi reklamami nie przychodzi. Jednakże Duch, będąc Polakiem prawdziwym, ponadlegalnym, miał przy sobie 300 procent więcej tej obcej waluty, o czym nie wiedział nikt, oprócz kobiety, która się w jego przytomności znajdowała. Należał od razu wyjaśnić, że kobieta owa również posiadała legalnie pięć dolarów, ale nie poza tym.

Decydując się na wyjazd z Polski na stałe Jan Duch nie był więc sam, nie czekały go

męki samotności w obcym, wroгим, kapitalistycznym świecie. Ale tylko pozornie.

Stali więc na przystanku oboje, czekając na nieznanego autobusu, jadącego w nieznanym kierunku ku nieznanym przyszłości. Minęło pół godziny, autobus nie nadjeżdżał. Po drugiej stronie ulicy, za gęstą rosnącymi palmami, zamieszanie. Ktoś się chowa, ktoś się wychyla, znów chowa. Ducha percepcja rzeczywistości jest mocno ograniczona z powodu kaca, nabytego drogą pływającą całą noc z kapitanem. To był nowy kapitan statku „Dolny Śląsk”, poprzedni zszedł w La Spezia w minionym rejsie. Nowy kapitan, Andrzej, nie wierzył w zapewnienie Ducha, iż ten zamierza udać się do Rzymu wyłącznie z zamiarem sprzedania pięciu aparatów „Zorka”, które zekomo posiadał. Nie wierzył i życzył powodzenia w każdym przedsięwzięciu, jakiegokolwiek by ono było. Duchowi wydawało się, że już w dobrze pijanym widzie, że kapitan Andrzej co chwila puszcza do niego oko. Dlatego, kiedy rano przyszło do

Georgia — była kobietą ostrą, gotową na wszystko i do wszystkiego zdolną. Gdyby nie jej nalegania, Jan Duch, mimo pragnień wyrażonych powyżej, prawdopodobnie nigdy by się na wyjazd nie zdecydował. Ale czego się nie robi dla przyjaciela? Bo nie dla miłości przecież. Miłość Ducha do Georgii wygasła już kilka lat przedtem, zostało coś w rodzaju kumpelstwa, które do pewnego stopnia trwa do dziś. Według dokumentów Georgia była wciąż żoną Ducha, żoną numer trzy, choć w rzeczywistości mieli już od dawna osobne życie. Jednak Georgia bała się sama opuścić kraj, taka mocna to znów nie była ta rodaczka Stalina.

Duch kultywował wówczas nawyk używania napojów o wysokiej zawartości alkoholu. To była jego słabość, ale i jedna z niewielu przyjemności, ponieważ generalnie był znudzony życiem i na niczym mu nie zależało. Nawet na pieniądze, których miał pod dostatkiem, a kobiety przychodziły same, jak sarny w zimie.

dania słów. Mówili do niej po włosku, sądząc, że ona zarzuca z tym angielskim, którego nie rozumieli. W końcu zawołali starszego, eleganckiego faceta — rękawiczkę ubranego w jasnobłękitny garnitur, krawat, mankiety i spinki jak na pokazie mody — tytułowali go Dottore. Niby doktor jakichś tam nauk, co drugi u niego doktor, ale i ten angielskiego nie poniał.

— We would like to... — powtarzała Georgia.

Kiwali głowami zastanawiając się, kto tu może znać ten cholerny angielski. Wreszcie sekretarka przypomniała sobie coś, wybiegła i przyprowadziła sprzątaczkę. Stary, nie ogolony, w szmatkowanym kombinezonie, wsparł się na miotle, owiązanej na dole szmatą, widząc ścierał na mokro.

— Siur aj spik inglisz, maj brader amerikano — powiedział, zdając sobie sprawę ze swojej wyższości nad tymi wszystkimi waśniakami. Trzeba jednak jego angielski pisać fonetycznie, bo taki był.

— Mi torlin in Niujork, tri jers, konstrakszen...

Posadzili Ducha ostrożnie na krzesło, Georgię obok, przyniesli kawy, wykonywali telefon za telefonem, mówiąc szybko i dźwięcznie. Popatrzyli na klientów, uśmiechając się do nich coraz przyjaźniej, przyzwyczajali się.

Tymczasem w korytarzu rozległ się hałas, szuranie, odgłosy przepychanki wpadały do pokoju. Wreszcie drzwi otworzyły się, wszedł policjant i tłumaczył coś swemu Dottore, próbując jednocześnie rozłożonymi ramionami powstrzymać za sobą napierającą ciżbę.

— Azilo polityko! Azilo, prosimy, viva Polonia, my chcemy tu zostać, proszę pana si-niora! Viva Italia!

Gęby rozgrzane emocją i upałem po jeździe autobusem, który musiał pewnie okrążyć wpełni całe miasto, nim tu dotarli — gęby coraz głębiej w pokój, i nagle cisza.

Zobaczyli Ducha. Zamarli. W tył zwrócił. Biegiem na korytarz, tupot polskiego obuwia. Policjant za nimi, Dottore za nimi. Szukuje się wielka rzecz, cała grupa szuka tego „azylu”, będzie artykuł w gazecie, może telewizja nakreśli, Dottore chętnie udzieli wywiadu, wygląda na takiego. Więc trzeba ich złapać, żeby się nie rozmyśli. Czemu uciekają? Ba, gdyby wiedział, że Polacy wciąż boją się duchów! I że jedni dla drugich są duchami, a nie żywymi, przyjaznymi ludźmi!

Hałas na korytarzu blisko schodów, bełkot dwustronny, dwustronnie, rzecz jasna, niezrozumiały.

Duch się zrywa, boli go głupota rodaków, chce im pomóc iść do grupy, ta zamiera w gestach, wyrażających to, co może być wyrażone w takiej sytuacji.

— Dzień dobry — mówi Duch — nie boicie się, ja też spierdalam. Oni już wiedzą, o co chodzi.

Jeszcze kilka sekund niewiary. Wreszcie jedna, taka młodsza z prowincji, która chętnie by Duchowi dała, gdyby nie obecność Georgii, odzywa się z niepewnym uśmiechem:

— Naprawdę? Panie Jasiu, my jesteśmy myśliwi... Bo o panu mówiono...

— Cicho, Stefcia, jeszcze nie wiadomo, czy on zostaje. I w jakim celu — skracają go technicy elektrycy, którzy dziesięć lat później będzie miał firmę w Toronto o milionowych zyskach.

— Panie Duchu, my się przyznamy.

— A proszę bardzo — mówi Duch i prowadzi tych wycieczkowiczów za sobą do pokoju Dottore. Razem sześć osób. I on i Georgia, to osiem. Jeszcze cztery. Może cztery wrócić do Polski. Nie. Wrócić dwie. Młoda para małżeńska, której się jeszcze nie oplotało, potem spotkałem tych ludzi w Paryżu, w sklepie porno, trzy lata później. Już tam mieszkali, ale krótko, więc rajcowało i jeszcze zwiedzanie zakamarków Paryża.

Co ja robiłem w sklepie porno, po kilku latach pobytu na Zachodzie? Byłem w Paryżu z pewnym przemysłowcem narkotyków, który zamówił u mnie książkę o sobie, znakomicie płacił, byłem także jego szoferem i powiernikiem, prowadziłem jego trzy wozy sportowe, Porsche 911 S, Jaguara E-Type, Datsuma 240 Z, a także Lancię Fulvia i Triumphę 2500 PI, podróżowaliśmy do Algierii, Maroka, Tunisu, Hiszpanii, do Szwajcarii i Niemiec, do Belgii i Holandii, do wielu krajów i miast. W ciągu roku ten dwudziestotrzyletni facet zarobił pięć milionów dolarów, pracując sam, w końcu związał się z Szwajcarią, dostał pięć lat, forę wybrano z sejfów, musiał po osiedzeniu kary zaczynać od początku, jego losy opisałem po części w książce „Stopa lkanra”, która wkrótce wyjdzie nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

— Dość tego kretyństwa! Kretino! Azilo polityko! Verste-hen? Azilo polityko!

Wyjął z kieszeni polski paszport, rzucił na stół i krzyknął, przywołując na pamięć wszystkie znane mu włoskie i włoskopodobne słowa.

— No Polonia! No bene Polonia! Bene Italia! Azilo politico! Emigrante, capisco? America! Polonia, sabaka? Jobany! to rot... — zakończył po rosyjsku.

Wystąpienie Ducha poruszyło nowe, dotąd nie eksploatowane pokłady inteligencji w umyśle Dottore i reszty obecnych.

— Si, si, bene, szile politico, naturalmente...

— Ale jak to się używa?

— A na co ci wiedzieć?

Wracam się wtedy najuprzejmiej, jak tylko potrafie.

— Państwo pozwól, że wyjaśnię, ponieważ przypadkiem przypomniałem sobie niedawno użytkownikom tego przyrządu...

Gęby otwarte, czerwone, wstydzą się swojej rozmowy. Wyjaśniam, że jest to przyrząd elektryczny, zasilany z sieci, jak również może być używany w podróży, na baterie, można również podłączyć go do akumulatora samochodowego. Jest to przyrząd służący penetracji analno-genitalno-oralnej, wszystkie jednocześnie, czekaj, gdy się dobrze podłączy wygląda jak nurek głębinowy, albo Marsjanin, ale za to temperatura i częstotliwość drgań potrafią doprowadzić najbardziej opornego do amoku, szczególnym powodzeniem cieszy się ta rzecz u Skandynawów... Witus słucha, niewiara maluje się na jego swojskiej gębie, w końcu woła:

— Panie Brycht, przecież my się znamy! Pan ze statku nawiał, gdy myz Anią w podróży posłubnej... Mówił, że pan u Niemców mieszka, chociaż pan tak tych Niemców w „Raportie z Monachium” obmalował, nawet rozszły się pogłoski, że pan musiał być Żyd, żeby u Niemców zamieszkać.

Uspokajam Witusia, że nie jestem Żydem i że nie mieszkam u Niemców, mieszkam na świecie, czyli u siebie.

— A co z tym poetą, tym Jasiem Duchem? — pyta Ania, trochę nieswoja, jakby się wstydzila o tego poetę pytać, i Witus spogląda na nią badawczo, podejrliwie.

— Znał, siedzi w Kanadzie, pracuje na ciężarówce.

— Na ciężarówce? Poeta?!

— Oni tam mają swoich poetów, na co im Duch?

Wracamy do La Spezia.

Sześciu nowych amatorów azylu rzuciło swoje paszporty na stół. Kilku nowych urzędników włoskich się zjawilo, wtedy wreszcie znaleziono kogoś, kto znał i polski, i włoski. Ale Dottore, dowiedziawszy się, że Jan Duch jest znanym (w pewnych kręgach) poetą polskim, i w ogóle pisarzem („Noto scrittore Polaco chiede azilo in La Spezia!”), zaczął się już wyłączać i jego towarzysza.

Wyszedł w trójkę z budynku policji, wszedł w służbową Alfę i Dottore powiedział ich na pozycję, skąd Jan Duch nadał dwa telegramy — jeden do paryskiej „Kultury”, drugi do Rozgłośni Polskiego Radia Free Europe, czyli do Wolnej Europy, jak to się zwykło w skrócie nazywać. Informował nie znanych mu ludzi, że oto wybiera wolność, prosi o kontakt i przede wszystkim o jakieś pieniądze, bo jest zupełnie boski. Podał adres hotelu, do którego Dottore zamierzał ich zawieźć. Całą forszę zjadły te telegramy. Dottore przy pożegnaniu w małym lobby „Albergo Corallo” podał ręce Duchowi i wcisnął w nią pięć tysięcy lirów, które starczyły na jeden obiad.

Tymczasem „grupa sześciu” otrzymała bilety i skierowania do obozu uchodźców w Latynie. Dwa dni później jeszcze dwoje ludzi ze statku „Dolny Śląsk” zdecydowało się poprosić o azyl, ale ci mieli więcej pieniędzy, kupili sobie bilety do Rzymu, pojechali tam i załatwienie skierowania do Latiny poszło automatycznie — Rzym miał już biegłość w załatwianiu chętnych, to nie to, co senna La Spezia, położona w cieniu słynnej Genui. Nie na darmo się mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu — rzecz w tym, że trzeba mieć forszę na bilet.

„Jan Duch zdradził Polskę”



Rys. Janusz Szymański-Glano

opuszczenia statku, a wachę przy trapię pełnił nie dwaj, tylko czterej rośli marynarze. Duch zaniepokoił się lekko, podejrzewając, że kompan od „Johnny Walkera” kazał go zamknąć przy próbie zejścia na ląd. Tak, kapitan ma prawo aresztować pasażera i zamknąć go w komorze kotwicznej, i dostawić go, dobrze zakonserwowanego smarami, do portu macierzystego. Toteż Duch oddał towarzysze swoją torbę podróżną, kazał jej iść przedem, bo przecież i ja też starałabym się zatrzymać. Wówczas, korzystając z zamieszania, Duch potrafił, mimo kaca, znokautować czterech rygusów i wydostać się z kobietą na biały beton kei. Sądząc po jego doświadczeniach w walkach ringowych i ulicznych, jego zamiary nie były pozbawione szans. Obyło się jednak bez rękoczynów, oboje zeszli na ląd, pokiwali do wachmanów i oboje nie odeszli.

A teraz te podchody w grupie palm po drugiej stronie ulicy. Marynarze? Kapitan z pomocnikami? Przedstawiciele polskiego kontrwywiadu na miasteczku La Spezia i okolicy? Znajome gęby dały się jednak uchwylić zmetniała soczewka Jana Ducha. To byli pasażerowie „Dolnego Śląska”, kilka osób spośród tych dziesięciu, co pozostali na statku. Oni też szli do przystanku, ale bali się stanąć pod słupkiem, ponieważ Duch z Georgią już tam stali.

— Boją się nas — powiedziała Georgia — głupie skurczyśny. A może tylko nas bledzą.

I nie bał się niczego, oprócz śmierci. Bał się śmierci w Warszawie, bo śmierć w Wenecji skłonna był zaakceptować. Mimo to nie bardzo palił się do wyjazdu, kiedyś nawet po pijanemu podał paszport — ale to nie nie dało, bo Georgia na drugi dzień wyjaśniła w urzędzie, że podczas wizyty u znajomych dzieci wraz z psem doprowadziły paszport do ruin, i wydano nowy.

Przyjeżdżała taksówka. Georgia wykonała międzynarodowy gest, wsiadł.

— Policja — powiedziała Georgia po włosku.

Duch obejrzał się po raz ostatni, zobaczył zarys polskiego statku, na którym zostali jego dwie doskonałe, skórzane walizy. Na przystanek podjechał autobus. Polacy wybiegli z kępy zieleni, rzucili się jak szaleńcy do pojazdu.

Dziesięć dolarów kosztował kurs do śródmieścia, gdzie mieszkała się komenda policji. Wszedł do chłodnego wnętrza, spokojnego, zaciśniętego, ani jednej pijanej bladej, ani jednego podżerzanego złodziejachy. Spokojne miasteczko.

— We would like to get political asylum — powiedziała Georgia, przydając się po raz pierwszy. Znała trochę angielski, choć nie za bardzo. Ale dobry i ryd.

Po kół trzech urzędników słuchało z uwagą słów tej obcej, wyglądającej jak stuprocentowa Włoszka, kobiety. Cera śniada, czarne oczy, włosy długie do pasa, o kolorze głębokiego granatu, żywa gestykulacja, szybki sposób wypowia-

nia. Znaczą, ma brata w Ameryce, pracował przez trzy lata w Nowym Jorku na budowie. Ale na tym jego znajomość angielskiego praktycznie się kończyła.

— Powiedz mu, niech zadzwoni do „Kultury” w Paryżu — powiedział Duch do Georgii.

Jan Duch był autorem trzech tomików poezji, z których jeden nie tak dawno został omówiony w „Kulturze” paryskiej, i to omówiony pozytywnie, nawet przedstawiony do jakiejś nagrody emigracyjnej fundacji. Duch wychodził z założenia, że „Kultura” udzieli mu pomocy w tej idiotycznej sytuacji. Możliwe nawet, że redaktor Giedroyc zna włoski — to by załatwiło sprawę. Oczywiście, że Giedroyc znał włoski, ale o tym dowiedział się Duch później. Teraz podał numer telefonu „Kultury”, dzwonił do Paryża kilkanaście razy, i ciągle odpowiadał z tą samą, że takiego numeru nie ma. Na kacu bowiem Duch zapomnieli, że numer należy do miejscowości Maisons-Laffitte, gdzie „Kultura” się mieści, a nie do Paryża. Ale ponieważ wszyscy mówili: „Kultura paryska”, to przecież jasne...

Bolała go głowa, chciał wody, chciał spać, a także do kibla, wszystko naraz.

— Chodź — powiedział do Georgii — wypierdelamy stąd. Mam ochotę na obiad w Spatiffie.

— Ja zostaje — powiedziała ze wściekłym błyskiem w oku. Wiedział, że nie wróciłaby z nim. Już była po tej stronie, już nie jej nie zawróci.

Dottore w końcu przejął inicjatywę. Mówił coś długo do sprzątaczkę, z naciskiem. I sprzątaacz powoli wyjaśnił sprawę Georgii. Kiedy skończył, Georgia w kumpelnym poplochu, pomieszany z desperacją, zwróciła się do Jana:

— Mówiła, że jeżeli chcemy dostać się na kongres kultury w Paryżu i brak nam pieniędzy na pociąg, to powinniśmy zwrócić się do ambasady polskiej w Rzymie, która udzieli nam pomocy. Gotowi są zaraz zadzwonić do polskiego konsula.

Wściekłość ogarnęła Jana Ducha. Zerwał się z krzesła. Oburzenie na tych idiotów rozrywało mu pierś. Winał pięścią w stół z całej siły. I ryknął:

— Dość tego kretyństwa! Kretino! Azilo politico! Verste-hen? Azilo politico!

Wyjął z kieszeni polski paszport, rzucił na stół i krzyknął, przywołując na pamięć wszystkie znane mu włoskie i włoskopodobne słowa.

— No Polonia! No bene Polonia! Bene Italia! Azilo politico! Emigrante, capisco? America! Polonia, sabaka? Jobany! to rot... — zakończył po rosyjsku.

Wystąpienie Ducha poruszyło nowe, dotąd nie eksploatowane pokłady inteligencji w umyśle Dottore i reszty obecnych.

— Si, si, bene, szile politico, naturalmente...

Sam Peckinpah miał zawsze opinię człowieka gwałtownego. Wyglądał jak sam jego wygląd: potężny mężczyzna o indyjskich rysach twarzy i długich, ciemnych włosach. Coraz bardziej sławę przynosiły mu filmy: twierdził, że tak jak jego filmy, nie ma lat temu Telewizja Polska pokazała „Nędzne psy”, w których sceny gwałtów i zabójstw zajmują co najmniej połowę metrażu, a druga połowa bezpośrednio je zapowiada. Jeszcze niedługo przed śmiercią reżyser poturbował na jednym z lotnisk poligonu o czym skądś widać doniosły prawie wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Niby wszystko jasne. Chociaż niezupełnie: kinomani dobrze pamiętają, że przykład okrutnej, łagodnej i pełnej sił filmowej „Ballady o Cable Hodge’u” Czysto było dwóch Peckinpahów? Oczywiście każdy artysta ma prawo robić różne rzeczy i wcale nie musi się one

wie, którzy upierali się, że całe nasze życie to nie innego, tylko rodzaj snu, a prawdziwe oblicze rzeczywistości wymyka się nam dokładnie tak samo, jak piękna dziewczyna płożona natrętnym dzwonieniem budzika. Mimo tak plastycznie wskazywanych analogii, znakomita większość trzech wchodzących ludzi nigdy nie takim poглядem specjalnie nie przeleciała. Zrobili to natomiast chętnie artyści: czerpiąc ze snów inspirację, zapożyczając poetyckie sceny, albo wręcz konstruując z nich całe dzieła. Wynalezienie filmu nawiązującego do praktyki: wywołany światła fantom był tak podobny — można by rzec ontologicznie — do snu, że film wydawał się na senna poetykę skazany, nawet kiedy rejestrował tylko o-taczający świat.

Nie wszyscy uznali wprawdzie ten stan rzeczy, watek senny u-

hotelu prostytutka i butelka tequila zaczyna swoją peregrynację. Wiedzie ona przez meksykańską prowincję; najbardziej przypomina najęte sen okolice na świecie. Hotelki, przy których dom noclegowy w Kulinie jest szczytem luksusu, stale unoszący się z ziemi, tamujący oddech, pokrywający ciało i ubranie coraz grubszym nalożem kurz, tworzący z potem gęstą maź, upał, który można krajać nożem, knajpy jak z delirycznej wizji, cmentarze jak domy i domy jak cmentarze...

Szybko okazuje się, że poszukiwany zginął przypadkowo, sprawy to jednak nie zamyka — chodzi przecież wyłącznie o jego głowę. I nasz bohater zdobywa ją w końcu po upiornym scenie rozkopywania grobu, w której ginie jego towarzysza. Od tego momentu sen staje się jeszcze głębszy, jeszcze dalszy od rzeczywistości.

Do rozgrywki wtrąca się miejscowi, oburzeni bezczeszczeniem mogiły. Ale w rozstrzygającej strzelaninie gina, razem zresztą z depczącymi głównemu protagonistę po piętach gangsterami. Z masakry wychodzi cało tylko przerażony starszy, bohater i obłożona muchami, gnijąca głowa. Już dawno przestała ona być środkiem do zdobycia fortuny. Zmieniła się w coś zupełnie innego, trudno jednak — jak to we śnie — powiedzieć w co właściwie. Może we wszystkich tych ludzi, którzy przez nią zginęli, może w zaprzeczona miłość. Równocześnie nasz bohater przestał działać jak młoty rzeźmieści: coraz bardziej wymięty i brudny, nasłaniany jak gąsienica alkoholem, przeżarty granie osłupienia, urósł do rangi jakiegoś plugawego alter ego hezosa antycznej tragedii, zaczął walczyć z losem, próbując przekonać do końca jego wyroki...

Czy dowiezie głowę do tego, kto ją zamówił? Czy zainkasuje całą nagrodę? Nie są to wprawdzie pytania najważniejsze — przecież to tylko sen — i znacznie istotniejsze wydaje się nie znaleźć po przebudzeniu gnijącej głowy pod kołdrą. Choć jednak, mimo wszystko, ciekaw jest odpowiedź: niech obelży film Sama Peckinpaha „Przyniescie mi głowę Alfreda Garcii”.

RYSZARD NAKONIECZNY

„PRZYNIESIE MI GŁOWE ALFREDA GARCII” — sen. Gordon Dawson i Sam Peckinpah, zdj. Alex Phillips, muz. Jerry Fielding, reż. Sam Peckinpah, aktorzy: Warren Oates, Isela Vega, Kris Kristoferson, 1974.

„Zamkną za sobą drzwi”, film Krzysztofa Szmagiera, stanowi jeden z odcinków ostatniej, piątej serii „07 — zgłoś się”, skierowany po raz pierwszy na ekran kin. Tym razem jednak bohaterem jest pracownik Interpolu z Nowego Jorku, który po przejściu na emeryturę, ciężko chory przyjeżdża do Polski, by umrzeć w kraju przodków. Tuż, dokonując ostatecznego rozrachunku z gangsterami — sprawcami jego osobistych tragicznych przeżyć — styka się z porucznikiem Borewiczem (Bronisław Ciesiak). Dramatyczną rolę b. pracownika Interpolu kreuje Piotr Fronczewski.

szących MFF w Cannes „Film Polski” zarobił ok. 350 tys. dol. za dzieła polskich twórców, zaś na tegorocznych — 450 tys. dol., w czym nie mały udział miał fakt zakwalifikowania do głównego konkursu „Krótkiego filmu o zabijaniu” Krzysztofa Kieślowskiego, a następnie przyznanie mu dwóch nagród — nagrody jury i FIPRESCI. „Znawcy” utrzymują, że ta nagroda, mająca znaczenie prestiżowe, dla handlu nie jest szczególną rekomendacją, bowiem gusty krytyki i publiczności najczęściej nie idą w parze.

Nic dziwnego. Tylko pytanie: kto tu jeszcze zachował zdrowy rozsądek? Od 10 już lat trwa we Francji odpych widów z kin. W rub. liczba widów zmniejszyła się o 19 proc. Przyczyną upadku jest w dużej mierze filmowa telewizja (1288 filmów fabularnych w ciągu roku) oraz wzrost aparatury wideo (4,5 mln magnetowidów, przystosowanych — 17 proc.).

Jednym z nielicznych krajów, w którym wzrasta frekwencja w kinach jest RFN. Wpływy kasowe z I kwartału wzrosły — w porównaniu z r.ub. — o 27 proc.

M. B.

MISTRZOWIE: PECKINPAH

Sen z uciętą głową

zgadzać z etykietką przypiętą mu przez widzów czy krytyków. Z drugiej jednak strony, zwłaszcza w wypadku artysty dużego formatu, u źródła tej różnorodności tkwi na ogół coś wspólnego, choćby dlań, że wyszła ona spod ręki jednego człowieka. A filmu dotyczy to w szczególności, tu bowiem, jak chyba nikt nie indziej, uławną się osobowość twórcy, nawet gdyby ten chciał ją wszelkimi sposobami ukryć. Nie na darmo wielu wybitnych ludzi kina twierdziło, że podczas realizacji filmu takma przechodzi nie tylko przez kamerę, ale i wewnątrz reżysera i tam się również eksponuje, służąc potem jako swoiste zdjęcie rentgenowskie. Jaka diagnoza można by zatem postawić patrząc na kompletnie rentgenogramy Peckinpaha? Jaka cecha szczególna jest u nich w „wszystkich” widoczną? Czy o choroba go gryzła? Czy w ogóle coś takiego da się odkryć? Otóż tak: jest to sen.

O śnie napisano tyle, że można by z tego bez trudu skompletować całą bibliotekę. A już inwencja Freuda w poszukiwaniu sennych symboli erotycznych wgląda wręcz imponująco. Jedno jednak jest pewne: marzenia senna (a nie tylko sen w sensie fizjologicznym) są człowiekowi niezbędne do życia na jawie. Byli nawet filozofo-

trzymał się jednak w kinie do dziś i kto wie czy on właśnie nie należał do najbardziej wartościowych. Historie, które opowiadał, nie zawsze są do końca przejrzyste, trudno w nich o łatwe uogólnienia, ale za to wzbudza niepokój i proponują wyjątkowo silny ładunek emocjonalny — jeszcze parę lat później mogą wywołać ciarki. „Bo pogrążyć w nostalgiczny nastrój. Czy kino może odnieść większy sukces?”

Oto na przykład jedna z tych historii: Młoda dziewczyna, córka wielkiego meksykańskiego potentata, zachodzi w ciążę. Ociecie stołując okrutne śledztwo, połączone z poniżającymi torturami, wydobyla od niej nazwisko kochanka. Okazuje się nim jeden z jego pracowników, który, oczywiście, tymczasem zniknął bez wieści. Demoniczny tatuaż wyznacza więc wskazanie nagrody za jego głowę — reszta go nie interesuje. Cała sprawa bierze w ręce grona gangsterów, która zakłada bazę w najdroższym hotelu stolicy Meksyku, „Camino Real”. Widać nie bardzo chce im się jednak prowadzić żmudne poszukiwania, wynajmują bowiem podrzędnego rzemieślnika, obciążając mu jedną setną przyrzeczonej nagrody. Dla niego ten 1 procent jest sumą wartą zachodu; z poznana w obskurnym

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

• X Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych w Łodzi odbędzie się w październiku br. Po raz pierwszy o Grand Prix ubiegać się będą obok filmów krótkometrażowych, pełnometrażowe filmy fabularne zrealizowane w ostatnich dwóch latach. Organizatorzy festiwalu przygotowują także w ramach imprez towarzyszących — przegląd filmów z krajów socjalistycznych.

• W pięciu miejscowościach nadmorskich (Miedzyzdrojach, Pobierowie, Niechorzu, Mrzeżynie i Dziwnowie) oddano w użycie kina na okres letni. Agencja opłacając personel, pokrywając część kosztów eksploatacji obiektów, zaś instytucje rozporządzające filmami zapewniają filmy i utrzymanie budynków. Pierwsze co uczyniły agencje to... zmniejszyły personel i zabrali się do reklam.

• W stolicy Uzbekistanu odbył się X Międzynarodowy Festiwal Filmowy Krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Na festiwalu reprezentowane były kinematografie ponad stu krajów, zaś gośćmi tej wielkiej imprezy byli filmowcy europejscy i amerykańscy oraz przedstawiciele ONZ, UNESCO i innych organizacji międzynarodowych.

• W czasie ubiegłorocznych targów towarzy-

JESZCZE RAZ: CZY POTRZEBA?

W tygodniku waszym nr 18 i nr 23 z br. dwukrotnie padło moje nazwisko. Choć w numerze 23 nie podano mojego imienia — myślę, że chodzi o moją osobę. I tylko to, skłania mnie do zabrania głosu. (...)

W numerze 23 „Odgłosów” z 4 czerwca 1988 r. na stronie 13 przeczytałem krótki artykuł pt. „Czy potrzeba?”, podpisany przez Aleksandra Pytkę. Autor pisał, że bo dość często można spotkać jego podpis w waszym (i w innych też) tygodniku. W artykule tym Aleksander Pytkę pisał:

„Z mieszanym uczuciem przeczytałem na łamach Odgłosów nr 18 z 30 kwietnia 1988 roku, jak to p.p. Kozak i Zajackowski na ruinach cmentarza żydowskiego na Brackiej, budują pomnik członkom ruchu oporu”.

Sięgnąłem więc po ów nr 18 „Odgłosów”, przeczytałem go „od deski do deski” (gdyż A. Pytkę nie podał tytułu artykułu) i nigdzie nie znalazłem powyższego zdania ani nawet wzmianki, że: jacyś „p.p. K. i Z. na ruinach na Brackiej budują pomnik itp.” (...)

Nie ma artykułu więc i nie ma o czym dyskusować. Ale skoro autora nurtuje „mieszane uczucie” i pyta „czy warto?”, to w temacie, który podejmuje, decydują wyłącznie od tego powołane urzędy państwowe, związki i organizacje, a takimi w tym przypadku są: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi, Urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Społeczny Komitet Ochrony Pomników i Miejsc Pamięci Narodowej w Łodzi, Społeczny Komitet Opiekę nad Cmentarzem Żydowskim w Łodzi, Zarząd Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Łodzi, Komisja Historyczna przy Komendzie Chorągwi ZHP w Łodzi, Zarząd Środowiska b. Szarych Szeregów i Kombatanów przy ZBoWiD w Łodzi. Tam też po odpowiedzi należałoby skierować autora notatki pt. „Czy potrzeba?” Sprawa poruszona przez autora jest zbyt poważna, aby o tym mieli decydować Czytelnicy „Odgłosów” czy panowie K. lub Z.

I na tym można by zakończyć odpowiedź na pytanie „Czy potrzeba?”. Wydaje się jednak, że należy się Czytelnikowi kilka wyjaśnień. (...)

1. Cmentarz żydowski przy ulicy Brackiej 40 w Łodzi, obejmujący olbrzymi obszar 42 hektarów. Użył więc takich zwrotów jak: „rozstrzelany tu” (gdzie?) „z tego miejsca” (z którego?), „spoczywa tu ponad...” itp. jest bardzo mełne, ogólnikowe i nie mówiące. Autor nigdzie nie precyzuje o jakie miejsce ma chodzić.

2. Twierdzenie, że „z tego miejsca w 1976 roku ekshumowano wszystkich (?) rozstrzelanych tu bojowników” itd., wprowadza Czytelnika w błąd, jest gołosłowne i niczym nie udokumentowane. Z jakiego miejsca? — autor nie podaje. A czy wszystkich? Na jakiej podstawie wie o tym autor, skoro żadna z wymienionych powyżej instytucji nie posiada wiarygodnych dokumentów, dotyczących liczby ofiar straconych i pogrzebanych na rozległym terenie cmentarza żydowskiego? Czy autor był przy ekshumacji? Czy posiada może protokół komisji ekshumacyjnej z 1976 roku? Czy liczył ofiary?

3. Piszcie autor: „Z tego miejsca z cmentarzem wojskowym ekshumowano „prochy” wszystkich”. Nie spotkałem „ekshumacji” z cmentarzem wojskowym — tam zawsze jest prokurator, sanepid i komisja do tego powołane.

4. Dla autora: „wiele zastanawiające jest, komu jest potrzebny (?) zamysł, aby tworzyć tym samym bohaterom dwa miejsca pamięci” itd. Tym samym, to znaczy którym? Jakim? Tego autor nie podaje! Chyba że ma na myśli, iż każda ofiara stracona przez hitlerowców może być „tym samym bohaterem”? Z tym się zgodzić trzeba, gdyż śmierć zrównała wszystkich! A może: „tym samym” czyli młodocianym?

5. Powołuje się autor na epitafium na płycie nagrobnej z roku 1976, znajdującej się na cmentarzu komunalnym na Dołach mówiące, że „Tu spoczywają prochy młodocianych członków Ruchu Oporu, rozstrzelanych na cmentarzu żydowskim”.

Jeżeli ta płyta nagrobna jest tylko grobem symbolicznym poświęconym młodocianym — to wszystko w porządku. Gorzej, gdy pisze na niej, że: „Tu spoczywają młodociani”, gdyż dotychczas brak jakichkolwiek dokumentów potwierdzających zgodność tekstu „epitafium” z prawdą historyczną. (...)

6. Jedyną informacją, że na cmentarzu żydowskim rozstrzelano pięciu członków organizacji „Promienistych”, jest książka Stanisława Gajka pt. „Młodzi z garnizonu Łódź” str. 275, 276, 277 choć i tu autor nie podaje wieku ofiar. Ale chyba nie o „Promienistych” chodził Aleksander Pytkę, kiedy ubolewał nad „zamyśłem utworzenia tym samym bohaterom dwóch miejsc pamięci”? Bo przecież „Promienistych” faktycznie posiadają więcej miejsc pamięci, niż dawa. (Pomnik w Psarach, tablicę przy ulicy Piotrkowskiej, pomnik na cmentarzu Radogoszcz, park im. „Promienistych” (i głaz), ulicę Franka Proška, Harcerski Hufiec „Promienistych” na Bałutach, Izba Pamięci „Promienistych”).

7. Istnieją natomiast oryginalne i wiarygodne dowody, że w roku 1944 na cmentarzu żydowskim w Łodzi, na tak zwanej polanie śmierci w kwaterze nr J-I, J-III, w odległości około 60 m od ulicy Kaufmana i 30 m na północ od alei głównej — hitlerowcy rozstrzelali setki żołnierzy i oficerów konspiracyjnej Polski Walczącej. Wiek ofiar wynosił 30—60 lat, a więc w wieku średnim i starszym.

Są dokumenty podające ich wiek, nazwiska, stopień i funkcje wojskowe! Nazwiska kilku-nastu ofiar może znaleźć Czytelnik w tygodniku „Za Wolność i Lud” nr 16 z 16 kwietnia 1988 r. w artykule pt. „Cmentarz żydowski miejscem pamięci”.

Przemilcza całkowicie autor fakt częściowej ekshumacji ofiar jaka miała miejsce na cmentarzu żydowskim w październiku 1946 roku (z czego 32 osoby pochowano na cmentarzu Radogoszcz a 8 osób zabrały rodziny). Żadna z tych ofiar nie była młodociana!!!

Dotychczas znajdujący się na polance straceń kawałek blachy z częściowo zatartym przez

czas napisem, mówiącym o „młodocianych członkach Ruchu Oporu” — nie jest więc zgodny z prawdą historyczną i będzie w najbliższym czasie zmieniony na właściwy.

8. Na końcu swego artykułu A. Pytkę pisze: „Tłumaczenie, że pozostały tu jeszcze prochy” Zapytuję więc autora: Kto tłumaczył? Gdzie autor znalazł taki zwrot? (...)

9. Piszcie autor, że: „W każdym miejscu odnaleźć można ślady prochów, jeśli cmentarz istnieje od roku 1892”. A to nie prawda! Istnieje wiele miejsc na 42-hektarowym terenie cmentarza żydowskiego, które nie były nigdy grzebalne. Według kałotek i ksiąg będących w posiadaniu Zarządu Cmentarza Żydowskiego w Łodzi, w kwaterze straceń Polaków w latach 1939—1945 i opisanej przeze mnie powyżej, nigdy nie było pochówku Żydów i nie znajdują się tam żadne inne groby z lat międzywojennych, jak i powojennych! Istnieją natomiast dokumenty i relacje wiarygodnych świadków, że spoczywają w tej kwaterze dziesiątki lub setki ofiar hitlerizmu z okresu okupacji. Tak więc i tu autor nie ma racji.

Kończąc, wyrażam nadzieję, że będę zrozumiany właściwie, jeżeli małemu artykule poświęcę tak wiele miejsca. Ale z prawdą historyczną trzeba obchodzić się ostrożnie i z całą odpowiedzialnością!

Osobiście nie wydaje mi się właściwe, aby tak smutne dla nas Polaków sprawy zamieszczane były w rubryce: „POLEMIKI” obok takich tytułów, jak „Śmierdząca sprawa”, „Kto wyciął żywopt”, „Cwaniacy i maniaci”, „Ważne to je, co moje” itp.

Przy okazji serdecznie dziękuję Zarządowi Kongregacji Wyznania Mojżeszowego i Społecznemu Komitetowi Opiekę nad Cmentarzem Żydowskim w Łodzi, za „wysokie” (jak na harcerskie! kieszonki) nagrody w postaci gotówki, otrzymanej i zarobionej za prace ziemne i porządkowe, wykonane w 1987 roku przez młodzież harcerską i szkolną.

Z pozdrowieniem

BOLESŁAW ZAJACKOWSKI
OD REDAKCJI. List Bolesława Zajackowskiego wymaga niestety komentarza. Tym bardziej że w tej sprawie list pełen oburzenia nadesłał Mieczysław Kozak. Oto fragmenty tego listu:

„Cniabym przynajmniej w kilku zdaniach dowiedzieć się, na jakiej podstawie Redakcja wydrukowała list niejakiego Aleksandra Pytkę powołującego się na to, że z nr 18 „Odgłosów” dowiedział się o rzekomym budowaniu przeze mnie pomnika na cmentarzu żydowskim w Łodzi. Przeglądając ponownie wspomniany nr 18 nie znalazłem w nim takiej wzmianki”.

Nim odpowiem na pył le: „na jakiej zasadzie redakcja wydrukowała list niejakiego Aleksandra Pytkę”, wyjaśniam, obu naszym korespondentom, że w numerze 18 „Odgłosów” na stronie 13 znajduje się — żeby było śmieszniej — list Mieczysława Kozaka pt. „Przeszedł tędy huragan wandalizmu” — jest to tytuł reportażu Eugeniusza Iwanickiego o cmentarzu żydowskim w Łodzi, gdyż list Mieczysława Kozaka przyszedł w odpowiedzi na ten reportaż. W liście tym wspomina się o Bolesławie Zajackowskim. A więc Aleksander Pytkę nie pomylił się, reagując na ten list.

Jeśli natomiast chodzi o pytanie: „na jakiej zasadzie” — to odpowiedź jest prosta. Na takiej samej, na jakiej ukazał się list Mieczysława Kozaka i Bolesława Zajackowskiego. Kolumna „Polemiki — Listy — Opinie” przeznaczona jest dla naszych Czytelników i mają oni tam prawo prezentować poglądy, z którymi redakcja nie zawsze się zgadza. A że te poglądy i opinie są niekiedy kontrowersyjne, stąd też jest tam miejsce na polemiki.

Redakcja nie obchodzi stosunek jednych Czytelników do drugich, czy lubią się, czy też nie znoszą się wzajemnie. Staramy się na ogół kierować interesem społecznym. Nie wszystkie listy drukujemy. Do wszystkich staramy się jednak ustosunkować choćby w odpowiedziach redakcji.

Na kolumnie „Polemiki — Listy — Opinie” drukujemy listy w różnych sprawach. Staramy się naszych Czytelników traktować w jednakowy sposób. Nie widzimy powodu, aby jedne listy drukować w jednym miejscu, a inne w innym. Każde miejsce w gazecie jest dobre, jeśli tekst jest ciekawy.

REDAKTOR DYŻURNY

BYŁA TAKA ORGANIZACJA: „LEGION WYZWOLENIA”

O przynależności do grona kombatanów decydował dotychczas ZBoWiD jako jedyna monopolistyczna organizacja w tej materii. Tymczasem zdarzają się wypadki, że członkowie organizacji, które były często wymieniane w aktach gestapo, nie są uznawani za żołnierzy „Polski Walczącej”. Mam na myśli dość liczny i popularny wśród młodzieży i harcerzy łódzkiej organizację „Legion Wyzwolenia”, powstałą z końcem 1939 roku w Łodzi. Większość jej członków „gryzie ziemię” w lesie Okręglik koło Zgierza, lub używają swoimi kołami pola koło Dachau, Oświęcimia, Gross Rosen i innych obozów koncentracyjnych.

Czy nie należałoby pomyśleć o garście tych ocalałych i uznać ich wkład do walki o ojczyznę?

MIECYSŁAW KOZAK

OD REDAKCJI. Czasem ciągle jeszcze można odnieść takie wrażenie, że najlepiej mają ci, którzy nie nie robili. A wydawało się, że już pozbyliśmy się takich poglądów.

polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

WOPISCI

10 czerwca 1943 r. na granicy objął służbę żołnierz WOP. W kraju było ciężko. Spalone wsie i miasta, zniszczone przemysł, nie obsiane pola, w lasach grasujące faszystowskie bandy — ta trudna sytuacja wymagała od WOP wysiłku szczególnego. Nie jeden miesiąc, a głośnie, bez łączności, bohaterские żołnierze strażnicy spędzili w bunkrach i ziemiankach, odparając napady różnorodnych band, które ustawicznie godziły w spokój kraju i niepokój naszych granic.

Świadectwem patriotycznego poświęcenia są mogiły poległych w obronie Wólki, Olszany, Baligródu i wielu innych, a zwłaszcza śmierć obrońców strażnicy Jasieci. Karty historii WOP zapisali się bohaterstwem żołnierzy, którzy w walce ze szpiegami nie wahali się poświęcić życia dla obrony Ojczyzny. Imieniem strzelca Tadeusza Wróbla nazwano strażnicę, w której pełnił on służbę i gdzie padł od kul szpiegów, którym drogę do kraju zagroził własną pierś. Kpr Gromek, ciężko ranny w pierś, nie wypuścił szpiega. Szer. Hapunik zginął w czasie pościgu za przestępcami. Szer. Cyniak zlikwidował groźnych przestępców, a szer. Gąsiorowski — bandytę „Żelaznego”.

Podczas gdy na południowo-wschodniej granicy naszego kraju żołnierze WOP stawali krwawe boje z bandami, na pozostałych odcinkach granicy państwowej służbę pełniono już w normalnych warunkach.

Wspólnie z funkcjonariuszami SB i MO, żołnierzami WP i KBW, w trudnych warunkach, nie zawsze dostatecznie wyposażeni, rozrzućni na peryferiach kraju, żołnierze WOP aktywnie i ofiarnie walczyli o Polskę Ludową i bezpieczeństwo jej granic. Wielu z nich w tych walkach oddało swe młode życie. Na zawsze pozostaną w naszej pamięci bohaterские postacie oficerów, podoficerów i szeregowców Wojsk Ochrony Pogranicza, którzy do ostatniej chwili swego życia dzielnie walczyli z wrogami naszej Ojczyzny i naszego narodu. Ich wspaniałe czyny bojowe, świadczące o głębokim patriotyzmie i złośliwymi złościami zapisali się w historii naszych wojsk.

W czterdziestoletniej historii WOP zapisanych jest wiele pięknych kart wzajemnej współpracy i pomocy, łączących żołnierzy WOP z ludnością cywilną pogranicza. Żołnierze z zielonym otokiem pomagają w pracy przy żniwach czy likwidowaniu ugorów i zawsze służą sąsiedzką radą i pomocą. W pięknej tradycji Wojsk Ochrony Pogranicza utrwalili się pamięć o wopiscie, który uratował tonące dziecko i o wopistach, którzy wraz z psem go-dzinami szukali w pogranicznym lesie dwoje zblakanych małych dzieci — żeby je potem zmarznięte i zaplakanie oddać rodzicom z szczęściem matce.

Szczególną sympatią i popularnością cieszą się wopisci wśród dzieci i młodzieży szkolnej pogranicza. Żołnierze WOP biorą udział w zebraniach cywilnych kół ZSMP i w wieczornych szkolnych, opowiadając o znaczeniu naszej służby — pomagając w organizacji życia kulturalnego na wsi. Często też gościnnie w strażnicy są dzieci i młodzież, których żołnierze WOP zawsze serdecznie przyjmują.

Jeszcze dziś wielu mieszkańców pogranicza pamięta, że żołnierze z zielonymi otokami byli organizatorami szkół na ziemiach zachodnich i północnych w pierwszych latach po zwycięstwie nad faszystami hitlerowskimi. Nie sposób nie wspomnieć o roli wopiskowskiej gazety „Granica”, która stała się wiernym przyjacielem i doradcą wopisty, pomagającym mu w walce z wrogiem — przestępcą granicznym. Pismo „Granica” cieszy się dużą popularnością w terenie, posiada szeroko rozrzuconą sieć korespondentów i współpracowników.

RYSZARD DĄBROWSKI

DWANAŚCIE WESOŁYCH DNI W ZGIERZU

Z radosnym zdumieniem przeczytałem w numerze 26 „Odgłosów” z 25 czerwca 1988 r. artykuł o Zgierzu. Ze zdumieniem, bo od niepamiętnych czasów „Odgłosy” „omijały” problemy społeczno-kulturalne Zgierza. Radosne natomiast zniknęła, bo jednak wiele problemów Ryszard Binkowski potraktował powierzchownie. Nie kruszylibym o to kłopoty, bo tego typu artykuły nie mogą być inne, ale posługiwanie się półprawdami to już rzecz gorsza.

Z artykułu wynika, że raz na siedemset lat miasto pozwoliło sobie na „dwanaście wesołych dni”. Otóż te tytułowe dni to mające już 20-letnią tradycję, obchodzone corocznie „Dni Zgierza”. Narodziły się z inicjatywy powstałego wtedy Towarzystwa Przyjaciół Zgierza.

Zamknięcie 14 lokalnych kotłowni nie zlikwiduje zadymienia i opadu pyłu, bo nie zlikwidowane będą kotłownie zakładowe zlokalizowane w rejonie ul. J.H. Dąbrowskiego a to one są głównym sprawcą zanieczyszczenia.

Bzura wypływająca z Łodzi ma już wody pozakładowe (Szpital Łągowicki). Nie zmienia to oczywiście faktu, że Zgierz dokłada sto razy więcej.

Należy żałować, że pisząc o problemie ochrony starej zabudowy, Ryszard Binkowski nie zacytował dalszego ciągu słów St. Staszica z 1825 r.:

... teraz nie ma znaku, gdzie dawne chaty stały, widzieć (widzieć) kilka długich szerokiej ulic, dwa wielkie rynki, blisko trzysta porządków, po większej części murowanych i dachówką pokrytych domów, wiele z nich wznoszą się piętrami, wszystkie właścicieli kosztowno wystawione, wszystkie zamieszkałe samymi fabrykantami i kupcami.”

Te wszystkie domy w większości pozostały do dziś. Jest to unikalny w skali europejskiej zespół urbanistyczny, który obecnie ma ogromne szanse zostać wybrany w ramach szukania terenów pod budownictwo blokowe.

Ryszard Binkowski pominał zupełnie działalność placówek upowszechniania kultury, dzięki którym większość imprez doszła do skutku. Placówek w Zgierzu jest wiele, a w nich ludzie. Mają one piękne tradycje, ale ich współczesność jest często mniej różnobarwna. Przykładem może być działalność najstarszej w obecnym województwie Łódzkiej Biblioteki Miejskiej im. B. Prusa. Czy wyobraża ktoś sobie działalność filii tej Biblioteki na dwudziestotysięcznym osiedlu w pomieszczeniu o powierzchni 35 m²? Czy wyobraża ktoś sobie 22,5 tys. książek na tej powierzchni i przeszło 10 tys. odwiedzin czytelników rocznie?

Czy był Ryszard Binkowski w Miejskim Ośrodku Kultury, którego pracownicy z drżeniem serca wsiłują się w każdy wstrząs, bo budynkowi grozi zawalenie? A mimo tego Ośrodek prowadzi działalność (i to jaką). Wymienie tylko Zgierską Galerię Sztuki i zmieniające się co miesiąc wystawy plastyków zgierzan np. L. Róży, A. Szadkowskiego i innych. A działalność teatru „Orfeusz”, Towarzystwa Przyjaciół Zgierza, czy 80-letniego Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”!

Szkoda, że wśród „dwunastodniowych wesołych dni” Ryszard Binkowski nie zauważył otwarcia w Muzeum Miasta stałej wystawy dotyczącej XIX-wiecznego Zgierza. Temu jednak nie dziwię się, bo i władze polityczno-administracyjne też tego nie zauważyły, o czym świadczy ich nieobecność na otwarciu tak znaczącej w życiu kulturalnym miasta wystawy.

Zastanawia się Ryszard Binkowski, czy pieniądze wydanych na imprezy nie można było lepiej wydać. A może właśnie należało je przeznaczyć na polepszenie warunków filii bibliotecznych, albo na remont domu przy ul. 17 Stycznia 34, który ciągnie się już lata, a ma być siedzibą MOK.

Jeżeli można dyskutować czy najstarszy Zgierz leżał na zachód czy na południe od dzisiejszego miasta, to nie ulega wątpli-

wości, że pierwszym prezydentem miasta był Samuel Grzegorzewski. Alojzy Skalski był trzecim lub czwartym po uzyskaniu przez Zgierz praw miasta wojewódzkiego w 1829 r. Zgierz nie zajmował wraz z Kaliszem, pierwszego miejsca w przemyśle tekstylnym tylko sam (bez Kalisza, był największym producentem i eksporterem sukna, nie tekstyliów).

Konieczą chciałbym życzyć „Odgłosom”, aby tematyka zgierska częściej gościła na jego łamach (jest to też i moje życzenie), a Ryszarda Binkowskiego zapraszam do zgierskiego Muzeum na spotkanie przeszłości z teraźniejszością.

MACIEJ WIERZBOWSKI
(Pracownik Muzeum Miasta Zgierza)

OD REDAKCJI. O Zgierzu nie zapominamy. Nie tak dawno Marek Koprowski pisał o teatrze „Orfeusz”. Były i inne teksty dotyczące Zgierza. Ale miło nam, że jest zapotrzebowanie na pisanie o Zgierzu.

W naszym przekonaniu pretensje pod adresem Ryszarda Binkowskiego są nie do końca uzasadnione. Pisał on o Dniach Zgierza w 1988 roku i nie musi taki artykuł nosić cech monografii. Autor zawsze staje przed koniecznością dokonania selekcji. Pisanie o wszystkim nie cieszy się dziś zainteresowaniem.

Poza tym artykuł Ryszarda Binkowskiego spełnił w końcu właściwą rolę, gdyż pobudził Macieja Wierzbowskiego do napisania powyższego drukowanego listu. A to już bardzo dużo.

I jeszcze jedna uwaga. W podejmowaniu tematów w „Odgłosach” staramy się kierować zasadą jak najszerszego zainteresowania czytelników. Dlatego unikamy tematów adresowanych do środowisk zawodowych, a więc niekoniecznie interesujących szeroki krąg Czytelników.

Za list i uwagi dziękujemy.

KILKA WYJAŚNIENI I JEDNO PYTANIE

Odpowiadając na inwektywy Andrzeja Gruna zawarte w rubryce „Pestki dyni” („Odgłosy” nr 26 z 26.06.1988 r.), a skierowane pod adresem dyrektora i nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 124 im. Nadziei Krupskiej uprzejmie wyjaśniam że: Teren „...wokół i na zapleczu szkoły...” należy do PGM i MPK. Instytucje te zatrudniając i odpowiadając omiatają ponoszą odpowiedzialność za ład i porządek tam panujący.

Dziękując Andrzejowi Grunowi za cenne rady (których nigdy za wiele, zwłaszcza pod cudzym adresem), co powinny robić dzieci naszej szkoły, proponuję na zasadzie wzajemności, by Andrzej Grun zainicjował czyn społeczny osób dorosłych i własnymi (a nie cudzymi) rękami wysprzątał ten „romantyczny zakątek”, bowiem dorosli są jego głównymi użytkownikami i to w sposób wcale nie romantyczny.

Dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 124 sprzątały plac zabaw (przy bloku zamieszkanym przez A. Gruna) malując ogrodzenie szkoły, sprzątały boisko i ulice przy szkole, często wraz z pracownikami szkoły wypalają śmieci (bo MPO wywozi je kiedy chce) i wykonują wiele innych prac na rzecz środowiska. Nie wydaje mi się jednak słuszną i wychowawczą, aby sprzątały za opłacanych, a nie pracujących dorosłych.

Tyle wyjaśnień.
Na koniec pragnę zapytać p. Andrzeja Gruna — (ja — bez wyobraźni, ja — brudas), czy odbywają po ul. Kaliskiej spacerzy ze swoim psem zabiera na nie miotłkę i pojemnik, by kiedy zaśnie taka potrzeba sprzątnąć materiał dowody dobrego trawienia jego ulubionego czworonożca? Czy zabiera, czy sprząta, czy też pragnie, by sprzątały za niego dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 124?

Z niecierpliwością oczekiwać będę odpowiedzi na moje pytanie.

RENATA SZMIT
(Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 124 im. Nadziei Krupskiej
Łódź, ul. Kaliska 25/27)

TO NIE TEN TYTUŁ!

W numerze 26 „Odgłosów” (z dnia 25 czerwca br.) ukazała się rozmowa p. „Jeden z tych, którzy ukrywali się w gruzach Warszawy”. Redaktor Jerzy Kwieciński rozpoczyna rozmowę następującymi słowami:

„Jak wiadomo, pierwszym, który spisał dramatyczne przejścia człowieka ukrywającego się w gruzach popowstaniowej Warszawy, był znany pianista Władysław Szpilman. Nadeł on swoim wspomnieniem niezbyt fortunny, moim zdaniem tytuł Robinsona Warszawskiego — za bardzo przygodowy, jak na gehennę będącą udziałem Żydów w czasie hitlerowskiej okupacji”.

Przykro mi, ale to właśnie redaktor Jerzy Kwieciński niezbyt fortunnie wykażal się znajomością przedmiotu. Książka z moimi wspomnieniami (Wydawnictwo „Wiedza”, Warszawa, 1946) nosi tytuł „Śmierć miasta”. Jak widać Jerzego Kwiecińskiego zawiodła pamięć lub zaowocowała fantazja.

Uprzejmie proszę o zamieszczenie powyższego sprostowania w najbliższym numerze „Odgłosów”.

Z poważaniem
WŁADYSŁAW SZPILMAN

CZY DYREKTOR WOJCIECH SZMIDT ZAREAGUJE?

Od wielu lat walczę o założenie podwójnych drzwi balkonowych wraz z futryną, które już rozpadły się. Bez skutku. Wielokrotne interwencje u dyrektora PGM Łódź-Sródmieście mgr Wojciecha Szmidta i ROM nr 6 nie dają żadnego rezultatu.

W listopadzie 1987 r. Zarząd Koła ZBoWiD nr 3 Łódź-Sródmieście, którego jestem członkiem wystąpił do dyrektora PGM pismo interwencyjne w mojej sprawie.

W odpowiedzi dyrektor Wojciech Szmidt wysłał do ROM nr 6 pismo znak TT/Bd/1034/73/87/2557 z 28.12.1987 r. zobowiązujące do załatwienia sprawy.

I co? I nic!

Nowa kierowniczka ROM nr 6 pozbywa się mnie jako natręta, a ja cierpię ostatnio na bóle nóg, nie mam siły nachodzić tych instytucji w swoich sprawach.

Dom, w którym mieszkam przy ul. Zachodniej nr 59, zbudowany w 1912 r. i od dawna nie remontowany z dnia na dzień marnieje.

MIECZYSLAW KOZAK

Serdecznie prosimy dyrektora PGM Łódź-Sródmieście o zainteresowanie się tą sprawą. W najbliższym czasie sapytamy, czy nasza prośba została spełniona.

REDAKTOR DYŻURNY

„PRZEZORNY ZAWSZE UBEZPIECZONY”

W związku z artykułem opublikowanym w 24 numerze „Odgłosów” Oddział Wojewódzki PZU informuje, że w trybie nadzoru zbadał opisaną sprawę.

Stwierdzono iż część zarzutów Pana Ziemowita Żelazowskiego znalazła potwierdzenie. W związku z tym zostanie dokonana dopłata za elementy niewłaściwie wyliczone. Natomiast, odnośnie konieczności wymiany i zakupu nowego akumulatora wyjaśniamy, że jeżeli Pan Z. Żelazowski przedstawi kwit zdania akumulatora, otrzyma odszkodowanie i wcale nie jest konieczne dostarczenie starego akumulatora do PZU.

W celu wyeliminowania takich incydentów, jak nieprzyjęcie klienta przez dyrektora — została zwrócona uwaga dyrekcji inspektoratu na niedopuszczalność występowania podobnych zdarzeń w przyszłości.

Z zasygnalizowane przez naszą redakcję sprawy zostały wyznaczone stosowne wnioski zmierzające do poprawy jakości i kultury obsługi, których realizację zlecono kierownictwu inspektoratu.

W związku z przykrościami, jakich doznał nasz klient w podległej jednostce, stosowne słowa przeproszenia skierowano odrębnym pismem do Pana Ziemowita Żelazowskiego.

mgr ZBIGNIEW WŁAZIŃSKI
dyrektor Oddziału
Wojewódzkiego PZU

Od redakcji:
Dziękujemy!

TELEFON 36-77-70.

W odpowiedzi na pismo z 1988.06.22 dotyczące sytuacji na skrzyżowaniu ul. Narutowicza — Wschodnia podczas zatrzymywania pojazdów przez funkcjonariuszy WRD uprzejmie informuję, że zatrzymywani są tylko ci kierowcy, którzy popełnili wykroczenie na ww. skrzyżowaniu lub w jego pobliżu. Niemniej jednak po przeanalizowaniu całości sprawy wydałem polecenie, aby i tych kierowców nie zatrzymywano przy skrzyżowaniu ulic lecz na parkingu przed budynkiem telewizji ze względu na duże natężenie ruchu kołowego i pieszego.

Dziękuję za informację, która pozwoliła usprawnić naszą służbę.

Z poważaniem
mgr mgr ZDZIŚŁAW PELKA
(Naczelnik Wydziału Ruchu Drogowego WUSW)

W związku z Waszą notatką zamieszczoną w „Odgłosach” 25.06.1988, a dotyczącą skargi obywatela Stanisława Kośby, zam. w Łodzi przy ul. Mazurskiej nr 44 w sprawie pozabawienia lokatorów domu pralni — Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszaniowej Łódź-Górna informuję, że pralnia została doprowadzona do stanu używalności i klucze znajdują się u gospodarza domu ob. J. Skorupy.

mgr BOGDAN TOMASIK

REDAKCJA — CZYTELNICZY

D. SKUBISZEWSKA, Łódź. Nie potrafimy powiedzieć, czy rzeźba przed Szpitalem Pomnikiem i na ulicy Łągowickiej jest taka sama. Nie sądzimy również, aby rzeźbę przed Szpitalem Pomnikiem trzeba było usunąć, bo się nie wszystkim podoba. Starożytni Rzymianie uczyli, że o gustach nie należy dyskutować. Różnym ludziom podobają się różne rzeczy. Być może są tacy, którym się ta rzeźba podoba. Chętnie oddamy im głos.

WIESŁAW PODŁASIAK, Łódź. Jak zapewne pan zauważył, powróciliśmy do tematu wypożyczalni kaset wideo. Lista nie wydrukowaliśmy, gdyż aby zabierać głos publicznie trzeba mieć coś do powiedzenia — a po drugie — wyrażać się w sposób kulturalny.

FRANCISZEK PORCZYŃSKI, Łódź. Ma pan zastrzeżenia, że Witold Borowy odpowiadając na zarzuty napisał: „Myślę, że na tym należy zakończyć polemikę”. Zarzuca mu pan działanie przeciw „głosności”. Duże nieporozumienie.

Preferujemy takie polemiki, w których obie strony posługują się argumentami. W sprawach historycznych do argumentów zaliczamy sprawdzone fakty i ich rzetelną, opartą na naukowych rozważaniach i badaniach, interpretację. Powtarzanie natomiast ciągle zapożyczonych z różnych źródeł, często sprzecznych poglądów, nie ma nic wspólnego z polemiką i dlatego trzeba ją kończyć. Inaczej zamieni się to w „pyskawkę”.

PIOTR BUGAJSKI, Łódź. W planach mamy publikację artykułów na tematy wynikające z najnowszej historii. Mamy nadzieję, że znajdzie pan tam odpowiedzi na nurtujące pana pytania i wątpliwości.

RENATA PEDZIWIATR-KALISZ, Tuszyń. Sprawy postaramy się zainteresować.

REDAKTOR DYŻURNY

INFORMUJEMY O KONKURSACH

NA ESEJ ORAZ RECENZJĘ POETYCKĄ

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji '88” ogłaszają konkurs na esej oraz recenzję poetycką. Konkurs ma charakter otwarty.

Teksty w objętości: esej do 20, a recenzja do 5 stron znormalizowanego maszynopisu w pięciu egzemplarzach, opatrzone godłem wraz z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko, dokładny adres autora oraz powtórzenie wybranego godła należy przysłać pod adresem: Biuro Organizacyjne Warszawskiej Jesieni Poezji, Rynek Starego Miasta 2, 00-272 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Konkurs na esej oraz recenzję poetycką”.

Prace należy przysłać do 31 sierpnia 1988 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody: za esej główną w wysokości 45.000 zł — dwa wyróżnienia po 35.000 zł — nagrodę specjalną za pracę o tematyce warszawskiej w wysokości 40.000 zł za recenzję: główną w wysokości 35.000 zł — trzy wyróżnienia po 30.000 zł.

NA WIERSZE

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji '88” ogłaszają konkurs poetycki dla autorów nieprofesjonalnych. Jeden nie publikowany dotychczas wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem wraz z dołączoną do niego zapieczętowaną i oznaczoną tym samym godłem kopertą zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres oraz powtórzenie wybranego godła należy przysłać pod adresem: Biuro Organizacyjne Warszawskiej Jesieni Poezji, Rynek Starego Miasta 2, 00-272 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Konkurs jednego wiersza”. Prace należy nadsyłać do 31 sierpnia 1988 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody: — główną w wysokości 30.000 zł — sześć wyróżnień po 20.000 zł — nagrodę specjalną za wiersz o Warszawie w wysokości 25.000 zł.

Rozwiązanie obu konkursów i ogłoszenie wyników nastąpi podczas „Warszawskiej Jesieni Poezji '88” w Domu Literatury w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89 21.09.1988 r. o godz. 20.30.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:
21 lipca — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** — godziny 10—15.
28 lipca — **JERZY KWIECINSKI** — godziny 10—15.

RELACJA Z DYŻURU W DNIU 14 LIPCA 1988 R.

Mimo wakacji sprawy, z jakimi zwracają się do nas Czytelnicy, nie są wcale wakacyjne.
Pan **WŁADYSŁAW OLEJNICZAK** o godzinie 6 rano stanął w kolejce przed sklepem mięsnym na ul. Północnej. Pan W.O. ma 78 lat i w dowodzie posiada adnotację, że może kupować w sklepach poza kolejnością. Stanął więc w tej kolejce „poza kolejnością”. Sklep otworzył o 9.00. Po nabyciu pół kilograma kiełbasy poprosił o sprzedanie mu paczki mrożonych flaków. Wówczas usłyszał, że flaki — to już inna kolejka i inne stoisko. Musi więc stanąć ponownie. A przecież w tej drugiej kolejce tłoczy się tłum kupujących i kto go teraz tam wpuszcza? Pan W.O. postuluje by w sklepie miesnym oba stoiska połączyć, a wówczas starszy człowiek nie będzie spędzał całego dnia w sklepie tylko dlatego, że chce kupić i pół kilograma kiełbasy i paczkę mrożonych flaków.

Pan **JERZY LIS** z Aleksandrowa jest pracownikiem oświaty, a w tej instytucji 6 tys. zł osłonowego, nie wlicza się do pensji. Ale jeśli się choruje, to odciąża się pieniądze od pensji plus od tych 6 tysięcy. Natomiast, gdy otrzymuje się premie, to tej wysokości oblicza się jedynie od pensji. Dlaczego tak? — pyta pan J.L.

Pani **Z. Sz.** (nazwisko i imię do wiadomości redakcji) poruszyła sprawę pomnika umieszczonego przed Szpitalem Pomnikiem Matki Polki. Zdaniem pani Z.Sz. jest to nieudana rzeźba, którą już zaczęto nazywać w Łodzi „Garbatą Arabką”. Przecież — zdaniem pani Z.Sz. — tam winien być postument symbolizujący Kobieta-Polkę, symbolizujący naszą narodowość, słowianść. Może by więc stojący tam postument przenieść gdzieś indziej, a na to miejsce postawić bardziej sympatyczną rzeźbę?

Pan **E. K.** zadzwonił w dość blachę, ale sprawiającej sporo kłopotu mieszkańcom Nowego Rokicia, sprawie. Oto chce pobrać kartkę na mięso dla współmałżonka, trzeba zjawić się w urzędzie z kartą rejestracyjną, swoim dowodem osobistym i dowodem współmałżonka. A na przykład w Warszawie czy Wrocławiu wystarczy, że się pokaże kartę rejestracyjną. Wiedząc jak

to jest? — pyta pan E.K. — Polska jest jedna, a przepisy dotyczące tej samej sprawy w różnych miastach są różne?

Pan **S. C.** (nazwisko i imię do wiadomości redakcji) jest emerytem i chciałby podjąć pracę, w którymś zakładzie, który zgłasza zapotrzebowanie na pracowników. Niestety, biurokracja uniemożliwia mu zatrudnienie, bo się wymaga zaświadczeń ze wszystkich miejsc, gdzie kiedyś pracował. A przecież niektórych firm już nie ma, nie istnieją. Czy zatem nie wystarczyłaby decyzja emerytalna ZUS?

Inna sprawa: od lutego nie ma w sklepach herbaty „Popularki”, tej najtańszej. Dlaczego? Nie wszystkich emerytów stać na kupno paczki herbaty za 300, 400 czy 490 zł?

Kolejny postulat pana S.C.: emeryci mogą ubezpieczyć się w PZU na kwotę 50—60—70—80 tys. zł na wypadek śmierci. Od lutego ceny zostały w Polsce podniesione — a więc te kwoty automatycznie uległy recesji. Czy nie należałoby więc podnieść składek ubezpieczeniowych i kwot na jakie mogliby się emeryci ubezpieczyć?

Pani **H. S.** (nazwisko i imię do wiadomości redakcji) jeździ z Zabiecia do Zgierza pociągami odchodzącymi o 14.29. W Zgierzu, gdy pociąg się zatrzymuje, droga do wyjścia zagraża pieszemu. Tarasuje oba przejścia i ludzie przechodzą przez wagony lub przez tor.

Inna sprawa: na „Osiadlu 650-lecia” w Zgierzu dzieją się różne ciekawe rzeczy. Oto jest pawilon, w którym mieści się apteka, restauracja sklepy. A naprzeciwko — śmietnik! Przepelniony cuchnący śmietnik, który w żaden sposób nie upiększa krajobrazu. Natomiast w sklepie „Jubilat” chcą kupić klamerki do przytrzymywania bielizny po praniu, trzeba kupić od razu i sznurek. Inaczej nie sprzedają. Sprzedawcy nie wie, dlaczego tak jest, ale osobno sprzedają nie może. Ważną sprawą jest tam także woda: ostatnio szarobrunatna, pozostawiająca ciemny osad, przykra w smaku. I jeszcze jedno: Zgierz i Aleksandrowa są oddalone od siebie o 6 km. Ale chcą jechać z jednego miasta do drugiego trzeba korzystać z tramwajów linii 43 i 44. Wówczas jedzie się przez Łódź, czyli ponad 20 km. Czy nie można byłoby uruchomić linii autobusowej? Zwyczajną linię miejską, i taniej, i szybciej, i wygodniej.

Pan **WŁODZIMIERZ MATYKIEWICZ** zapytał, czy nie wiem, dlaczego w kiosku na rogu Wojska Polskiego i Spornej oraz na Zagajnikowej nie ma „Odgłosów”? Przecież zawsze są w środe. Niestety, na to pytanie mogliby odpowiedzieć jedynie łódzki „Ruch”.

Pani **JADWIGA KOŁODZIEJSKA** natomiast przekazała następującą informację: otóż na ulicy Kosynierów Gdyńskich na Chojnach Zatoru (ulica zadrzewiona, spacerowa) właścicielom indywidualnych domów kazano cofnąć swoje posesje o parę metrów od chodnika by nie psuć urody ulicy. Natomiast pod nr 52 wznosi się kompleks wielopiętrowych segmentów, które dotykają chodnika. Teraz ulica wygląda jak poskręcana anakonda, jest brzydka, z zakosami, zygawkowata. Dlaczego — pyta pani J.K. — jednym kaze się odsuwać, a inni mogą szpecić urodę osiedla?

EUGENIUSZ IWANICKI

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Przykre wspomnienia

Było to latem 1942 roku. W drogerii, w której w obawie przed wywiezieniem do Niemiec podjąłem pracę (Zarządca był Baltendowicz Harald Wendtland — Narutowicza 31, wówczas Sztagerstrasse) pojawił się jakiś nieznan mi człowiek. Poprosił nas, stróżów, co było, krokiem co najmniej nieostrożnym i wciągnął w ręce zmiętą karteczkę. Zamienił ze mną kilka słów i szybko opuścił drogerię. Treść karteczki była krótka ale alarmująca. „Ratuj zwiastem z Niemiec, jestem ciężko chory, błagam o lekarza”. Adres, żadnego imienia ani nazwiska. Ale charakter pisma był mi dobrze znany. Pisał ja Włodek (Wincenty) Jedrykiewicz, syn artysty malarza.

Była sobota. Krótko przed zamknięciem „budu”. Znalazłem parę adresów leka w okolicy ul. Jan Kilińskiego i Henryka Sienkiewicza, więc niezwłocznie zacząłem szukać doktora. Drzwi otwierały mi żony lekarzy, bądź siostry. Słyszałem zazwyczaj, że doktora akurat nie ma, albo, że zginął, że ona się nie zgadza aby gdziekolwiek wychodził.

Spentrowałem spore odcinki ulic Jana Kilińskiego i Henryka Sienkiewicza bez żadnego efektu. Po godzinie policyjnej ruszyłem ulicą Gabriela Narutowicza w kierunku radiostacji. Dobrze pamiętam pierwsze domy koło parku Jana Matejki. Znalazłem wreszcie lekarza, który bez wahania wpuszczał mnie do mieszkania, wysłuchał krótkiej relacji, wziął torbę i poszedł ze mną.

Dobrze pamiętam już ciemną noc w okolicy Dworca Kaliskiego do jakiegoś niedźwiedź chłapięcy. Stan chorego okazał się poważny. Lekarz stwierdził, że zaniechał leczenia. Dr Jacek Szmil (a może Szmil?) przepisał leki, wyraził poślad, że ręką nie pora, nie chciał przyjąć żadnych pieniędzy. Nie wiedziałem, jak mu dziękować, jak się odwdzięczyć.

Z powrotem, szliśmy każdy oddzielnie. Mielismy nadzwyczajne szczęście nie spotkać się ani w jedną, ani w drugą stronę żadnego patrolu.

W znanych mi opracowaniach z okresu okupacji przedstawiających sytuację w Łódzkiej służbie zdrowia nie spotkałem nazwiska dr. Jacka Szmila, a nie sądzę, aby był to jedyny przykład niesienia przez niego pomocy rodakom.

Drugie moje spotkanie z uciekinierem z III Rzeszy nie było już tak spokojne. Dotyczyło młodego chłopaka wywiezionego na przymusowe roboty. W maju

1943 roku po udanej ucieczce Zdzisław Płoszajski ukrywał się u swych krewnych Jablońskich mieszkających przy ulicy przyległej do dworca Łódź-Fabryczna. Wraz z matką, która przyjechała do mnie, wybraliśmy się do Jablońskich.

W pobliżu domu, gdzie mieszkali podszedła do mnie siostra narzeczonej Janusza Jablońskiego, ostrzegając, abym nie wchodził do nich, bo są tam Niemcy. W przekonaniu, że chodzi tu o urzędników Arbeitsamtu (Urzędu pracy) i powodowany chęcią ratowania chłopaka z opresji (pracowałem, byłem kryty, znałem dobrze Niemców), zdecydowałem się przestrożkę. Matkę zostawiłem przed domem, zapewnijając ją, że wrócę za chwilę. Wpadłem w „kocioł” zastawiony u Jablońskich i od tej chwili nie było dla mnie żadnych szans wytrwania się z rak gestapo.

Jablońscy mieli status białych Rosjan, ale czuli się Polakami, ukrywali u siebie nie tylko krewnych, ale i obcych uciekinierów. Dodatkowo zdobywali się na BBC i Moskwy, kolportowali gazetki. Dom był pod obserwacją, ale gestapowcom niczego nie udało się uchwycić ani udowodnić. Podstawili więc Polaka-prowokatora. Złapali sporo osób. Dodatkowa zdobycz: był uciekinier z Niemiec oraz inne osoby, które weszły do „kocioła”. W tym moja matka, która jednak po kilku tygodniach wypuściła. Pobytu w więzieniu przy ul. Sterlinga nie przeżył Bolesław Jabloński, kaleka, zwany „mecenasek” w obozie zginęło 10 osób, wróciło po wojnie zaledwie kilka.

Losy Zdzisława Płoszajskiego — uciekiniera z robot przymusowych przez dłuższy czas związane były ze mną. Byliśmy razem w kwarantannie w obozie zagłady Mauthausen, mieszkaliśmy wspólnie w potwornie zapchlonych koniach barakach Buchenwaldu, stamtąd wywieziono nas do podziemi Dory-Mittelbau, skąd jak głosiła fama powrót był tylko przez kominiarza. Trzymaliśmy się zawsze razem aż do wczesnej wiosny 1944 roku.

Był nad swój wiek poważny, zamysłony. Ja, późniejszy „biegunkowy muzulman” zwany Drecksakiem (worek gówna) i murewany kandydat do krematorium, jeszcze wówczas w dość dobrej formie, nie traciłem nadziei, a nawet czegoś w rodzaju poczucia dobrego humoru. Zdarzyło się jednak coś na pozór

zwykłego w trybie obozowym pełnym słynnych wrażeń, wstrząsów psychicznych, krzyków, bicia oraz nieustającego głodu i pragnienia. Nasze komando, którego psemem był Bevauder (Berufsbewerber — zawodowy przeciepa), kano Paul — spóźniło się na apel. Do nowo zbudowanego baraku, w którym w pośpiechu chłepialiśmy gorącą rzadką „Wasserruppe” z brukiw, wyrzucano ekapedycje karnie w postaci dwudziestu SS-manów z groźnymi wilczurami na smyczkach. Nie było chyba Häufeliga naszego komando, którego nie szarpałbyw par SS-manów. Wielu ciekło od chorowatego pokasania, a niejednego zmarło od ran. Do pokasanych należał również Zdzisław, który nie przemył nawet ran krytych wodą. Gorączka, skłoniła go do zgłoszenia się do Krankenbau (szpital obozowy). Wtedy straciłem go z oczu.

Dowiedziałem się później, że został przeznaczony na wyjazd do innego obozu, gdzie miały być lepsze warunki i lepsze żarcie. Dalem się zlapać na lep i zapisałem się również na ten transport. Wtedy kapo Paul, który zaledwie kilka tygodni wcześniej w brzoście wściekłości usiłował mnie udusić, parsknął śmiechem i krzyknął — Dummkopf, du geiss Himmelfahrt... (Głupia głowa, idziesz w podróż do nieba, do nieba...). I znaczącym gestem wzniósł ręce do góry. To wystarczyło. Ponieważ zgłosiłem się do obojownika, moim się jeszcze wycofać i tak szybko jak to było możliwe, zrobić to. Niestety Zdzisław, jako pacjent Krankenbau, był dla mnie niedoścignalnym, nie miałem już wpływu na jego losy. O ile pamiętam, znalazł się później w Oświęcimiu, a następnie na Majdanku, gdzie dopełnił się jego smutny los w komorze gazowej.

Ja, uciekinier z łosy Zdzisława i innych pogrzebionych przez SS-mańską sforę? Otóż taktyka stosowana przez nich była taka, że praktycznie nikt nie mógł uniknąć palni kłód. Pierwszy atak rozpoczął się już w łbie, gdzie jedliśmy obiad. Wpadło kilku SS-manów z rzucającymi się na smyczy psami. Wszczęli się tumult, krzyk, przerażenia i niesamowity hałas. Byłem w samym środku ciżby. Bezpieczny od ataku, z tyłu, stopniowo jednak tłum przesuwał się do drzwi, gdzie już czuwały następni SS-mani — ze swymi podobocznymi. W drzwiach do przedziałka uchwyciłem się rozpaczy i futurny, nie dając się wypchnąć tak długo, aż zauważyłem, że psy

mają pełne pyski roboty. Wyskoczyłem na zewnątrz jak z procy. Ale tam stał jeszcze cały szpalier gotowych do ataku ludzi (!) z psami, które ujadły jako wściekłe. Strach dodał mi siły, gwałtem jak oszalały i udało mi się wymknąć.

Jeden z SS-manów dopędził mnie jednak, jego pies chwycił mnie za łydkę, przewróciłm się na śliskiej zamrażalieli kałuż, odwróciłem się natychmiast i leżąc na plecach, wierzgałem nogami jak opętany. Psa SS-manów nie wolno było dotknąć, a co dopiero kopnąć, tego pan mógł mnie najwyżej zabić w świetle zastrzelić. Rzucając wściekle spojrzenia na SS-mana wykrzykiwałem wszystkie znane mi niemieckie przekleństwa, zakochane wzywaniem do odciążenia wilczura. Pies słysząc mowę swego pana, przestał atakować. SS-man był jakby trochę wystraszony, że może ma do czynienia z rodakiem, odciągnął psa zgodnie z moim życzeniem. Wtedy zerwałem się jak zając i w nogi.

H. P.

Akt w ubiorach Siewierskich

KONRAD TUROWSKI

Akt w ubiorach unikatowych — to nieco prowokujący tytuł ekspozycji przygotowanej w salonie PP „Sztuka Polska” przy ul. Nawrot 2a, przez małżeństwo Bożenę i Andrzeja Siewierskich, znanych już z liczącego się dorobku artystycznego w dziedzinie gobelinów i grafik. Oczywiście, aktu nie należy myśleć z seksem, choć granica na pewno nie jest wyrazista. Tym bardziej, gdy przeniesione na suknie elementy grafiki i tzw. żywych obrazów pełne są ekspresji, a zastosowana technika areografu daje wrażenie przestrzenne.

Wystawa pp. Siewierskich stała się niewątpliwie wydarzeniem, zwłaszcza w kręgach nie tylko artystów zainteresowanych projektowaniem awangardowej mody.



Bożena Siewierska z jedną ze swoich sukienek.



Najmłodszy uczestnik wernisazu zdaje się być jeszcze dość obojętny na otaczającą go ubiór unikatowy.

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO w Łodzi

ogłoszenia

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż n. wymienionych pojazdów:

Lp.	Marka	Nr rej.	Rok prod.	Nr silnika	Nr podwozia	% zuż.	Cena wywoł.
1.	P. Fiat 125p	LDB 353P	1985	924919	1023120	60	717.000,—
2.	P. Fiat 125p	LDB 979E	1984	918845	1018553	65	625.000,—
3.	P. Fiat 125p	LDB 976E	1984	943071	1017762	70	538.000,—
4.	P. Fiat 125p	LDB 444E	1984	787812	1016864	65	625.000,—
5.	P. Fiat 125p	LDB 366P	1985	967884	1023422	65	625.000,—
6.	Nysa 522S	LDB 481E	1984	750153	294132	65	589.000,—
7.	P. Fiat 125p	LDB 228B	1983	1047966	1010420	70	538.000,—
8.	P. Fiat 125p	LDB 302P	1984	878953	1023465	70	538.000,—
9.	P. Fiat 125p	LDB 446B	1983	912337	1011666	70	538.000,—
10.	P. Fiat 125p	LDB 445B	1983	841299	1011716	75	448.000,—
11.	P. Fiat 125p	LDB 975E	1984	818431	1017337	75	448.000,—
12.	Fiat pick-up	LDB 519B	1983	898476	1011311	70	455.000,—

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 4 sierpnia 1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 4 sierpnia 1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2 o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego, drugi przetarg odbędzie się w dniu 18 sierpnia 1988 r. o godz. 11 na terenie WKTS w Łodzi.

Zastrzeżenie: prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyn oraz zmiany cen wywoławczych.

Za występujące wady ukryte w pojazdach skład nie ponosi odpowiedzialności, oraz nie uzupełnia braków.

1753/K

Melchior Wańkowicz w pierwszym tomie „Katoda-Anoda” opisuje swój krótki pobyt w Kosowie w słynnym przed wojną zakładzie leczniczym Apolinarego Tarnawskiego. W jego opisie w pewnym momencie pojawia się postać Wita Tarnawskiego. W latach trzydziestych prowadzenie lecznicy „stary doktor”, jak nazywano Apolinarego Tarnawskiego, oddawał powoli w ręce swojego syna Wita, który u boku ojca rozpoczynał karierę lekarską. Ale Wit od najmłodszych lat skłaniał się do pracy pisarskiej i dziś bardziej znany jest jako krytyk i pisarz niż lekarz.

Jakie były początki literackich zainteresowań Wita Tarnawskiego? Już jako kilkunastoletni chłopak próbował pisać przygodowe powieści. Napisał ich kilkanaście, ale po przeczytaniu kilku wielkich pisarzy i porównaniu ich pisarstwa ze swoimi próbami, postanowił przerwać „okres młodzieńczej grafomanii” — jak to sam określił. Potem był czas teoretycznych poszukiwań, które nie doprowadziły do żadnych konkretnych, na papierze widocznych, rezultatów, pozwoliły natomiast na ukształtowanie się w przyszłym krytyku własnego programu estetycznego. Potem przyszły studia medyczne i praca lekarza, która nie bardzo pozwoliła na pisanie, ale jeśli w kimś obudził się już ten ogień pisarski trudno jest go, o tak po prostu, zgasić.

I w roku 1936 Wit Tarnawski zdecydował się wysłać do redakcji „Pręsto z Mostu” swój szkic o twórczości François Mauriac. Wielką była jego radość, kiedy artykuł ukazał się na pierwszej stronie pisma, a redaktor Stanisław Piasiecki zaproponował stałą współpracę. Czas wojny i pierwsze lata emigracji doprowadziły do skupienia się zainteresowań Wita Tarnawskiego na twórczości Josepha Conrada. I tak autor „Smugi cienia” stał się wiernym towarzyszem dalszej drogi pisarskiej Wita Tarnawskiego.

W roku 1957 z okazji setnej rocznicy urodzin Josepha Conrada z inicjatywy Wita Tarnawskiego i pod jego redakcją w Londynie ukazał się tom pt. „Conrad żywy”. Redaktorowi tomu udało się zachęcić do współpracy najwybitniejszych pisarzy emigracji. Wszystkie artykuły, wspomnienia, szkice i wiersze (poza wierszem Jana Lechonia, który w tym czasie już nie żył) powstały specjalnie dla tej książki. W ten sposób narodziła się praca, w której można znaleźć prawdziwe literackie perełki, jak choćby teksty Andrzeja Bobkowskiego, Marii Kuncewiczowej,

LITERATURA BYWA SILNIEJSZA

„Bo ta proza jest jakby z innej epoki”

Czesława Miłosza, Stanisława Vincenza czy Pawła Hosiowca.

W roku 1972 Wit Tarnawski zbiera swoje szkice, które dotyczą twórczości Josepha Conrada i wydaje w książce pt. „Conrad. Człowiek-pisarz-Polak”. Od wpływu autora „Nostromo” niewolna jest także twórczość prozatorów Wita Tarnawskiego.

Jako prozaik, ten krytyk, objawił się bardzo późno, ale za to tomiem bardzo dojrzałych nowel, które wyszły w roku 1960 pod wspólnym tytułem „Ucieczka”. Tytułowa nowela opowiada o człowieku, który w sierpniu 1939 roku jedzie do Kosowa, by odebrać spadek i tutaj zastaje go wojna. Opis pierwszych dni wojny widzianej z dalekiej huculskiej przysiółki niektóre strony „Soli ziemi” Josefa Wittlina, ten sam przejmujący nastrój oczekiwania, tu oczywiście znacznie krótszy, bo już po kilku dniach wojna dotarła w okolice Kosowa tłumami uchodźców. Stanisław, bohater opowieści Wita Tarnawskiego swą ucieczkę przed wojną rozpoczął 17 września 1939 roku rano i nie wie, że w tym samym czasie do Polski wkroczyli Rosjanie. Dowiaduje się o tym w czasie drogi, co oczywiście pogłębia dramatyzm jego sytuacji. Cała nowela pomyślana jest jako przekazywany w czasie wojny przez rannego żołnierza pamiętnik, do którego autor wprowadza jeszcze swój komentarz. Trasa ucieczki Stanisława wiedzie przez miejsca świetnie znane Witowi Tarnawskiemu i właśnie w wielu z owych miejsc autor zatrzymuje się, by opowiedzieć o własnych wspomnieniach. Przerzuca akcję opowiadania i podejmuje drogę wraz z bohaterem, by na chłodno z perspektywy czasu powrócić w swe dzieciństwo i młodość, by pozostawić nam chwilę na refleksję, by opisać także przyrodę kraju przeszłości. Słowem — pokazać to wszystko, na co autor rzekomego pamiętnika nie miał czasu. Wit Tarnawski w tym opowiadaniu ucieka i powraca, zarazem. Ucieka od wojny i tego, co wojna zrobiła z jego „małą ojczyzną”, by użyć określenia Stanisława Vincenza. Ten formalny zabieg pozwala nam także na powrót w przeszłość:

„Taki właśnie wędrowałem wśród was za młodu — poloniną i góry tamtych lat — i cała moja dusza górską i wiejską rodziła się pod waszym szerokim tchnieniem. To wy szczyty, lasy i bezdroża Czarnogóry nauczyły mnie szukać ścieżek samotnych a nie ludnych gościńców i omijać miejsca, gdzie wzrok nie mógłby swobodnie kraść aż po granice widnokręgu.”

I strona dalej:

„Wiele trudne się, by pochłonięć was — góry, poloniny, lasy — słowem wciernięm, przytrzymać na zawsze w opowieści o waszym pięknie, odcień przed utratą. Cokolwiek się stanie, ty mi zostaniesz teraz w ręku czarnogórską książeczką, obrazie z pamięci z miłością malowany — na pocieszenie, na chwilę ciekawą.”

Następne opowiadanie pt. „Nalecy” ma bardzo podobną budowę jak pierwsze. Wydaje się, że u Wita Tarnawskiego w prozie nastąpiło niezwykle połączenie krytyki i pisarstwa w jedną ciekawą całość. Czasem tylko pisarza jakby pokrywał temperament krytyka i autor zbyt wiele chce wyjaśnić, tak się dzieje na przykład w zakoncentrowaniu opowiadania pt. „Kain”. W sumie jednak tom nowel Wita Tarnawskiego podlega nas swym spokojem, bo ta proza jest jakby z innej epoki, może właśnie dlatego przy niej tak dobrze odczuwamy, zapominając o całej otaczającej nas gonitwie. A kilka nowel z owej książki można spokojnie postawić obok najlepszych utworów tego gatunku w polskiej literaturze. Ładnie i bardzo celnie napisał o „Ucieczce” wytrawny eseista i krytyk Paweł Hosiowiec:

„Jeżeli będę chciał kiedyś pisać nowelę, zajrzę przedtem przedko do książki doktora Tarnawskiego, aby zobaczyć jak się to lub tak robi.”

W czas swej młodości podziwiał Wit Tarnawski w następnej książce pt. „Mój ojciec”. I myśli by się ten, kto by sądził, że to tylko wspomnienie, jak zwykle w takich razach zakrapione nutką sentymentalną, w rzeczywistości to dokładna analiza Apolinarego Tarnawskiego pełna ciekawych myśli i spostrzeżeń. I dzięki tym zaślepieniom, a także pięknemu językowi, który stanowi mocną stronę wszystkich utworów Wita Tarnawskiego, lektura tego niewielkiego utworu staje się ważnym przeżyciem.

W latach siedemdziesiątych wychodzą dwie następne książki autora „Ucieczki”. Są to „Książki Antoni” i „Wyznania i aforyzmy”.

Michał Sprusiński w swym artykule pt. „Literatura najmniej znana” (Polityka 1981) ułożył listę pisarzy, których utwory winny być udostępnione krajowemu czytelnikowi. Na owej liście umieścił także nazwisko Wita Tarnawskiego, ale miał na myśli przede wszystkim jego prace krytyczne i esejistyczne. Sądzę jednak, że i twórczość prozatorska godna jest także przedstawienia szerszej publiczności.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1

Za co ludziom płacić?

Płacić to najtrudniejszy — jak się okazuje — problem do rozwiązania. Niby w teorii wszystko jest jasne i proste: płacić odpowiednio do włożonej pracy. Im bardziej skomplikowana praca wymagająca nie tylko wysiłku fizycznego, ale i intelektualnego — tym wyższa płaca. Bał jak to ktoś trafnie śpiewa w popularnej piosence: powiedzieć łatwo. Trudniej zrobić. O potrzebie zrationalizowania plac mówi się już u nas od lat. I na ogół pozostaje to wszystkim na mównicy.

Wystarczy jednak napisać o placach, a zaraz posypią się listy, bo — okazuje się — wielu ludzi w naszym kraju ma znakomite pomysły i wie, jak to zrobić, by było lepiej. Tadeusz Tanaś z Warszawy w liście do „Odgłosów” pisze na przykład tak:

„W kraju, naszym, zatrudniającym poza rolnictwem około 12 milionów obywateli, blisko półtora miliona to administracja to szeroki tego słowa znaczeniu. Są to ludzie nie pracujący w produkcji bezpośredniej, handlu i usługach. Owe półtora miliona to ludzie przychodzący do pracy czy zatrudnieni, ale trudno powiedzieć, aby byli to ludzie pracujący jak norma czasowa nakazuje — 40 godzin w tygodniu”.

Trudno byłoby Tadeuszowi Tanaśowi zaprzeczyć. Tylko, co z tego wynika? I jaka jest takiego stanu rzeczy przyczyna? Ale nim podejmę próbę wyjaśnienia, posłuchajmy jeszcze, co Tadeusz Tanaś proponuje zrobić z tymi „darmozjadami”:

„Jest tylko jedno wyjście — trzeba z owych półtora miliona osób przychodzących do pracy (owych zatrudnionych w rozumieniu przepisów ZUS) czterech milionów przesunąć do bezpośredniej produkcji, handlu lub usług szeroko pojętych. Zoszczędzony tym manewrem fundusz plac częściowo przeznaczony na podwyżki tym, którym zwiększył się zakres pracy”.

Myśl nie jest oryginalna. Już dawno się mówi u nas o potrzebie stałego zmniejszania administracji. Dlaczego zatem to nie wychodzi? Co się te administrację zmniejsza, to ona się natychmiast beztrośnie rozrasta. W czym więc rzecz?

Mam podejrzenie, że wielu reformatorów z prawdziwego zdarzenia, jak i amatorów swoje koncepcje opiera na pobożnych życzeniach. Posługują się oni globalnymi wielkościami. Kiedy operuje się milionami, wszystko wychodzi bardzo proste. Gdy przychodzi do zwolnienia Jana Kowalskiego cała sprawa komplikuje się niemożliwie. Jan Kowalski ma bowiem dwa lata do emerytury i co? Wyrzucić staruszka na bruk? Albo jest jedynym żywicielem. I znów komplikuje się sprawa.

W moim przekonaniu zmniejszenie zatrudnienia w administracji nie należy zaczynać od rachunku, w którym posługujemy się milionami. To po pierwsze. A po drugie — trzeba najpierw zmienić strukturę organizacyjną naszej gospodarki. Po trzecie — zmienić przepisy. Jeśli tego nie zrobimy, to wszelkie próby zmniejszania administracji okazały się tylko nieudaną realizacją pobożnych życzeń. Nie mam na to żadnej recepty, ale jeśli do fabryki co miesiąc przybywają trzy różne kontrole, to fabryka musi mieć zatrudnionych ludzi, którzy będą te kontrole odpowiednio przygotowywać dokumentami obsługiwali. Podobnie jest ze znacznie zmniejszono, ale która nadal kwitnie, jak i z wieloma innymi administracyjnymi potrzebami. Biurokracja papierkami kwitnie. Bez podkładki żaden „porządny” urzędnik nie załatwi sprawy.

Ale sprawa racjonalizowania administracji — to jedno, a ludzie — to drugie. Moim zdaniem przerosły zatrudnienia występują nie tylko w administracji. Kiedyś byliśmy dumni, że wszystkim zapewnialiśmy pracę. W tym celu budowano wszędzie, gdzie było można i było potrzeba przedsiębiorstwa małe i duże, a w nich miejsca pracy dla ludzi. I lu-

dzie dziś przy tych miejscach pracy pracują. Czy zawsze mają co robić?

Zalóżmy jednak, że w małym miasteczku, gdzie wybudowano zakład produkcyjny, okazuje się, że jest on już nikomu nie potrzebny. Tadeusz Tanaś powiedziałby — przesunąć ludzi do handlu i usług. Ale w miasteczku tym do handlu może przejść 10 osób, a do usług nikt, bo trzeba byłoby otwierać nowe zakłady usługowe, a na to nie ma pieniędzy. Co z resztą? Może przeniesie się ich do większych miast? Może i byłoby to pożyteczne, bo są tam wolne miejsca pracy. Ale...

Ano właśnie. Po pierwsze — nie ma tam wolnych mieszkań. Po drugie — inżynier Jan Kowalski pracę znajdzie, ale jego żona już będzie miała z tym kłopoty. Może by to się dało jakoś załatwić, pozostaje jedynie kwestia zasadnicza — wolne mieszkanie. Otóż państwo Kowalscy będą musieli na to mieszkanie poczekać... 10 lat, a może i więcej. Gdyby mieli dolary lub inną walutę wymienną, to mogliby sobie kupić mieszkanie, ale nie mają. Cóż więc z nimi zrobić?

Wydawało się nam niedogdy, że państwo może wszystko i poradzi sobie z każdym problemem. Stąd powstała mania rozważania o różnych sprzecznościach przy pomocy wielkich liczb. Od półtora miliona odejmemy czterech milionów, to zostanie milion i ćwierć. Rachunek jest prosty! Ale za tym rachunkiem kryją się ludzie ze swoimi marzeniami, planami. Samo życie. Co z tym zrobić? Tego życia spoza wielkich liczb nie widać.

Myślę, że trzeba — w ramach powszechnego odrzucania dogmatów — zastanowić się, jak by sprawa wyglądała, gdyby — na okres przejściowy, porządkowania gospodarki — utworzyć armię bezrobotnych, którym płaciłoby się zasiłki. Proszę się jednak nie obrażać i nie rzucić we mnie pomidorami oraz zgryźliwymi jajami! Napisałem: zastanowić się. Ale o szczegółach może innym razem.

ZENON POROWATY

2

Pod prąd

Śmierć frajerom

Powiem wprost i bez zbędnych wstępów: zostałem oszukany. Powiem więcej: dwukrotnie zostałem oszukany i mam do siebie niemało pretensji, że tak się dałem wystrychnąć na dudka. Wyłącznie do siebie, albowiem ci, którzy oszukiwali, nie wiedzieli — jak sami dziś powiadają — co czynią, więc trudno mieć do nich żal, prawda?

Pierwszy raz zostałem oszukany niedługo po wywołaniu, kiedy jako młody chłopak uczyłem się, jak żyć po nowemu. Z początku nie bardzo szła mi ta nauka, bo — jak by nie patrzeć — przedwojenny jestem, z dobrego domu i wychowany z tak zwanymi zasadami, co nie było wszak ani moją winą, ani zasługą. Ale powoli wciągałem się jakoś, dostosowywałem, przekonywałem do realiów życia, nad którym czuwał nocami, jak do brzy Anioł Stróż, generalissimo Józef Stalin i nawet udało się po pewnym czasie połączyć to, czego ode mnie oczekiwano, z tym, co wynosiłem z rodzinnego domu. I taki: nie kradłem, nie oszukiwałem, nie objąłem się na studiach i później w robocie, pod nim nie kopałem dółków, nie wychylałem się zbytnio ani w jedną, ani w drugą stronę, a nade wszystko starałem się nie popadać w żadne konflikty z prawem, choć miałem poważne powody, aby uważać, że jest nieco ulotne i, co gorsza, nadziewane w niecnym celach. Ale prawo jest prawem — myślałem i siedziałem cicho jak mysz pod miotłą. Nie kryję przy tym, że — również ze strachu. Uwierzyłem ponadto, iż wszyscy mają takie same żądania i wszystkim się należy, a do bogactwa, zbytku, rozpusty i drobnośmierciństwa większy czułem wstręt, niż do

pałaka. Często powtarzałem sobie i rodzinie, że przecież pieniądze szczęścia nie dają i najważniejsze, to żyć godnie, choć może i głodnie. I tak też żyłem, ufnie i z nadzieją patrząc w przyszłość, która w gazetach, w radiu „Pionier” rysowała się całkiem niezłe — jeśli nawet może już nie dla mnie, to na pewno dla moich dzieci.

Tak mijaly lata. Aż tu nagle — patrzę — wszystko dziwnie się zmienia. Jednym żądkiem rosną, innym na odwrót — kurczą się niebywale. Intrzyganci zostają moimi zwierzczykami, a zwierzczyki — złodziejami. Ci, którymi pogardzałem, jak na przykład badylarze, czy prywatni wytwórcy gipsowych wazoników, nie tylko wsuwają kawiorki pod „Sowijskoje igriszo”, ale nieśmiało stawiali mi się za wódr przedsiębiorczy i pracowitości. Po kraju zaczyna się panoszyć obcy nam ideowy kapitał. Milicja przestaje gnieść cinkciarzy, a telewizja raz po raz namawia mnie do kupowania w „Pewexie” herbatki „Paracelsus”. Hanbiacy handel rodaków na zagranicznych bazarach wspierają cicho wielkie biura podróży. Przebąkuje się też coś o wprowadzeniu odpłatnej służby zdrowia, mimo że z powszechnej i darmowej tak bardzo byliśmy dumni. Wreszcie na koniec moje wieloletnie oszczędności w banku PKO, za które myślałem kupić sobie na stare lata małodrożowy samochód dla każdego, topnieją niespodziewanie do tego stopnia, że ledwo wystarczą mi na dobry rower. I to właśnie kupując ten rower, poczułem się oszukany po raz wtóry.

Bo jakże to tak — myślę sobie — zawsze i ze wszystkich sił wspierałem państwowy przemysł, co zaspokaja potrzebę ludności, stawałem ofiarne na każde wezwanie, gdy przyszło ratować zagrożony plan, bez słowa brałem udział w czynach społecznych, podnosiłem swoje kwalifikacje, nie flirtowałem z opozycją i jeżdżę tylko rowerem, a Kowalski — ten od gipsowych wazoników, na kilometr pachnących tandetą i z pewnością zbytnie, kiedy brakuje nawet tak podstawowych artykułów, jak papier toaletowy — najnowszym modelem mercedesa? To ma być w porządku?

Pamiętam, jak był zwykłym magazynierem w naszej fabryce, to zawsze pierwszy mi się kłaniał, bo jakże inaczej — inżynierowi. Teraz udaje, że nie wie, kim jestem, i tylko patrzy nieraz pogardliwie zza uchylonej szyby, jakby chciał powiedzieć: śmierć frajerom!

Są takie chwile, gdy wydaje mi się, że może nawet ma rację.

JÓZEF RETMAN

3

Sport

„Precz z kolarstwem!”

W Zakopanem odbyło się spotkanie ministra Aleksandra Kwaśniewskiego z członkami kadry narodowej z różnych sportowych dyscyplin. Przed nami przecież Igrzyska Olimpijskie w Seulu i wyprawa naszych sportowców do Korei Południowej nie może mieć tylko charakteru turystycznego. Potrzebne byłoby jakieś sukcesy, których zapewne nie będzie. Ale niech choć nadzieja pozostanie. Dlatego nie dziwię się, że jeden z trenerów poskarżył się ministrowi na prase.

— Dziś — powiedział — więcej miejsca w gazetach zajmują sprawy Dziekanowskiego czy Lesniaka, niż zwycięstwo w Pucharze Świata Andrzeja Grubby.

Słuszna to pretensja, tylko pod zły adres skierowana. Gdyby sportowcy dostarczali dziennikarzom swoimi zwycięstwami tematów do pisania, ci pisaliby chętnie. Ale rzeczywistość sportowa końca roku 1988 jest taka, że — więcej afery niż sukcesów.

Z pełną satysfakcją mogą do nieść ukończonym Czytelnikom, że listonosz z Kobyłej Góry w województwie kaliskim — Bartłomiej Dolata pobit rekord

świata w triathlonie. Przepłynął on 13 km, przejechał na rowerze 840 km i przebiegł 128 km w czasie 38 godzin, 23 minut i 55 sekund. Jest to rekord świata. Poprzednio należał on do Amerykanina Kena Wisemana i wynosił 39 godzin, 38 minut i 40 sekund. Sukces to ogromny, tym bardziej, że trasę 540 km Bartłomiej Dolata przejechał na normalnym rowerze z bydogoskiego „Rometu”, a 126 km przebiegł w dziurawych butach. Ot, taka polska specyfika.

Mam wprawdzie pewną wątpliwość, czy mianowicie należy ten rekord wpisać na konto sportu, bowiem Bartłomiej Dolata jest komandosem i służy obecnie w „Czerwonych Berezach”. A zatem należałoby raczej rekord wpisać na konto Wojska Polskiego, które go do takiego wyczynu znakomicie wręcz przygotowało. No, ale rekord jest.

I są afery. Oto krakowskie „Tempo” ogłosiło „list gończy” za siatkarką LKS Bogusławą Więzik, która zgineła mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Grzegorz Więzik pozostał w RFN. Reporter „Tempa” wybrał się do Bielska-Białej do Rozalii Nakryjko — matki Bogusławy W., gdzie poszukiwanej również nie zastał, choć w Łodzi sugerowano, że tam być powinna. Niekiedy powiada, że należy jej szukać na Mazurach, gdzie z córką nabiera sił do dalszych zawodów. W Łodzi natomiast pustostany powiększyły się o puste mieszkanie Bogusławy i Grzegorza Więzików. Gdyby ktoś wiedział o zaginionej, to — pisze „Tempo” — proszony jest o powiadomienie LKS.

Na Węgrzech, Słowacji i w Polsce rozgrywa się już po raz czternasty wyścig kolarski dla juniorów „Ślaskiem Kurierów”. Wyścig ten nigdy nie cieszył się zainteresowaniem PZKol. Pozostawiano go łaskawie OZKol w Tarnowie. I na skutki takiej decyzji nie trzeba było długo czekać. Wyścig ten w całości opanował słowacki działacz Jano Glajza i rządził jak chce. To, co działo się na trasie XIV Wyścigu „Ślaskiem Kurierów”, wola już nie o pomstę do nieba, a o szybkie dżdżanie wyjaśniające PZKol, a co się działo?

To na przykład, że z odznakami organizatorów petali się po trasie jacyś dziwni ludzie, że Arkadiusz Ceniuch, gdy zabral się z grupą kolarzy CSRS i Węgier i nie kwapił się do prowadzenia w tej grupie, dostał „po buzi” od Jaroslava Bileka z drużyny CSRS. Z pretekstem po tym incydencie wystąpił nie przedstawiciel strony polskiej — Zdzisław Głęboczek, a strony CSRS — Jano Glajza i Jaroslav Bilek... pojechał dalej w koszulce lidera. Poza tym milicja pomyliła się i skierowała wyścig w innym kierunku, a gdy jego trasę zamknęto na kilka godzin bez uprzedzenia i zorganizowania objazdu, to kierowcy z utworzonego gigantycznego szatoru krzyknęli: „Precz z kolarstwem!” Propaganda kolarstwa nie była to więc w żadnym wypadku, raczej wręcz przeciwnie.

W Drzonkowie u Mirosława Zazula stwierdzono po strzelaniu — jednej z konfiscacji pićcobjoju — ślady alkoholu. Zawodnik przyznał się, że w noc wypił 4 butelki piwa. Pobrano mu krew, ale na miejscu nie można było przeprowadzić odpowiednich badań. W Zielonej Górze podobnie, co mnie głęboko zdziwił. Krew wróciła do Drzonkowa i następnego dnia pojechała do... Warszawy. Mirosław Zazula startował dalej i zdobył mistrzostwo Polski. Mimo piwnego dopingu!

Grzegorz Kubiak natomiast dobrze spływał się w zawodach jeździeckich w Sopocie i po odniesionych sukcesach postanowił się oblać. Piwa raczej nie pito. Bawiono się długo w noc, a gdy ktoś z hotelowych gości próbował uspokoić biesiadników — bryła już 4 rano — to dostał — jakas nowa moda, czy co? — „po buzi”. Grzegorz Kubiak z Bogusławickiego Klubu Jeździeckiego w Bogusławicach został pozwany do sądu o dalszego startu, co go mocno zdziwiło, gdyż do tej pory, jemu i jego bratu Bogdanowi, wszystko uchodziło pismem, a krytykowanie jeźdźców traktowano jako krytykę BJK w Bogusławicach. Czas się jednak zmienia, czego Grzegorz i Bogusław Kubiakowie jakos widać nie przewidzieli. Ich wi-

Chciałabym bardzo móc co dzień pisać o sukcesach naszych wspaniałych sportowców, ale zamiast sukcesów mamy nieustanny festiwal skandali. Takie życie.

BOGDA MADEJ

Na owe tajemne, przedziwne, a nawet, jak myśleli niektórzy — szaleńcze wyprawy nie zabierał z sobą Dago jedynie Herima i Spicimira oraz jego czarnoplaszczych wojowników. Herim wymyślił się od nocnych wypadów twierdząc, że mroźne powietrze nocy powoduje u niego długotrwały kaszel. Spicimirovi zaś sam Dago nie pozwalał sobie towarzyszyć, gdyż chciał aby pod jego nieobecność ktoś pilnował komnat, gdzie mieszkał i gdzie gościli jego ludzie. Zdradził też Spicimirovi iż lęka się, aby pewnego dnia nie zastać zamkniętych przed nim bram warowni Poznania i spotkać się z otwartym buntem Duninów. Ktoś więc musiał pozostać w Poznaniu, aby go przed takim zdarzeniem ostrzec, a nie widział nikogo lepszego od Spicimira.

Od księcia Karaka otrzymał drwiącą wieść, że skoro nie okazał pomocy oblezionej w Gnieździe księżnej Helgundzie i oddał się w piastowanie Dagonowi, niechaj jeszcze niżej swój kark przed nim ugnie. Od Pyrrysjan przyszła wieść, że pokłócili się między sobą i szukają się do wyrównania rachunku własnych krzywd. Od Długogłowych nadeszła wiadomość, że ich władca zmorzony jest chorobą, a od Ludzi Skrzydlatych, że mają tylko tyle wojska, ile potrzeba dla bezpieczeństwa ich granic. Książę Gedan milczał wyniośle, ale wiadomo było powszechnie, że nigdy nie opuszcza swojej twierdzy, gdyż obawia się ataku Ascomannów podjudzających przeciw niemu przez władcę Jumna, księcia Hoka.

Za radą całej rodziny Duninów, wybrał się więc Dunin Gruby aż na Wronią Górę, gdzie złożył w ofierze rosnącego cielaka, skropił jego krewią święty kamień a mięso rozdał między żerców i wrózów, prosiąc ich, aby mu wyjawili, czemu go trawi dziwny niepokój.

Długo patrzył w ogień Dunin Gruby, a długowłosy wróż mamrotał niezrozumiałe słowa. Co jakiś czas przerywał mamrotanie i pytał Dunina:

— Co widzisz w ogniu, komesie?

— Niczego nie widzę — odpowiadał komes, gdyż tak było w rzeczywistości.

A kiedy trzeci raz go o to samo zapytał i taką samą otrzymał odpowiedź, oświadczył mu wróż:

— Skoro niczego nie zobaczysz, to znaczy, że niczego nie możesz zobaczyć.

Rozgniewał się komes Dunin i chciał zabić wróża, ale go przed tą zbrodnią powstrzymało, przypominając jaki los spotkał Gizura.

Wydął więc Dunin Gruby wielką ucztę, gdyż groźniejsze mu się wydawały Piastunowe wyprawy niż jego obecność w dworzyńszczy. Piastun wypił wiele miodu, skoczył przez stół i przy wtórze muzyki wykonał samotnie taniec miecza, budząc zachwyt kobiet. Ale zanim skończył tańczyć, przeskończył przez stół Dunin Brodaty i też zaczął taniec mieczy. Uczynił to jednak tak niefortunnie, że o mało nie dźgnął ostrzem Piastuna. Uratował życie Dagona tylko pancerz złocony.

Przerwano ucztę. Powiedział Piastun do Dunina Grubego: — Musisz osądzić swojego brata, albowiem o mało nie pozabawił mnie życia.

I osądził Dunin Gruby swojego brata, Dunina Brodatego, skazując go na tydzień siedzenia w zamkniętej komnacie.

Nazajutrz obwieścił Dago, że trapi go żądza czynów i dlatego chce walczyć na miecze. Kto go zwycięży otrzyma od Herima sto złotych numizmatów. Wszelako ostrzegł Dago, że jego miecz jest zaczarowany przez Odyńa i jeśli go wyciągnie z pochwy do walki — pasę nusi trup. Uradował się Dunin z tej możliwości zabicia Piastuna, nie uciekając się do zarady lub spisku i znalazł między swymi wojskami człowieka imieniem Bogusz, który najsporniej walczył mieczem i nie było w Poznaniu groźniejszego od niego w używaniu tej broni.

Na podwórzu warowni wyszedł Dago w swym białym płaszczu, bez hełmu, a tylko w świętej Andali na białych włosach i w złotym pancerzu oraz z okragłą tarczą. I stanął przeciw niemu Bogusz, w czerwonym kaftanie, grubej kołczudzie i z podługowatą tarczą. Miecz Dagona był krótszy niż miecz Bogusza, który zdawał się być wyższy wzrostem oraz szerszy w barach.

Pozwolono na walkę patrzeć niewiastom Duninów, wojsku oraz gawiedzi z podgrodzia. Było to zaś w południe dnia

piątego miesiąca zbierania oskoly, gdy na rzecę zaczął pękać lód i w powietrzu jak gdyby wyczuwało się szybkie nadejście przedwieśnia.

Opuścił Bogusz na twarz przybicie frankijskiego hełmu i wydawał się przerażający jak potwór. Ostonił lewe ramię pokrytą białą tarczą i z długim mieczem w prawej dłoni natarł na Piastuna. Lecz wtedy jak błyskawica zabłysnął miecz Dagona i ciął strasznie Bogusza. Gdyby tamten nie ostonił się tarczą, bark miałby odcięty. Potem Bogusz zrobił krok naprzód i trzy razy zamachnął się mieczem, za każdym razem uderzenia jego otrzymywała tarcza Piastuna. A kiedy gotował się Bogusz, aby przyjąć na prawe ramię kolejne uderzenia piastunowego miecza, koniec owego miecza nagle zrobił wokół niego krąg świetlisty, poźniej znalazł się niespodziewanie w lewej dłoni Piastuna i w lewy bok uderzył Bogusza, przecinając mu kołczugę i raniąc zebra. Zakolysał się Bogusz, a

którzy widzieli, że zwałił ją w kącie warowni swój sługa Zydal i potem zniknął. Mówią, że spodobała się tobie i dla siebie kazałeś ją porwać.

— Zbadam tę sprawę i rozsądzę — oświadczył surowo Dago i skinął na straż, które tak stanęły, że Duninowie i ich zbrojni musieli się wycofać.

Na dworze Duninów zapanała wzajemna wrogość i podejrzliwość. A było jasne, że w warowni Duninowie mają przewagę nad Dagonem i jeśli dojdzie do otwartej walki, zostaną on pokonani.

Wzwał Piastun do siebie Spicimira i kazał mu odnaleźć Zydala i Ludkę. Wzwał też do siebie Herima i zapytał go o otwarcie:

— Tyżes to, Herimie, zaprzęgał pofolgować swoim żądom?

Herim nie odpowiedział. Kleknął tylko u stóp Piastuna i zwiesił głowę. Rzeki Dago:

— Ciebie ukarać nie chcę. Za ciebie odpowie Zydal. I ty wydasz wyrok na Zydala.

Nazajutrz Spicimir w otocze-

nia, obnażono Zydala i przywiązano do pręgi. A osiek z bitem zaczął go bić, aż od rzemienia pękała mu skóra i krople krwi ściekały na śnieg.

Po otrzymaniu dziesięciu batogów, Zydal poprosił, aby zbliżył się do niego Piastun, ponieważ chce wyznać mu swoje wszystkie winy.

Jeśliwym, ledwo dosłyszalnym głosem powiedział Zydal: — Prawda jest taka, panie, że Ludka poprosiła Herima, aby ją porwał. Prawdą jest także iż kanclerz Herim podburzał przeciw tobie swoją żonę Zydalkę, mówiąc jej o twoich miłostkach z Helgundą. Ukarać go także, panie, jeśli on mnie nie broni, tylko przygląda się moim mękom.

Mimo że Zydal mówił cicho, usłyszeli jego słowa Duninowie, a także Herim. Położyli Duninowie dlonie na swoich mieczach, gotowali się na śmierć Herim. Ale Dago zawołał:

— Kłamiesz, nikczemniku! Wyciągnął swojego Tyrflinga i uciął Zydalowi głowę. Nie z

gając się dotykał kraju jego białego płaszcza. Wyciągały się do tego płaszcza ręce kobiet, które nie mogły począć dziecka i tacy, którzy nie mogli pozbyć się krost i czyraków i aż obrzydzenie brało, gdy się na nich patrzyło.

— Zawróćmy, panie. Wiem już co to jest majestat — powiedział w końcu Dunin Gruby. — Pogódźmy się na oczach ludu.

Ojął Piastun ramieniem Dunina Grubego, a ten objął Piastuna i tak wrócili do warowni, odprowadzani przez tłum ludzi, którzy natrętnie usiłovali dotknąć Dagona. A oczekujący na nich wojownicy, Duninowie i tych od Piastuna — odetchnęli z ulgą, że jeszcze nie dziś dojdzie do walki, a może walki w ogóle nie będzie.

Przed wieczorem wjechało na podgrodzie a potem do warowni pięćdziesięciu Lestków z Gniazda. Przybyli w pełnym uzbrojeniu, ale kłkumstą z nich radośnie dźło w ręce szczatki, uderzało w bębenki.

nierzy ruszyli sienią w głąb dworzyszczu Duninów. Piastun poszedł za nimi w swym poznaczonym pancerzu, hełmie i konną kitą i w białym płaszczu.

— Miejsce dla Piastuna, który idzie na ucztę — wołał Spicimir.

Uczta nie była jeszcze gotowa, służba dopiero podawała mięso na stół głównej sali dworu. W swoich kofnatach przebywali Duninowie i ich kobiety, strojące się na ucztę. Nikomu nie wydawało się dziwne, że z podwórca do dworzyszczu wchodził pijani wojownicy Piastuna, aby klęknąć u jego nóg i złożyć mu życzenia. W ten sposób Spicimir wprowadził do dworu pięćdziesięciu swoich żołnierzy, teraz noszących białe płaszcze.

Tak rozpoczęła się reż w Poznaniu. Po trzech wojownikach wpadło do komnat Duninów i raziło ich mieczami. Zabijano mężczyzn, kobiety, nawet dzieci. Z poszarzała od strachu twarzą widział Herim, jak Dago własną ręką zabił Dunina Grubego, jego sześć żon, oszczędzając tylko Ludkę. Opo- wiadano, że krew lała się nawet po schodach z górnego piętra na dół, w każdym kącie słychać było szczęk oręża i jęki, ale przecież tym, co byli na podwórku, wszystkie te odgłosy wydawały się związane z rozpoczynającą się ucztą. Białe płaszcze Piastuna były spryskane krwią, jemu jednak jak gdyby nie dosięgło ofiar i kazał mordować wszystkich, co należeli do rodu Duninów. Od przenikliwego zapachu krwi ludzkiej aż kręciło się w głowach, lecz ów zapach zdawał się upajać jak wino i zachęcać do nowych zbrodni.

Mieli Duninowie w głównej części dworu ponad trzydziestu swoich wojowników ubranych w niebieskie kaftany. Odrzucili miecze i pozwolili się zamknąć w sali na ucztę. Nikt nie bronił komesa i jego braci, jego stryjców i jego pociołków.

Piastun stał w ogromnej sieni na parterze i słuchał jęków, widział strugi krwi płynące po drewnianych schodach. Pod po- le jego płaszcza ukryła się Ludka, a potem podbiegł Herim, przerażony nienasyconym pragnieniem mordowania, które okazali ludzie Spicimira i Lestkowie. Jego, Herima, też kazał zabić Spicimir. Przypadł do nóg Dagona i schował głowę pod długą połą białego płaszcza.

— Panie mój — błagał — Zydal cię okłamał. Nie mówiliem Żyfcie o twojej miłości do Helgundy.

— Przebaczam ci, ponieważ jesteś mi potrzebny — zmęczonym od mordowania głosem powiedział Dago. — Ożenie cię z Ludką, gdyż pod jednym płaszczem się ukryliście. Porwał ją, aby mnie zniesławić, a teraz będziesz szczęśliwym mężem żony Dunina Grubego.

Potem podniósł z ziemi Herima i Ludkę, i poszedł z nimi do tego skrzydła dworzyszczu, gdzie mieszkała jego czeładź. Przerazeni pierworodni synowie wielu rodów kulili się po kątach, lekając się zemsty Duninów. Uspokoił ich Dago, dostrzegłszy zaś między nimi muzyków, którzy się tu także schronili, a pośród muzykantów rannego Dunina Brodatego, rozkazał:

— Grajcie muzykanci. A ty, Ludka, zatańcz najpiękniej jak tylko potrafisz.

I usiadł ciężko na ławie, obejmując ramieniem młodzień- kiego Olta Powale. A gdy zauważył, że młodzieniec odsuwa się od niego, ponieważ płaszcz Dagona był lepki od krwi, rzekł:

— Jeśli się krwią na moim płaszczu brzydzisz, to znaczy, że władcy się brzydzisz, ponieważ nie można sprawować władzy nie przelewając krwi. Masz dopiero czterdzieści lat, ale uczyniłem cię wojewodą i postawiłem na czele wojsk Powalów. Oddaj swoją władzę komu innemu, jeśli krew na białym płaszczu nie jest ci miła.

Ranny Dunin Brodaty, czot- gając się po podłodze i pozostawiając na niej krwawy ślad, podpełznął do nóg Dagona i chciał schować głowę pod jego płaszcz, aby uratować życie.

Powiedział Dago do Olta Powala:

— Utnij mu głowę. Masz przecież miecz i jesteś wojewo- dą.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Syn się Piastunowi urodził. Syn pierworodny — wołał jeździec.

Herim rozkazał wytoczyć im kilka beczek z piwem, również Duninowie, aby okazać, że radują się wraz z Piastunem, — wytoczyli beczki z piwem dla swoich żołnierzy, a co zamożniejsi kupcy i rzemieślnicy zaczęli piwo darmo rozdawać między ludzi. Cała Poznań roz- bzmiewała śpiewami, dźwiękami płaszczałek i bębnow, al- bowiem była okazja do radości.

Duninowie zebrał się w kom- nacie Dunina Grubego i też nie ukrywali swojego zadowolenia. Byli pewni, że oto nareszcie uciążliwy gość opuści ich wa- rownię, aby popieścić do Gniazda i zobaczyć swego pierworodnego syna. Dunin Gruby udał się do zamieszka- nego przez Piastuna skrzydła dworzyszczu i poprosił, aby go dopuszczono przed oblicze Da- gona.

— Panie mój i Piastunie — kornie klęknął. — Zapomnijmy o wasniah, skoro takie szcze- ście cię spotkało. Zapewne już jutro zechcesz spieszyć do Gniazda, dlatego wydam dziś ucztę pożegnalną z muzyką i piąsam.

— Dobrze — uśmiechnął się do niego Dago i podniósł go z klęce.

— Jak daleko do rozwiązania? — Dago zapytał Jaszczot- ka, który z tymi ludźmi przy- był.

— Powiada, że stanie się to wkrótce... — odparł Jaszc- zotek.

Dago skinął głową i wyciąg- nął swojego Tyrflinga. Spicimir i Jaszczotek opuścili komnatę i na czele owych dwudziestu żoł-

ni swoich czarnoplaszczych wojowników sprowadził do Poznania Zydala i Ludkę. Zna- laż ich w jakiejś chacie nie- daleko grodu, gdzie oczekiwali Herima.

Dago nie dopuścił nikogo do Zydala i trzymał go pod stra- żą Spicimira. Na podgrodziu warowni kazał postawić prę- gierz, zwołał ludzi na porę po- ludniową i tam to, na oczach setek rodzin rzemieślników i kupców, Herim wydał wyrok na Zydala:

— Nie ma większej nikczem- ności, niż ta, gdy ktoś okazuje łakomstwo na cudze żony i na cudzy majątek. Mój sługa Zydal porwał dla swego łakom- stwa żonę komesa Dunina Grubego. Dlatego na waszych oczach otrzyma Zydal pięćdzie- siąt batogów.

Ze zdumieniem patrzył Zydal na Herima, któremu tylekroć dostarczał kobiety i z jego to przecież rozkazu, a nie dla wła- snego łakomstwa, porwał Lud- kę. Czemu to nie na plecy He- rima spadną batogi, a na plecy Zydala, posłusznego wykonawcy rozkazów? Któż przetrzyma pięćdziesiąt batogów. Widział Zydal śmierć przed sobą i ja- sno zobaczył istotę sztuki rza- dzenia.

I tak oto na widoku całego dworu Duninów, a także czeła- dzi Dagona i ludzi z podgro-

gniewu jednak, ale po to, aby język tamtemu przestał się ru- szać w gębie, albowiem o tych wszystkich sprawach wiedział Dago od Spicimira.

Wtedy to butnie do Dagona powiedział Dunin Gruby:

— Siyszałem, panie, że są tacy, co oddali ci swoje żony i swoje córki, aby się z tobą spokrewnić. Ale to się nie sta- nie u Duninów. Nie mieszczą się piwa z winem. Nie mieszczą się szlachetnej krwi z krwią kar- tów.

Krew napłynęła do twarzy Dagona. Zrozumiał, że Dunin szuka z nim otwartej walki, po- nieważ tu, na podwórku waro- wni, jest silniejszy.

— Czy wiesz, Duninie Gruby, że obraziłeś majestat? — rzekł Dago.

— Nie wiem, co to jest ma- jestat — odparł Dunin.

— Pozostawmy tu swoje woj- ska i chodźmy sami między lud na podgrodzie — zapro- ponował Piastun. — Jeśli ujrze twój majestat, to ja klęknę przed tobą, a nie ty przede mną.

Zaciekawili te słowa Dunina Grubego. A że był próżny i pełen pychy, poszedł z Pia- stunem między lud na podgro- dzie, pozostawiając wojska w warowni.

Ujrzał więc komes Dunin jak ludzie rzucali się na kolana przed Piastunem, a kałecy czoł-